

WILLIAM KIRK

KILPATRICK

Psychologiczne uwiedzenie

tłumaczył Radosław Lewandowski

Wydawnictwo „W drodze” Poznań 1997

PRZEDMOWA

Psychologia to rzeka o licznych odgałęzieniach i dopływach. Celem tej książki nie jest badanie każdego z odgałęzień, lecz określenie ogólnego kierunku oraz siły prądu rzeki. Krytyczne uwagi, które zamieszczam na następnych stronach dotyczą psychologii jako siły społecznej: innymi słowy, psychologii mającej wpływ na nasze codzienne myślenie i postępowanie. Psychologia jako nauka ma do odegrania w naszym społeczeństwie w pełni uzasadnioną rolę. Co innego jednak, gdy chce ona odgrywać każdą rolę, a jednocześnie być reżyserem sztuki. To, co mam do powiedzenia w kolejnych rozdziałach książki nie dotyczy wszystkich działów psychologii w jednakowym stopniu; zamiast jednak za każdym razem zastrzegać się co mam na myśli („chodzi mi o to, nie o tamto”), w większości wypadków wolałem posługiwać się prostym słowem *psychologia*.

ROZDZIAŁ I

Wilk w zagrodzie

Poczucie własnej wartości

Powab psychologii: imitacja chrześcijaństwa

Sprawa każdego z nas

Głęboką wiarę, jaką pokładamy w psychologii najlepiej ukazała mi sytuacja, której byłem świadkiem kilka lat temu w Szkocji podczas nabożeństwa w kościele. Wprawdzie wypadek ten nie był dramatyczny, zapadł mi jednak na dobre w pamięci. Wygłaszający kazanie ksiądz, aby wesprzeć czymś swój wywód, odwoływał się do takich świadectw jak Ewangelia św. Jana, Listy św. Pawła, pisma św. Augustyna itd. Wydawało się, że na zebranych wiernych nie robi to większego wrażenia. Mężczyzna na lewo ode mnie zaczął ziewać. Kobieta siedząca w następnym rzędzie sprawdzała zawartość portmonetki.

— Jak powiada Erich Fromm... — ciągnął ksiądz. Momentalnie dało się zauważyć pełne

zainteresowania poruszenie, które falą przebiegło po tłumie. Ludzie zaczęli nasłuchiwać, aby nie uронić choćby najdrobniejszego niuansu. Mężczyzna po lewej przestał ziewać, kobieta zamknęła portmonetkę; oboje wzmożli czujność. Erich Fromm. Ależ oczywiście! Jeśli istnieje ktoś, kto zna odpowiedź na zagadki życia, jest to z pewnością Erich Fromm. Wydawało się, że zgromadzeni wierni wyznają dwa rodzaje wiary: wiarę w Boga oraz wiarę w psychologię. Trudno było powiedzieć, która wiara jest silniejsza. Wątpię jednak, by ktoś ze zgromadzonych dostrzegał w tym dwie różne wiary. Prawdziwy problem polega na samym odróżnieniu jednej od drugiej.

Mało tego, gdy ktoś dowiaduje się o moich związkach zarówno z psychologią, jak i chrześcijaństwem, zwykle zakłada, że opracowuję jakąś syntezę, która zbliży je ku sobie i usunie ewentualne różnice, istniejące między nimi. Często słyszę pytanie: „Czyż psychologia i religia to nie są po prostu dwie różne drogi wiodące do tego samego celu?”

Prawdą jest, że psychologia popularna ma wiele elementów wspólnych z religią Wschodu; trwa wręcz proces ich wzajemnego połączenia. Jeśli jednak mówimy o chrześcijaństwie, to znacznie prawdziwsze będzie stwierdzenie, że psychologia i religia to dwie rywalizujące ze sobą wiary. Jeśli poważnie traktujemy jeden system wartości, logika nakazuje odrzucić drugi.

POCZUCIE WŁASNEJ WARTOŚCI

Na razie jednak wszystko wydaje się bardzo pogmatwane. Wiem na przykład o pewnym katolickim księdzu, który mówi swym wiernym: „Chrystus przyszedł po to, by powiedzieć «Wy jesteście w porządku i Ja jestem w porządku»”. W innych kościołach rodzice słyszą, że dzieci nie są zdolne do grzeszenia, ponieważ „tak twierdzą psychologowie”. Wydaje się, że w wielu kościołach protestanckich pozytywne myślenie zajęło miejsce wiary. Niemal wszędzie stawia się znak równości pomiędzy zbawieniem a rozwojem własnym lub poczuciem, że się jest w porządku. Krótko mówiąc, chrześcijanie pozwolili, by ich wiara zaplątała się w sieć popularnych poglądów na temat poczucia własnej wartości oraz samospelnienia, nie mających nic wspólnego z chrześcijaństwem.

Obecna sytuacja przywodzi mi na myśl radę dotyczącą kuszenia, której stary diabeł udzielił swemu bratankowi, młodemu diabłu. W klasycznej książce C. S. Lewisa zatytułowanej *Listy starego diabła do młodego* Krętacz każe Piołunowi wywołać zamęt w głowie pacjenta: „Rób tak, aby jego umysł nie dojrzał tej prostej antytezy, jaka istnieje pomiędzy Prawdą a Fałszem”. Musisz go „utrzymywać w takim stanie ducha, który ja nazywam «chrześcijaństwo i...». Wiesz, o co chodzi, chrześcijaństwo i kryzys, chrześcijaństwo i nowa psychologia, chrześcijaństwo i nowy ład (...)”

Chrześcijaństwo i nowa psychologia... Lewis okazał się tu lepszym prorokiem niż

przypuszczał. To, co w roku 1941 było zaledwie drobnym zamętem, przerodziło się w zamęt na skalę masową. Trudno już dziś powiedzieć, gdzie kończy się psychologia a zaczyna chrześcijaństwo.

Dla niechrześcijan psychologia popularna stanowi nie mniejszą pokusę. Wydaje się, że wielu z nich zwraca się ku niej jako substytutowi tradycyjnej wiary. Może nawet widzą w niej bardziej zaawansowaną formę religii, bardziej skuteczny i współczujący sposób czynienia dobra niż chrześcijaństwo. Psychologia usuwa wszelkie niepokoje, a krętą drogę czyni prostą. Jest ona tą magiczną różdżką, która ich pociesza.

POWAB PSYCHOLOGII: IMITACJA CHRZEŚCIJAŃSTWA

Powab, jaki w psychologii dostrzegają zarówno chrześcijanie, jak i niechrześcijanie jest rzeczą dość złożoną. Trudno go w ogóle pojąć, jeśli się nie zrozumie, że jest to przede wszystkim powab o charakterze religijnym. Bo prawdą jest, że na pierwszy rzut oka psychologia przypomina chrześcijaństwo.

Ma się rozumieć, nie doktrynalne chrześcijaństwo, wobec którego większość psychologów jest wrogo nastawiona. Podobnie niechrześcijanie, co dość naturalne. Niemniej, w tym co głosi i robi psychologia pobrzmiewa pewna chrześcijańska nuta: echo miłości bliźniego jak siebie samego, obietnica osiągnięcia pełni, unikanie osądzania innych. Większości z nas idee te trafiają do przekonania, niezależnie od wyznawanej przez nas wiary.

Psychologia popularna, jak większość imitacji, nie jest jednak w stanie wywiązać się ze swoich obietnic. Zamiast tego odwołuje zarówno chrześcijan, jak i niechrześcijan od ich powinności oraz właściwego postępowania. Jest to uwodzenie w prawdziwym tego słowa znaczeniu.

Jednym z celów tej książki jest zatem wytyczenie wyraźnej granicy pomiędzy chrześcijaństwem a religią psychologii. Sądzę, że gdy się nam to uda, będziemy mogli stwierdzić, że chrześcijaństwo jest i zawsze było lepszym sposobem zaspokajania naszych potrzeb — nawet tych, które zwykle uważa się za potrzeby czysto ludzkie. Krótko mówiąc, choć chrześcijaństwo to coś więcej niż psychologia, jest ono właściwie lepszą psychologią niż sama psychologia.

KILKA UWAG OSOBISTYCH

Zanim jednak będę kontynuował, powinienem najpierw przyznać, że również ja padłem ofiarą mylenia psychologii z chrześcijaństwem. Moje własne doświadczenie pokazuje, jak może dojść do czegoś takiego.

Zainteresowanie wiarą chrześcijańską zacząłem tracić w czasie studiów. Właśnie wtedy odkryłem psychologię. Nie zdawałem sobie sprawy, że chrześcijaństwo przestaje mnie interesować; wydawało mi się tylko, że coś do niego dodaję. Szybko jednak przenieśliem

swą wiarę z jednego na drugie.

Nie widziałem powodów, by tak się nie miało stać. Z tego, co widziałem, pomiędzy chrześcijaństwem a psychologią nie było zasadniczej różnicy. Miałem już za sobą lekturę tekstów najbardziej liberalnych — to znaczy najbardziej psychologizujących — teologów i z tego, co w nich wyczytałem, wynikało, że w religii najważniejsza jest nie Biblia lub wiara, lecz po prostu kochanie innych ludzi. Wydawało mi się, że dość łatwo dam sobie z tym radę, bez pomocy Kościoła i modlitwy. Uważałem, że to dobre dla tych, którzy nie osiągnęli odpowiedniego stanu świadomości.

Freuda wprowadzało w zdumienie biblijne przykazanie: „Będziesz miłował bliźniego swego”. „Jak to możliwe?” — pytał. Ja uważałem, że to łatwe. Wydawało się, że mam po swojej stronie współczesnych psychologów. Mało tego, wydawali się oni zgodni ze współczesnymi teologami —jedni i drudzy z aprobatą cytowali św. Augustyna: „Kochaj i czyń, co chcesz”.

W dodatku psychologia potrafiła w interesujący sposób wytłumaczyć prawie każde ludzkie zachowanie, ja zaś nie widziałem powodu, by kwestionować słuszność tych interpretacji. Erich Fromm powiedział, że aby kochać innych, trzeba najpierw pokochać samego siebie. Czyż nie było to zgodne z tym, czego nauczał Jezus? Bez wątplenia, wszystko mi się wspaniale zgadzało; jak większość dwudziestodwulatków, do cna kochałem samego siebie. Moją nową Biblią stała się książka *On Becoming a Person* (O stawaniu się osobą) psychologa Carla Rogersa. Dawał on w niej delikatnie do zrozumienia, że ludzie to w głębi duszy dobre i przyzwoite stworzenia, których naturalna skłonność do nienawiści jest nie większa niż u pąka róży. Wejrzałem w głąb siebie i nie znalazłem żadnej nienawiści. Stwierdziłem więc, że nie ma złych ludzi, złe jest tylko otoczenie.

Pełna optymizmu doktryna Rogersa była zbieżna z ówczesnymi trendami religijnymi. Kościelni intelektualiści banalizowali grzech, jak gdyby mieli do czynienia z jakimś przypadkowym reliktem średniowiecza. Ksiądz-paleontolog Pierre Teilhard de Chardin, wyjaśniając dlaczego w książce *The Divine Milieu* (Boskie Środowisko) tak niewiele uwagi poświęcił problemowi moralnego zła, zauważył, iż „należy założyć, że dusza, z którą mamy do czynienia zesła już ze złej drogi”. W mniej podniosły sposób wyraził się pewien znajomy ksiądz, który oznajmił, iż dzieci nie powinno się uczyć Dziesięciu Przykazań. Stwierdził, że to zła psychologia.

Nie miałem powodu kwestionować innych obowiązujących koncepcji psychologicznych. Abraham Maslow, którego fotografia i książki zdawały się promieniować życzliwą mądrością, powiedział, że „miłość-B” (płynąca z pełni jestestwa) jest czymś dobrym,

natomiast „miłość-D" (biorąca się z jakiejś potrzeby lub braku czegoś) jest czymś złym. Nie zdawałem sobie wówczas sprawy, jak bardzo jestem w potrzebie oraz jak wielki jest mój wewnętrzny niedostatek. Byłem już na wpół przekonany, że w gruncie rzeczy zdrowy człowiek nie potrzebuje nikogo innego.

Zdrowi ludzie nigdy też nie czuli chęci odwetu. Erich Fromm tłumaczył, że ktoś, kto jest produktywny, nie pragnie się mścić. Robią to tylko osoby kalekie lub nieudolne — ludzie tacy jak Hitler. Bardzo im współczułem, tym mściwym kalekom i nieudacznikom. Gdyby tylko nauczyli się kochać — tak jak Erich Fromm i ja. Dotychczas moja chęć zemsty ograniczała się do kilku sytuacji z okresu dzieciństwa, kiedy to moja uraza trwała zwykle nie dłużej niż jeden dzień. Nie zdawałem sobie sprawy, że zemsta jest w stanie obrócić produktywnie życie w proch i pył. Nie wiedziałem, że człowiek może jej pragnąć tak, jak wampir pragnie krwi. Pogląd, że zemsta może się wydawać w gruncie rzeczy słodka — tak zniewalająca, że biblijni prorocy musieli ciągle przed nią przestrzegać — był dla mnie zupełnie niezrozumiały. Oczywiście, tak być nie powinno. Już wcześniej czytałem z wypiekami na twarzy o zemście Odysa, poza tym wprost przepadałem za filmami, w których ktoś się na kimś mścił. Podobnie jak w wielu innych sprawach, tak i tu pozostawałem w błogiej nieświadomości istnienia rozdzwiewu pomiędzy moimi zasadami, ukształtowanymi przez psychologię a faktycznymi doświadczeniami.

Nie zdawałem sobie również sprawy z narastającego rozdzwiewu pomiędzy moimi przekonaniem psychologicznymi a religijnymi. Fakt istnienia takiej rozbieżności ginął we wrzawie wywoływanej przez wielu duchownych, głoszących chwałę psychologii. Jakiś ksiądz zapoznał mnie z tekstami Carla Rogersa, jakiś pastor zaproponował lekturę Maslowa i Fromma. Inni księża i pastory zaczęli wprowadzać do nabożeństw kościelnych działania typu wspólnotowego.

Ja sam wkroczyłem w świat wspólnot oraz innych twórców psychologii humanistycznej za sprawą pewnego pastora. Zaprosił mnie on kiedyś na przyjęcie wydane na jego cześć przez studentów, którzy brali udział w jego warsztatach poświęconych seksualności człowieka. Kiedy przybyłem na miejsce, zastałem uczestników przyjęcia stojących w sześć-, siedmioosobowych kręgach. Ledwo przekroczyłem próg domu, z jednego kręgu wysunęła się ręka i wciągnęła mnie pomiędzy innych.

— Jak się nazywasz? — ktoś spytał. Odpowiedziałem.

— Kochamy cię — powiedział, a pozostali dodali, pomrukując — kochamy cię — w miarę jak kołysaliśmy się delikatnie w przód i w tył, trzymając się za ramiona. Niczego nie odczuwałem — sądziłem, że to jakaś ułomność mojej natury — ale mimo to opuściłem głowę i zacząłem mruzczyć jak inni.

W tym samym czasie wyrobiłem sobie myślowy nawyk, polegający na dostrzeganiu we wszystkim harmonii. Znalazłem upodobanie w powiedzeniu „wszelka wiedza jest jedna”. Wszędzie szukałem syntezy. Idee religijne, filozoficzne, psychologiczne i socjologiczne łatwo i wygodnie mieszały się ze sobą. Myśli Masłowa zlewały się z myślami żydowskiego teologa, Martina Bubera, tworząc jeden dopływ zasilający mój umysł; pokonywały wrota wszelkich napotkanych śluz, i łączyły się z wieloma innymi dopływami po to, by wspólnie wirując, płynąć ku oceanicznej jedności.

Wkrótce zacząłem zacierać inne linie — te, które rozgraniczały dobro i zło. Przekonałem się, że dobro można przemienić w zło, a zło w dobro, jeśli wprowadzi się drobne poprawki do ich definicji, tu poluzowując sprężynkę, tam dokręcając nakrętkę. Było to jednak prawie w ogóle niepotrzebne. Zanikała moja świadomość istnienia grzechu — było to bez wątpienia konsekwencją nawyku niemal całkowitej akceptacji samego siebie. Nauczyłem się ufać swoim instynktom; skoro czegoś pragnąłem, musiało to być dobre. Trudno było sobie wyobrazić, jak mogę zbłądzić, skoro jestem wierny swym pragnieniom i szukam samospelnienia.

Pomimo że przez lata chrześcijańskiego wychowania wpajano mi coś zupełnie przeciwnego, nabrałem przekonania, iż zło nie tkwi w ludziach, lecz jest tworem niesprawiedliwości społecznej oraz złego otoczenia. Wydawało mi się, że moje własne podstawowe odruchy są szlachetne i przyzwoite. Pragnąłem, by wszyscy ludzie wspólnie wzrastali w pokoju, braterstwie i miłości bliźniego. Jeśli społeczeństwo nie zdołało osiągnąć takiej harmonii, to przede wszystkim dlatego, że poszczególni ludzie nie nauczyli się kochać samych siebie. Będąc nauczycielem, widziałem możliwość zaradzenia temu brakowi poczucia własnej wartości. Postanowiłem okazać moim uczniom zrozumienie oraz bezwarunkową akceptację, czego — jak zakładałem — nie czynili ich psychologicznie niewyrobieni rodzice. Byłem pewien, że na moich zajęciach nie wychowam żadnego Hitlera czy Stalina.

W całym tym procesie „dojrzewania” nie widziałem jakiegokolwiek potrzeby poświęcania się czy dokonywania trudnych wyborów. Nie czułem żadnej potrzeby wyrzekania się wyznawanych przekonań. One po prostu stopniały jak bałwany w marcu. Proces topnienia był najczęściej podsycany przez teologów, ożywionych pragnieniem usunięcia z wiary jej trudnych elementów. Wszystko, co mogło oderwać człowieka od świata, uważano za dobry obiekt krytyki. Jednak już wkrótce tylko światu byłem wierny. Kiedy byłem dzieckiem, bardzo mnie poruszała i zachwycała przynależność do Kościoła. Lecz podobnie jak dziecko imigrantów, które wstydi się akcentu swoich rodziców i pragnie się jak najszybciej asymilować, znalazłem się na takim etapie życia, kiedy jakiegokolwiek skoja-

rzenie mojej osoby z Kościołem wywołałoby u mnie głębokie zmieszanie. Sytuacja byłaby dla mnie bardzo żenująca. Byłem teraz odpowiednio przygotowany do tego, by większą część swego chrześcijańskiego dziedzictwa pozostawić w sferze mitologii i świata starożytnego i zastąpić je nowymi, ugodzonymi przekonaniem, które niewiele mówiły o czymkolwiek innym prócz miłości.

Nie chciałem być źle zrozumiany. Wiara chrześcijańska ma w sobie olbrzymią siłę. Nie da się jej tak łatwo porzucić. Kilka najważniejszych elementów wiary pozostało we mnie. Były obszary, poza które nie mogłem, wręcz nie chciałem się wycofać. Niektóre z moich przekonań pozostały w ogóle nienaruszone. Jednak w takich wypadkach po prostu nie dopuszczałem myśli o istnieniu jakiegokolwiek niezgodności z moimi nowymi przekonaniem. Podobało mi się A i podobało mi się B; i byłem pewien, że kiedy się poznają, przypadną sobie do gustu. Psychologów podziwiałem za ich uduchowienie, teologów — za ich świadomość psychologiczną. Jakakolwiek kłótnia między nimi była niemożliwa.

Kiedy jednak udawało mi się pogodzić psychologię z chrześcijaństwem, zawsze odbywało się to kosztem chrześcijaństwa. Chrześcijańska wizja życia, niegdyś tak silnie dominująca w moim sposobie myślenia, systematycznie kruszyła się na krawędziach, pozostawiając coraz mniejszy środek.

W miarę jak kurczyła się sfera chrześcijaństwa, sfera humanizmu stawała się coraz większa. Mówiąc współczesnym językiem, „wiele się wówczas uczyłem na swój temat”. Odkryłem, że mogę pozwolić sobie na więcej, niż mi się wcześniej wydawało. Obecnie każdą wewnętrzną skłonność, nad którą wcześniej umiałbym zapanować, witałem z otwartymi ramionami niczym dobrą znajomą. Uczyłem się akceptować samego siebie. A pobłażliwość wobec siebie, w pozytywnym nadmiarze tolerancji, rozciągnąłem także na innych. Wierzyłem, że wraz z całą resztą ludzkości znajduję się u progu głębszych i wspanialszych odkryć dotyczących własnego „ja”. Należało się tylko wyluzować, dać się unieść przez strumień instynktu.

To były ekscytujące czasy. Obracałem się wśród ludzi, którzy nie tylko czuli to samo, co ja, lecz również zdawali się mieć znacznie lepiej niż ja opanowaną sztukę życia; wśród ludzi, którzy według wszelkich kryteriów byli *ekscytujący*. Nasze rozmowy były czymś ożywczym, wyzywającym, wyrastającym ponad pospolitość. Tak mi się przynajmniej wydawało. Przebywając w tamtym towarzystwie, czułem się jak gdybyśmy tworzyli jakieś tajne stowarzyszenie, świecącą blaskiem sektę gnostyczną, otoczoną morzem szarej ortodoksji.

Nie mieliśmy żadnego motta, lecz gdybyśmy takowe mieli, z pewnością brzmiałoby ono:

„Czemu nie?”

Jednak nie. Nigdy nie posunąłem się aż do takiej skrajności, by z psychologii uczynić w pełni rozwiniętą religię. Coś z mego dawnego chrześcijańskiego wychowania powstrzymało mnie przed tym. Na dodatek życie zaczynało podkopywać moją łatwą ufność w możliwość samozbawienia.

Wcześniej nie widziałem powodu, by kwestionować psychologiczną wizję życia, ponieważ — dopóki nie zacząłem zbliżać się do trzydziestki — żyło mi się jak u Pana Boga za piecem. Później miały miejsce wydarzenia, do których nie przygotowała mnie moja wiedza psychologiczna. Choć problemy, z którymi miałem do czynienia nie różniły się zbyt od tych, z którymi boryka się większość dorosłych ludzi, przyszło mi do głowy, że nie przytrafiłyby się one samourzeczywistniającej się osobie. Psychologowie, których najbardziej podziwiałem, dawali jakby do zrozumienia, między wierszami, że cierpienie nie jest powszechną dołą ludzkości, lecz jakimś głupim błędem, którego dałoby się uniknąć dzięki lepszemu rozumieniu ludzkiej dynamiki.

Popelniałem masę głupich błędów. Moje najlepsze intencje rodziły fatalne skutki. Największe starania kończyły się niepowodzeniem — nie zawsze, ale wystarczająco często, by popsuć mi plany samorealizacji. Wydawało się, że jedno marzenie można kupić tylko za cenę drugiego. Mało tego, odkryłem, że choć poświęcenie i wysiłek nie były mi w smak, były one wymagane od każdego, kto pragnął zachować choćby minimum odpowiedzialności. Jednocześnie moje eksperymenty z autoekspresją wpędzały mnie w niemiłe sytuacje, co kazało mi ponownie przyjrzeć się wierze w swoją zasadniczą niewinność.

Życie wymykało mi się z rąk, a jedyną rzeczą, jaką mogli mi doradzić przyjaciele psychologowie było jeszcze większe otwarcie się. Na tym etapie nie miałem już nic do otwarcia. Wszystko wokół mnie było wielką, otwartą jamą.

Rozpoczął się proces odwrotny. Moja wiara w psychologię zaczęła — wprawdzie powoli, ale jednak — słabnąć. Psychologiczne rusztowanie zawaliło się po tym, gdy je lekko obciążylem. Wciąż powtarzałem utarte formułki (uczyłem już wówczas psychologii), ale szybko stawało się jasne, że w większości nie miały one zastosowania w moim własnym życiu. Wedle powszechnie przyjętych standardów własnego rozwoju moje życie mogło się tylko wydawać śmieszne. W kategoriach własnego rozwoju, jak go wówczas potocznie pojmowano, znajdowałem się na drodze wiodącej wstecz. Była to głupota, a w systemie psychologicznym na głupotę miejsca nie ma.

Lecz było gdzie indziej — w wierze, którą ignorowałem przez ponad dziesięć lat, kiedy doszukiwałem się sensu we wszystkim innym. Według starej tradycji chrześcijańskiej, to,

co w oczach ludzkich jawiło się jako głupota, nie musiało nią być w oczach Boga. Pewnie ta dawna nadzieja dawała podstawę do tego, by jeszcze raz się wszystkiemu przyjrzeć.

Powróciłem do chrześcijaństwa — prawdziwego chrześcijaństwa, nie zaś jego rozcieńczonej odmiany. Był to powolny powrót, tak powolny i niechętny, że głupio by było stawiać się za jakiś wzór do naśladowania. Chciałbym tu podkreślić, że religia i psychologia stały się dla mnie prawie niemożliwe do odróżnienia. Freud i Ojcowie Kościoła, wiara w Boga i wiara w ludzkie możliwości, objawienie i samoobjawienie — wszystko to bez problemu łączyło się ze sobą. Jeśli chodzi o Boga, to zaczął On się stawać w moim umyśle kimś w rodzaju życzliwego psychologa ze szkoły o partnerskim podejściu do ucznia. Nigdy nie uchylilem się przed wypełnieniem Jego woli. Jego wola była zawsze zbieżna z moją własną.

WILK W OWCZEJ SKÓRZE

Prawdziwemu chrześcijaństwu nie jest po drodze z psychologią. Kiedy próbuje się je łączyć, kończy się to najczęściej rozwodnieniem chrześcijaństwa, nie zaś chrystianizacją psychologii. Jednak proces ten jest subtelny i rzadko zauważany. Nie zdawałem sobie sprawy, że myślę z sobą dwie różne rzeczy. A inni członkowie Kościoła, po których można by się spodziewać, że wyprowadzą mnie z błędu, byli tak samo zauroczeni jak ja. Nie był to frontalny atak na chrześcijaństwo — jestem pewien, że temu umiałbym się oprzeć. Nie było tak, że wilk stał u drzwi; wilk już się znajdował w zagrodzie, przebrany w owczą skórę. Widząc, w jaki sposób był on pieszczony i karmiony przez niektórych pasterzy, można było pomyśleć, że jest to owca-rekordzistka.

To, co mi się przytrafiło, nie było niczym niezwykłym. Od połowy lat sześćdziesiątych do końca lat siedemdziesiątych w środowiskach katolików oraz liberalnych protestantów panował nowy klimat, zdominowany przez idee psychologiczne. Liczni duchowni, siostry zakonne i działacze świeccy zaczęli — w dobrej wierze — łączyć religię z socjologią, psychologią oraz przedsięwzięciami o charakterze świeckim. Jednocześnie wielu z nich zaczęło nadawać rozwojowi osobowości nieproporcjonalnie duże znaczenie w stosunku do rozwoju duchowego. W końcu ich wiarę tak bardzo rozrzedziły rozmaite domieszki, że nie była już ona na tyle silna, by być dla nich podporą w razie osobistego lub społecznego kryzysu. Tysiące ludzi odeszło od Kościoła. Kiedy grupę byłych zakonnic zapytano w ankiecie, dlaczego odeszły od Kościoła, jako główny powód wybrały one odpowiedź „brak możliwości bycia sobą”. Również wiara przeciętnego człowieka została zachwiana. Niektórzy nadal trwali w wierze. Inni całkiem się od niej odwrócili. Jeszcze inni stali się członkami Kościołów chrześcijańskich, w których zdawało się panować mniej zwątpienia i nieporozumień.

Czy problem jest dziś mniej poważny? Ależ nie! Wydaje się, że nowa hybrydalna religia staje się coraz silniejsza.

Pewien mój znajomy spytał niedawno katechetkę, na co kładzie ona największy nacisk w programie nauczania. W odpowiedzi usłyszał:

„Uczymy dzieci rozwijać się, stawać się w pełni osobami, kwestionować różne rzeczy, wybierać wartości”. Inna — siostra zakonna — powiedziała po prostu: „Pokazujemy im jak stawać się w pełni osobami”. Pierwszą kobietę, która w Kościele episkopalnym otrzymała święcenia kapłańskie, dziennikarz zapytał, czy uważa się ona za osobę o silnej wierze religijnej. Odpowiedziała, że nie, „ale wierzę w troskę o drugiego człowieka, a o to właśnie chodzi w religii, prawda?” W trakcie zgromadzenia naukowców z Harvard Divinity School rozmawiałem z profesorem, który przedkładał nowoodkryte „ewangelie gnostyczne” nad Ewangelie Mateusza, Marka, Łukasza i Jana, ponieważ „męskie” Ewangelie „nie zaspokajają potrzeb kobiet”.

Nie jest to zjawisko czysto katolickie lub liberalne. Chrześcijańskie wspólnoty protestanckie i charyzmatyczne osłabiły granice, przez które łatwo prześlizgują się idee psychologiczne. Niektórzy telewizyjni kaznodzieje głoszą ewangelię osobistej doskonałości oraz sukcesu, która ma niewiele wspólnego z Pismem świętym, za to ma wiele wspólnego z pozytywnym myśleniem — choć sędzę, że obecnie nazywa się to „myśleniem w kategoriach możliwości”. Stoi za tym przekonanie, że wiara zapewni nam zdrową osobowość, która jest lekarstwem na choroby, a nawet stabilizację finansową. W takich wypadkach czasami w ogóle nie wiadomo, czy mamy wierzyć w Boga czy też w samych siebie.

Zamiast wyciągnąć wnioski ze smutnych doświadczeń katolików, niektórzy protestanci zdają się z uporem popełniać te same błędy. Znany protestancki pastor w swej niedawno wydanej książce nawołuje do „nowego nawrócenia” opartego na poczuciu własnej wartości, które określa mianem „najwyższej wartości”. Jak stwierdza autor, w tym „procesie nawrócenia” psychologia i teologia „będą współpracować ramię w ramię jako silni sojusznicy”.

Żaden z czytelników nie może wątpić w jego dobre intencje i promienne nadzieje. Ten jednak, kto potrafi właściwie odczytać niedawną przeszłość i dostrzec konsekwencje tego typu sojuszy, nie będzie aż tak optymistyczny.

CHRZEŚCIJAŃSTWO I...

Owe próby uczynienia z psychologii sojusznika we wspólnej sprawie są przykładem zjawiska nazwanego „chrześcijaństwo i...” Stanowi ono silną pokusę dla tych, którzy obawiają się, że samo chrześcijaństwo jest czymś niewystarczającym. Problem polega na

tym, że „chrześcijaństwo i...” marginalizuje prawdziwe chrześcijaństwo i nie pozwala mu w pełni zapanować.

Lewis zaproponował kiedyś, byśmy wyobrazili sobie chrześcijaństwo jako pożądaną chorobę: coś, czym chcemy się zarazić. W tej sytuacji „chrześcijaństwo i...” to coś w rodzaju szczepionki. Składa się ona z niewielkiej dozy czynników chorobotwórczych, zmieszanej z innymi surowicami. Może wywołać opuchnięcie ręki lub niewysoką gorączkę, lecz chroni przed pożądaną infekcją, którą należy się zarazić. Rzecz jasna, zabieg ten będzie miał najbardziej szkodliwy wpływ na ludzi młodych, którzy z niczym innym się jeszcze nie zetknęli.

SPRAWA KAŻDEGO Z NAS

Oczywiste jest zatem, dlaczego chrześcijan powinien niepokoić czar roztaczany przez psychologię. Dlaczego jednak mieliby się tym przejmować niechrześcijanie?

Tylko dlatego, że oni i ich dzieci również żyją w społeczeństwie psychologicznym. I jeśli prawdą jest, że psychologia pozbawiła chrześcijan ich wiary, to równie prawdziwe wydaje mi się twierdzenie, że wszyscy daliśmy się pozbawić szlachetnych odruchów oraz zdrowego rozsądku. W przypadku pewnych twierdzeń, formułowanych przez psychologię, możemy zadać sobie pytanie: „Czy są one bezbożne?” Równie dobrze możemy też zapytać: „Czy są one realistyczne?” Jeśli system zawiera jakieś braki, ujawnią się one w kwestiach praktycznych, a wówczas będą obrazą nie tylko dla bogów, lecz także dla naszego poczucia logiki.

W ten sposób przechodzimy do ostatniego zagadnienia. Przeciętny człowiek nie lęka się już, kiedy słyszy, że jego postępowanie może go zaprowadzić do piekła, natomiast poważnie się zastanowi, gdy usłyszy, że zaprowadzi go do państwowego szpitala. Nie twierdzę, że wszyscy jesteśmy na drodze do domu wariatów — choć i taki pogląd dałoby się uzasadnić — wydaje mi się jednak, że wszyscy dajemy sobie narzucić posępny i bezbarwny styl życia, którego symbolem jest państwowy szpital. Zbyt poważny stosunek do własnego „ja” jest podejściem niezdrowym i nie przynoszącym powodzenia. Prowadzi on nie do społeczeństwa złożonego z różnych i interesujących jednostek, lecz do ponurego ula pełnego jednakowo wyglądających i jednakowo mówiących istot, bzyjących te same historie i brzęczących z przejęcia samymi sobą.

Chodzi mi o rzecz następującą: Nawet jeśli zastosować kryteria czysto doczesne, nie ma pewności, czy idee psychologiczne poprawią naszą sytuację. Dysponujemy tysiącami fachowych porad oraz całymi stosami rewelacji dotyczących własnego „ja”. Czy dzięki temu poruszamy się lżejszym krokiem lub serdeczniej się śmiejemy?

Nie trzeba zatem być chrześcijaninem, aby zrozumieć argumenty zaprezentowane w tej

książce. Krytyka, której dokonuję ma podłoże intelektualne, jak i duchowe. Psychologia chce, byśmy daną ideę oceniali na podstawie nie tego, czy ocali ona duszę człowieka, lecz tego, czy ocali ona jego zdrowie psychiczne. Jej cel to uczynienie życia bardziej ludzkim. Uważam, że można udowodnić, iż psychologia czyni w tym kierunku znacznie mniej, niż się powszechnie sądzi, natomiast chrześcijaństwo — znacznie więcej.

ROZDZIAŁ II

W dobrej wierze

Czy psychologowie wiedzą, jak nam pomóc?

Kłęska wiary psychologicznej

Badania i zdrowy rozsądek

Jeśli oddamy samochód do naprawy, a następnie stwierdzimy, że nie tylko dalej nie jeździ tak, jak powinien, lecz pojawiły się w nim dodatkowe usterki — skłoni to nas do rozmaitych podejrzeń. Jeśli sytuacja będzie się powtarzać, zrezygnujemy z usług danego warsztatu. Nie musimy od razu podejrzewać mechanika o to, że postępuje nieetycznie. Możemy go uważać za uczciwego człowieka. Niemniej jednak zaczniemy się zastanawiać nad jego kompetencjami.

Nie mamy również powodu nie wierzyć w szczerą chęć włożoną w pracę zawodowych psychologów i specjalistów w dziedzinie nauk społecznych. Większość fachowców, którzy w społeczeństwie psychologicznym pełnią rolę przewodników, działa w dobrej wierze. Możemy pójść jeszcze dalej i powiedzieć, że wielu z nich to ludzie oddani i pełni poświęcenia. Psychologowie i **psychoterapeuci** często okazują troskę i zainteresowanie, których zdesperowane jednostki na próżno szukają gdzie indziej. A celem większości badań psychologicznych jest definitywne ulepszenie rodzaju ludzkiego.

Mogą jednak istnieć powody pozwalające kwestionować kompetencje psychologicznych doradców. Chęć niesienia pomocy nie gwarantuje uzyskania pożądanego efektów.

Niekiedy, jak z ironią zauważył Henry D. **Thoreau**, efekty te są odwrotne do zamierzonych. „Gdybym był przekonany, że jakiś człowiek zmierza do mnie w świadomym celu czynienia mi dobrze, uciekłbym co sił w nogach”.

CZY PSYCHOLOGOWIE WIEDZĄ, JAK NAM POMÓC?

Fakt, że psychologowie próbują nam pomóc, często nie pozwala nam zapytać, czy oni wiedzą, jak to się robi. Uważamy, że kogoś, kto próbuje nam pomóc, nie wypada pytać, czy wie, co robi. Oczywiście, nie tylko dobre obyczaje powstrzymują nas przed kwestionowaniem psychologii. Także zaufanie — takie zaufanie, które każe nam wierzyć, że nauczyciele w szkole robią to, co jest dla naszych dzieci najlepsze. Albo takie zaufanie, dzięki któremu wiemy, że człowiek w sutannie nie pobije nas na ulicy ani nie ukradnie nam portfela. Mimo to powinniśmy pytać, czy psychologowie rzeczywiście wiedzą, w jaki sposób można pomóc innym ludziom. Wiele badań wskazuje na to, że psychologia jest mało skuteczna. Istnieją też dowody prowadzące do wniosku, że psychologia jest wręcz

szkodliwa.

Pierwsza oznaka tego, że psychologia może być nieskuteczna pojawiła się w 1952 roku, kiedy to **Hans Eysenck** z Instytutu Psychiatrii Uniwersytetu Londyńskiego odkrył, że osoby neurotyczne nie poddane terapii mają takie same szansę wyzdrowienia jak te, które z terapii korzystają. Stwierdził on, że psychoterapia nie przynosi lepszych skutków niż zwykły upływ czasu. Dodatkowe badania przeprowadzone przez innych naukowców dały podobne wyniki. Następnie dr **Eugene Levitt** ze Szkoły Medycyny Uniwersytetu stanu Indiana stwierdził, że dzieci z zaburzeniami, nie poddane leczeniu wracają do zdrowia tak samo szybko jak dzieci z zaburzeniami, które są leczone. Problem ten ujawniły także wyniki obszernych badań nad młodzieżą w Cambridge-Somerville. Prowadzący badania odkryli, że młodociani przestępcy, nie korzystający z poradnictwa, wchodzą w konflikt z prawem rzadziej niż ci, którzy taką pomoc otrzymują. Inne badania wykazały, że niewykwalifikowani laicy potrafią leczyć pacjentów nie gorzej niż psychiatrzy czy psychologowie kliniczni. Z kolei badania przeprowadzone w **Rosen-ham** pokazały, że personel szpitali psychiatrycznych nie potrafi nawet odróżnić ludzi normalnych od ludzi z prawdziwymi zaburzeniami. Można by tę listę ciągnąć jeszcze dalej. Jest ona dość długa. Mam jednak nadzieję, że wystarczy to, by móc stwierdzić, że kiedy psychologowie usiłują nam pomóc, nieszczególnie im to wychodzi.

WARTOŚCI PROPONOWANE PRZEZ PSYCHOLOGIE I WARTOŚCI TRADYCYJNE

Jest jeszcze jedna kwestia, zarzut bardziej poważny. Psychologia oraz inne nauki społeczne mogą przynosić prawdziwą szkodę naszemu społeczeństwu. Nie chodzi o to, co robi ten lub tamten **psychoterapeuta**. Może on akurat być dla swoich klientów prawdziwym darem niebios. Chodzi o to, że na większą skalę wartości proponowane przez psychologię obeszły się dość bezceremonialnie z wartościami tradycyjnymi. Nie bez powodu można sądzić, że nowe wartości mają w sobie coś niszczącego.

Nie trzeba być wielkim uczonym, aby to zauważyć. Prawdę powiedziawszy, erudycja często jest przeszkodą uniemożliwiającą zrozumienie tego, co się naprawdę dzieje. Jest bardzo prawdopodobne, że gdy ze społeczeństwem dzieje się coś niedobrego, przeciętny rodzic lub robotnik z fabryki prędzej się zorientuje, o co chodzi niż profesor uniwersytetu. Obecnie wielu rodziców ma poczucie, że znajdują się oni w sytuacji obserwatorów spoglądających bezradnie na to, jak szkoła i środki masowego przekazu karmią ich dzieci obcymi im wartościami. Dawne opowieści o wrózkach i czarownicach podmieniających w nocy dzieci wydają się dziwnie aktualne.

Dość jaskrawy przykład takiego procederu pochodzi ze Szwecji, z kraju, w którym

psychoterapia jest najbardziej popularna na świecie, gdzie uchwalono ustawę zakazującą rodzicom dawać dzieciom klapsa. Co więcej, kryminalnym przestępstwem jest straszenie, ostracyzm, wyśmiewanie lub jakiegokolwiek inne „psychologiczne znęcanie się” nad dzieckiem. Przypuszczalnie oznacza to, że rodzicom nie wolno już podnieść głosu na własne dzieci, ani wysłać ich do kąta. Brak jednak dowodów na to, że wskutek tego oświecenia melancholia Szwedów choć odrobinę zmalała. Wszystko wskazuje na to, że uczucie znudzenia i niepokoju u młodych Szwedów jest większe niż kiedykolwiek.

KŁĘSKA WIARY PSYCHOLOGICZNEJ

W ogóle nie jest jasne, czy psychologiczny establishment, bez względu na to, jak dobrymi intencjami się kieruje i jak miłe wywiera wrażenie, wie, w jaki sposób można człowiekowi pomóc. Zewsząd dochodzą niepokojące sygnały, wskazujące na to, że wiara ta się nie sprawdza. Pomimo stworzenia prawdziwej armii psychiatrów, psychologów, psychometrów, doradców i pracowników opieki społecznej, nie zmniejszyła się liczba zachorowań na choroby psychiczne, samobójstw, przypadków alkoholizmu, narkomanii, znęcania się nad dziećmi, rozwodów, morderstw itp. Wbrew temu, czego można by oczekiwać w społeczeństwie, które tak starannie analizują i którym tak dogłębnie zajmują się eksperci w dziedzinie zdrowia psychicznego, mamy do czynienia ze wzrostem w każdej z tych kategorii. Czasami wydaje się, że istnieje bezpośrednia zależność pomiędzy rosnącą liczbą osób, niosących pomoc a rosnącą liczbą tych, którzy pomocy potrzebują. Im więcej mamy psychologów, tym częściej cierpimy na choroby psychiczne; im więcej pracowników opieki społecznej oraz opiekunów, zajmujących się warunkowo zwolnionymi przestępcami, tym wyższa przestępczość; im więcej nauczycieli, tym większa niewiedza.

Wszystko to musi zastanawiać. Mówiąc otwarcie, wygląda to podejrzanie. Zmuszeni jesteśmy wziąć pod uwagę taką ewentualność, że oto psychologia oraz pokrewne profesje usiłują rozwiązywać problemy, do powstania których same się przyczyniły. Psychologowie rozbudzają do niewiarygodnych rozmiarów ludzkie nadzieje na osiągnięcie w tym życiu szczęścia po to, by później udzielać porad w kwestiach kryzysu wieku średniego oraz umierania. Psychologowie z zaabsorbowania własną osobą czynią cnotę po to, by później dziwić się zwiększoną liczbą przypadków narcyzmu. Psychologowie pouczają sądy, że nie ma czegoś takiego, jak złe dziecko czy nawet zły dorosły tylko po to, aby później formułować teorie w celu wytłumaczenia wzrostu przestępczości. Psychologowie zrywają więzi życia rodzinnego, aby później prowadzić terapie dla rozbitych rodzin.

OCZEKIWANIA I REZULTATY

Istnieje zbyt wiele różnych „jeśli”, „i” oraz „ale”, by móc udowodnić istnienie związku

przyczynowego pomiędzy wzrostem znaczenia psychologii, a osłabieniem więzi społecznych. Z pewnością jednak dowody są na tyle wystarczające, by móc podać w wątpliwość twierdzenie o korzyściach płynących z psychologii. Spodziewamy się, że w dziedzinach, w których fachowcy rzeczywiście wiedzą, co czynią, będzie to wyraźnie widoczne. Dokładnie wyjaśnia to brytyjski socjolog, Stanislaw **Andreski**, porównując psychologię i socjologię z innymi profesjami. Zauważa on, że jeśli dana profesja oparta jest na dobrze ugruntowanej wiedzy, to powinien istnieć związek pomiędzy liczbą osób uprawiających dany zawód a osiągniętymi rezultatami:

Zatem w kraju, posiadającym mnóstwo inżynierów telekomunikacji, dostępność usług telefonicznych będzie zwykle wyższa niż w kraju, który posiada niewielką liczbę tego typu specjalistów. W krajach lub regionach o dużej liczbie lekarzy i pielęgniarek śmiertelność będzie niższa niż tam, gdzie zawody te należą do rzadkości. Prowadzenie rachunków finansowych będzie sprawniejsze i bardziej powszechne w krajach posiadających wielu wykwalifikowanych księgowych niż tam, gdzie są oni nieliczni.

A jakie korzyści płyną z psychologii i socjologii? **Prof. Andreski** mówi dalej:

Powinno się więc okazać, że w krajach, regionach, instytucjach lub sektorach, w których szeroko korzysta się z usług psychologów, rodziny są bardziej trwałe; więzy pomiędzy małżonkami, rodzeństwem, rodzicami i dziećmi są silniejsze i bardziej serdeczne, stosunki w pracy są bardziej harmonijne, traktowanie korzystających z pomocy jest lepsze; wandalizm, przestępców i narkomanów jest mniej niż w miejscach lub środowiskach, które nie korzystają z umiejętności psychologów. Na tej podstawie moglibyśmy dojść do wniosku, że tym błogosławionym krajem zgody i pokoju są oczywiście Stany Zjednoczone; i że w coraz większym stopniu stawały się takie w ciągu ostatnich dwudziestu pięciu lat, w miarę jak rosła liczba socjologów, psychologów i politologów.

Tak się jednak nie stało. Wręcz przeciwnie, wydaje się, że jest coraz gorzej. Ulice są niebezpieczne. Rodziny są w rozsypce. Młodzi ludzie odbierają sobie życie. A gdy społeczeństwo psychologiczne usiłuje się z tymi problemami uporać, często zdaje się tylko pogłębiać. Na przykład, otwieraniu w miastach ośrodków zapobiegania samobójstwom towarzyszy wzrost liczby samobójstw. Poradnictwo małżeńskie nierzadko doprowadza do rozwodu. A dzięki trzeźwej obserwacji rzeczywistości widzimy, że wprowadzenie na szeroką skalę publicznej edukacji seksualnej nie zdołało, choćby w najmniejszym stopniu, powstrzymać wzrostu liczby przypadków niechcianej ciąży, rozwiązłości i chorób wenerycznych. Istnieją raczej dowody, że tego rodzaju inicjatywy skutkują przedwczesnym podejmowaniem współżycia seksualnego i związanymi z tym problemami.

Trudno oprzeć się twierdzeniu, że przepisane lekarstwo może być przyczyną choroby.

Andreski pisze: „Gdybyśmy zauważyli, że kiedy tylko przyjeżdżają strażacy, płomienie stają się większe, pewnie zaczęlibyśmy się zastanawiać, co takiego leją na ogień — czy czasami to nie jest oliwa”.

BADANIA I ZDROWY ROZSĄDEK

Tu potrzebna jest przestroga. Pomimo istnienia silnych argumentów przemawiających przeciwko psychologii, nie chcę, aby wyglądało na to, że porażka psychologii została niezbitnie dowiedziona. Opieranie się na statystykach zawsze wiąże się z pewnymi problemami. To, że dwie rzeczy występują razem nie dowodzi jeszcze, że jedna z nich jest przyczyną drugiej. Jeśli wzrostowi przestępczości akurat towarzyszy wzrost na giełdzie, nie możemy na tej podstawie wnioskować, że wzrost na rynku jest przyczyną przestępstw. Można sobie wyobrazić, że rozwój psychologii i odpowiadające mu nasilenie się problemów społecznych to tylko zbieg okoliczności. Można nawet twierdzić, że problemy te byłyby znacznie poważniejsze, gdyby nie pomoc ze strony psychologii. Można wreszcie przyjąć do wiadomości dotychczasowe porażki, lecz mimo to twierdzić, że podstawowe idee są słuszne, nawet jeśli źle wprowadzono je w życie.

Moim zdaniem, sytuacja stanie się o wiele prostsza, gdy idee te skonfrontujemy z naszymi doświadczeniami lub poczuciem zdrowego rozsądku.

Weźmy na przykład dwie uparcie głoszone tezy psychologii popularnej: pogląd, że odgrywanie ról kępuje autoekspresję oraz pogląd, że dawanie upustu własnej złości dobrze nam robi. Jeśli choć przez chwilę zastanowimy się nad którymkolwiek z tych twierdzeń, znajdziemy bardzo wiele przypadków świadczących o tym, że jest dokładnie na odwrót.

Przypuśćmy na przykład, że w szkole podstawowej nauczycielka czyta swojej klasie opowiadanie. Przypuśćmy też, że historia ta jest bardzo sugestywna, pełna emocji i szlachetnych uczuć. Przypuśćmy teraz, że nauczycielka jest tak wzruszona, że chce jej się płakać. Czy powinna ulec swym emocjom? Czy może sobie pozwolić na to, by wybuchnąć szlochem? W tym momencie właśnie to byłoby rzeczą najbardziej „naturalną”. Sądzę jednak, że wszyscy zgodzimy się co do tego, iż lepiej byłoby, gdyby kobieta wzięła się w garść i kontynuowała opowiadanie, starając się nadać mu jak najbardziej dramatyczny wyraz. W przeciwnym wypadku uczniowie straciliby to, co w opowiadaniu jest najcenniejsze. W końcu nauczycielka już je czytała, przyszła zatem pora, by uczniowie mogli poznać jego siłę oddziaływania. Teraz niech o n i płaczą. Mało tego, niech ronią gorące łzy, lecz nie stawiajmy ich w niejasnej i kłopotliwej sytuacji, kiedy musieliby pocieszać dorosłą osobę, nie potrafiącą właściwie odegrać swojej roli.

Czy odgrywanie ról utrudnia autoekspresję? Może czasami tak.

Czasami jednak **autoekspresja** może przeszkadzać głębszej, silniejszej ekspresji. A w takich wypadkach dobre odgrywanie naszych ról jest najbardziej ludzką i autentyczną rzeczą, jaką możemy zrobić.

Jeśli chodzi o pogląd, jakoby ujawnianie gniewu było uwalnianiem się od niego, pomyślmy o znanych nam osobach, które najłatwiej ulegają złości. Czyż nie jest zwykle tak, że ich wrogość najzwyczajniej narasta? Wyrażanie wrogości, jak można łatwo zaobserwować, często utrwała i wzmacnia gniew.

Sami psychologowie dochodzą obecnie do takiego przekonania. Wydana niedawno książka, poświęcona złości, kończy się stwierdzeniem, że wyładowywanie się jest dla nas na ogół szkodliwe. Książka pełna jest naukowych dowodów na poparcie owej tezy. Lecz czy mamy spędzić życie, czekając na naukowy werdykt dotyczący tego, co i tak widać gołym okiem?

Przed nami rozdział, w którym będziemy mogli przyrzeć się jednemu z bardziej popularnych współczesnych pojęć, analizując je z punktu widzenia zarówno wiary, jak i zdrowego rozsądku.

ROZDZIAŁ III

Poczucie własnej wartości

Z czego być zadowolonym?

Słabość stanowiska psychologicznego

Obsesja na punkcie samego siebie

„Ważne, by lubić siebie samego”. „Jeśli nie polubisz sam siebie, nikt inny cię nie polubi”. „Kłopot Jimmy'ego polega na tym, że ma o sobie złe mniemanie”.

Ile razy słyszeliśmy takie właśnie lub podobne frazesy? Gotów jest je wypowiedzieć zarówno taksówkarz, jak i nauczyciel, hydraulik, jak i psycholog. Mało tego, wszyscy jesteśmy święcie przekonani, że poczucie własnej wartości to klucz do rozwiązywania wszelkich problemów.

Lubienie samego siebie stało się dla nas niemal pierwszorzędną zasadą. Wydaje się ono równie oczywiste jak zdanie: ...niebo jest błękitne”. Nikt nie jest skłonny go kwestionować. Psychologia, rzecz jasna, nie wymyśliła tego pojęcia, choć wykorzystwała je do swoich potrzeb. Można by powiedzieć, że jest ono „dobrą nowiną” psychologicznej ewangelii.

Kiedy więc poddaję krytyce pojęcie poczucia własnej wartości, czynię to z pewnym lękiem. To tak, jakby krytykować twierdzenie:

„dzieci są rozkoszne”. Niemniej pojęciu temu trzeba się naprawdę uważnie przyjrzeć, ponieważ idee, podobnie jak zastawa stołowa, zwykle występują w kompletach, a niektóre z poglądów, towarzyszących wierze w poczucie własnej wartości, nie są aż tak urocze jak malutkie dzieci.

Na przykład, książkowe poradniki najczęściej rozpoczynają się od propozycji, byśmy pokochali samych siebie, zaraz jednak informują nas, że nie jesteśmy odpowiedzialni za innych ludzi, i że nie powinniśmy marnować czasu, starając się sprostać oczekiwaniom innych. Większość z nas wie również, że „bycie zadowolonym z siebie” stanowi czasami wygodne usprawiedliwienie egocentrycznego czy wręcz samolubnego postępowania. Mówimy: „Nie będę dobry dla innych, jeśli nie będę dobry dla siebie”, po czym wysyłamy naszego trzylatka do przedszkola na pięćdziesiąt godzin tygodniowo lub sięgamy do rodzinnej kasy, by móc spędzić dzień na wyścigach.

Naszą reakcją na pytanie: „Czy mamy lubić samych siebie?”, musi tonować zdrowy rozsądek. Odpowiedź powinna brzmieć: „To zależy” lub „W jakich

okolicznościach?" Rozumiem, że każdy z nas chciałby być świadkiem tego, jak nie tolerująca własnej osoby, martwiąca się o swą popularność nastolatka zaczyna nabierać swobody i akceptować samą siebie. Podstawową kwestią jest, jak przypuszczam to, czy nadal ma być z siebie zadowolona, jeśli rozsiewa złośliwe plotki lub z okrucieństwem manipuluje innymi ludźmi po to, by polepszyć swoją pozycję w towarzystwie. Innymi słowy: czy mamy lubić siebie samych bez względu na to, jak postępujemy?

NA CZYM POLEGA ODMIENNOŚĆ STANOWISKA CHRZEŚCIJAŃSKIEGO

Otóż odpowiedź, jakiej na to pytanie udziela psychologia, jest taka, że jeśli *szczerze* polubimy samych siebie, to cała reszta nie będzie nam grozić — przynajmniej nie aż w takim stopniu. Zgodnie z tym poglądem, osoby mające poczucie własnej wartości nie odczuwają potrzeby popelniania *rzeczy* odrażających lub złych. Proszę zwrócić uwagę, że w tym właśnie miejscu rozchodzą się drogi chrześcijaństwa i psychologii. Chrześcijanin powie, że ludzie nadal będą źle postępować, ponieważ natura ludzka jest wypaczona, natomiast fakt, że ktoś lubi samego siebie, wypaczenia tego nie eliminuje. Jednak teoria psychologii nie bierze pod uwagę upadku człowieka; stoi na stanowisku, że nie ma czegoś takiego, jak złe skłonności. W konsekwencji nie ma powodu, byśmy nie mogli zaakceptować siebie takimi, jakimi jesteśmy.

Pomimo że, jak mówię, jest to przedmiotem konfliktu pomiędzy chrześcijaństwem a psychologią, niektórzy chrześcijanie nie patrzą na to w ten sposób, ponieważ — na pierwszy rzut oka — stanowiska psychologii i chrześcijaństwa zdają się być ze sobą zgodne. Chrześcijaństwo też nam każe kochać siebie samych, lecz z całkiem innego powodu: ponieważ Bóg nas kocha. Dobro i doskonałość skupiają się w nas nie tylko za naszą sprawą. Przedstawiamy sobą nieskończoną wartość, ponieważ jesteśmy oczkiem w głowie Pana Boga, który kocha nas tak, jak matka kocha swoje dziecko.

Choć pewnie bardziej precyzyjne będzie stwierdzenie: „który kocha nas tak, jak matka kocha swoje niesforne dziecko”, ponieważ w takim wypadku miłość wymagać będzie odpowiednich korekt. O tym właśnie nie pamiętają niektórzy chrześcijanie. Dostrzegają oni tylko podobieństwa: I chrześcijaństwo, i psychologia twierdzą, że stanowimy wielką wartość. Stąd wyciągają oni wniosek, że, wsłuchując się w bardziej aktualne spostrzeżenia psychologii, dotyczące

miłości własnej, chrześcijanie mogą na tym tylko skorzystać. Wydaje im się, że działają na korzyść chrześcijańskiego świata, podczas gdy, myśląc z sobą dwa przeciwstawne pojęcia, w rzeczywistości i jemu, i samym sobie wyświadczają niedźwiedzią przysługę. Zazwyczaj kończy się to tym, że zwracają się oni ku samym sobie oraz ku Bogu, który ma więcej wspólnego z psychologią niż z religią. Wyobrażają sobie Boga jako wyrozumiałego psychoterapeutę, który pragnie tylko tego, byśmy pokochali i zaakceptowali siebie samych takimi, jakimi jesteśmy. Zamiast przyjmować taki rozmyty obraz Boga, powinniśmy raczej przypomnieć sobie stworzony przez T. S. Eliota wizerunek Chrystusa jako „chirurga ratującego rannych”, który przeprowadza na nas poważne operacje chirurgiczne, ponieważ potrzebne nam jest nie poklepywanie po ramieniu, lecz operacja: najprawdopodobniej przeszczep serca.

Z CZEGO BYĆ ZADOWOLONYM?

Chrześcijaństwo chce, byśmy byli z siebie zadowoleni, ale dopiero wówczas, gdy jest z czego być zadowolonym. Zanim nam pogratuluje dobrego zdrowia, chce nas wprowadzić na drogę wiodącą do wyzdrowienia. Jak zauważa C. S. Lewis, właśnie taka postawa charakteryzuje kogoś, kto naprawdę się o nas troszczy: „Jedynie dla ludzi nam obojętnych żądamy szczęścia za wszelką cenę; jesteśmy za to wymagający wobec naszych przyjaciół, naszych ukochanych i naszych dzieci. Wolelibyśmy, aby raczej cierpieli niż byli szczęśliwi w sposób wypaczający i godny pogardy” *. Gdyby rodzice powiedzieli: „Dopóki moja córka jest z siebie zadowolona, nie obchodzi mnie, jakim jest człowiekiem ani jak postępuje”, postawa taka pozostawiałaby wiele do życzenia. Trzeba by się w tym miejscu zastanowić, jak silna jest miłość tych rodziców. Jeśli kogoś kochamy, trudno nam patrzeć na to, jak osoba ta robi coś niemilego. Chcemy wtedy sprawić, aby wzbudzała więcej sympatii. Od miłującego Boga nie powinniśmy oczekiwać niczego innego. I jeśli zależy nam na tym, aby dołączyć do wspólnoty świętych, nie spodziewajmy się, że w zaproszeniu będzie napisane: „Przyjdź taki, jaki jesteś; nie chcemy cię zmieniać” (co, nawiasem mówiąc, można usłyszeć w reklamie radiowej Kościoła unitariańskiego).

Chrześcijanie powinni uważać, by nie mylić z sobą tych dwóch stanowisk wobec poczucia własnej wartości, ponieważ perspektywa psychologiczna sprowadza dobrą nowinę Ewangelii do statusu „miej nowiny” — „miej”, ponieważ nigdy nie było żadnej złej nowiny. Jeśli uzasadniony jest wielki

optymizm, z jakim psychologia patrzy na nagą naturę ludzką, to chrześcijaństwo jest nikomu niepotrzebne: Chrystusowy akt odkupienia na krzyżu staje się zbyteczny. W końcu, po co Chrystus miałby cierpieć i umierać dla naszego zbawienia, skoro wszystko z nami jest w porządku? Jeśli dla osiągnięcia pełni starcza, abyśmy po prostu byli sobą, to śmierć Chrystusa sprowadza się do pozbawionego znaczenia gestu, szlachetnego, lecz niepotrzebnego poświęcenia własnej osoby.

Zrozumiałe zatem, że chrześcijanie nie mogą zaakceptować koncepcji o naturalnym dobru, obecnej w większości teorii dotyczących poczucia własnej wartości. Dlaczego jednak ktokolwiek miałby ją zaakceptować? Warto przypomnieć, że sam Freud w nią nie wierzył. Wierzył w coś całkiem przeciwnego: „Człowiek jest człowiekowi wilkiem” stwierdził w książce *Kultura jako źródło cierpień*. Mimo to jego opinię na ten temat najczęściej się dziś ignoruje lub przemilcza. Wolimy podtrzymywać wiarę w ludzką naturę. Jednak twierdzenie o dobrej naturze człowieka wymaga olbrzymiej wiary. A to z tego prostego powodu, że co chwilę zadają mu kłam pewne dobrze znane fakty: statystyki przestępstw, terroryzm, wojny, niewolnictwo, obozy koncentracyjne, brutalność rodziców, niewdzięczność dzieci, podłość w życiu codziennym. Chesterton zauważył kiedyś, że doktryna o upadku człowieka to jedyna prawda chrześcijańska, na którą mamy przygniatające dowody empiryczne.

Prawdą jest jednak, że często statystyki nas nie przekonują. Gdybym sądził, że jest inaczej, wspomniałbym o kilku ważnych eksperymentach psychologicznych, zaprzeczających idei naturalnego dobra. Pożyteczniejsze wydaje się przeniesienie problemu na płaszczyznę bardziej osobistą, to znaczy taką, gdzie dochodzi do głosu powszechne doświadczenie.

Otóż samoświadomość ujawnia różne miłe fakty o nas samych, ale ujawnia i takie, które nie są aż tak miłe. Odnoszę wrażenie, że wiele „dowodów”, świadczących o naszym dobru, opartych jest nie na tym, co rzeczywiście robimy, lecz na tym, co — jak sądzimy — zrobilibyśmy w takiej czy innej sytuacji, lub też na tym, co — naszym zdaniem — powinni zrobić inni. Mówienie o piłce lepiej nam wszystkim wychodzi niż sama gra. Dokładnie wiemy, co byśmy zrobili, gdybyśmy byli którymś z zawodników na boisku, choć prawda jest taka, że mając okazję zagrać, tracilibyśmy piłkę znacznie częściej niż on.

Wszyscy na przykład mówimy, że nie wolno traktować ludzi przedmiotowo. A

jednak robimy to codziennie. Iksa prosimy o jakąś pożyteczną informację, Igreka o drobną przysługę, po czym o nich zapominamy. Nie ma dla nas najmniejszego znaczenia, że nie zobaczymy ich przez cały następny miesiąc, czy też do momentu, gdy znowu mogą nam się okazać przydatni. Albo pomyślimy, jak reagujemy na wieść o jakiejś skazie w życiu szlachetnego człowieka. Czyż nieprawdą jest, że często z zadowoleniem dowiadujemy się, że ktoś nie jest aż tak dobry, jak powszechnie sądzono? Jeśli ciśnie nam się na usta odpowiedź „taka jest po prostu ludzka natura”, nie zapominajmy, że właśnie o ludzkiej naturze tu rozprawiamy.

Są oczywiście i gorsze rzeczy, przeważnie znane tylko nam samym: czyny, o których na samą myśl wstrzymujemy oddech, licząc na to, że nigdy nie zostaną wykryte — i mając w zanadrzu kilka kłamstw na wypadek, gdyby jednak wyszły na jaw. Są też inne czyny, na które nigdy nie ośmieliliśmy się spojrzeć wprost: rzeczy, które pospiesznie pokrywamy różnymi usprawiedliwieniami, wmawiając sobie, że nie mieliśmy innego wyboru, podczas gdy w rzeczywistości wybór taki istniał; uchylając się od rzetelnej analizy swego zachowania, ponieważ wiedzieliśmy, że nigdy nie sprostalibyśmy takiej próbie. Zamiast zapobiegać tego typu zachowaniom, poczucie własnej wartości często do nich zachęca. Pozwala nam sądzić, że mamy prawo nie stosować się do zasad, ponieważ jesteśmy kimś wyjątkowym.

O samym sobie wiem, że najbardziej wstydlive epizody mojego życia — rzeczy, na myśl o których się wzdragam — wynikały z mojej radosnej akceptacji samego siebie. Miało to miejsce w okresie, gdy moje poczucie własnej wartości było najsilniejsze, ja zaś „niewinnie” poddawałem się impulsom, które, jak przekonywałem sam siebie, były dobre, a przynajmniej neutralne. Moje poczucie własnej wartości po prostu wykluczało jakąkolwiek uczciwą samoświadomość: ta pojawiła się znacznie później. Kiedy udaje nam się przywołać w myślach, choćby na krótką chwilę i niewyraźnie, nasze podłe i niewybredne czyny, jest to, rzecz jasna, dopiero połowa zagadnienia. Na drugą połowę składa się wszystko to, czego nie zrobiliśmy, lecz zrobilibyśmy, gdybyśmy byli przekonani, że uda nam się uniknąć konsekwencji; wszystko to, czym nas kusi anonimowość nieznanego miasta lub towarzystwo osób, z którymi zwykle nie przestajemy. Staramy się tych rzeczy nie robić, ponieważ boimy się, że zostaniemy przyłapani i okryci hańbą, czy może nawet wsadzeni do więzienia.

Prawda jest taka, że prawo oraz lęk przed publicznym potępieniem każą nam

postępować godziwie znacznie częściej, niż bylibyśmy to skłonni przyznać. „Każdy człowiek — pisał Lewis — (...) stara się dorównać zewnętrznej postawie moralnej innych ludzi, wiedząc jednak, że to, co kryje się w nim samym, stoi na o wiele niższym poziomie niż jego najbardziej naganne publiczne występy, nawet niż jego najbardziej cyniczna gadanina (...) I nikt nie zgadnie — powiedział dalej — do jakiego stopnia te rzeczy były zwykłym zjawiskiem w twojej duszy, jak były w nią wrosnięte i stanowiły jedno z całą resztą”.

Jeśli uświadomimy to humaniście, może zrobi on krok czy dwa do tyłu, lecz nie zmieni kierunku, w którym zmierza. Jego następny argument będzie prawdopodobnie mniej więcej taki: „Nie zrozumiałeś, o co chodzi”. „Jeśli ktoś zejdzie na złą drogę, to nie on jest temu winien, lecz jego kultura” — powie. Innymi słowy twierdzi on, że społeczeństwo nie pozwala ludziom być sobą; wypacza ono ich szlachetne odruchy. Jeśli zatem chcemy się przekonać, jakie jest naprawdę własne „ja”, musimy dotrzeć do osób, które nie zostały skrzywione przez społeczeństwo — na przykład do małych dzieci. Przyznać trzeba, że to dobra rada. Jeśli się do niej zastosujemy, to pierwszą rzeczą, jaką odkryjemy będzie to, że humaniści nie przyjrzeni się zbyt dokładnie dzieciom: z reguły nie są one zbyt dobrą reklamą stanu naturalnego.

Aby zobaczyć czy to prawda, wyobraźmy sobie, że nagle znaleźliśmy się w krainie olbrzymów, a następnie zastanówmy się, czy wolelibyśmy zostać odkryci przez grupę czteroletnich olbrzymów czy przez grupę dorosłych olbrzymów. Jeśli z powodów romantycznych skłaniamy się ku czterolatkom, pomyślmy o tym, jak niepewny jest los naszego domowego kota, gdy przebywa on wśród dzieci. Zwróćmy uwagę, że jego szansa bycia potraktowanym po ludzku jest o wiele większa, gdy przebywa on wśród osób dorosłych. Dzieci są niewątpliwie urocze, lecz są także przykładem na to, jak bardzo potrzebujemy społeczeństwa, jeśli nie chcemy, by rządziły nami siła, kaprys i egoizm. Takie praktyki jak podbieranie sobie zabawek, niechęć dzielenia się nimi, bicie młodszych sióstr czy bezczelne kłamanie po to, by nic się nie wydało, zaczynają pojawiać się w życiu dziecka na tyle wcześnie, że wskazuje to, iż fatalna skaza tkwi nie w jego otoczeniu, lecz w jego naturze. W końcu to właśnie społeczeństwo — za pośrednictwem rodziców — uczy dziecko, że należy oddać skradziony wózek, dzielić się zabawkami, dobrze traktować siostrę oraz być prawdomównym. Przeoczenie tego wszystkiego nie świadczy zbyt dobrze o zmyśle obserwacji tych, którzy są orędownikami

wrodzonego dobra.

SŁABOŚĆ STANOWISKA PSYCHOLOGICZNEGO

Czy powinniśmy kochać samych siebie? Owszem, powinniśmy. Lecz w momencie, gdy odrzucimy chrześcijańskie uzasadnienie miłości własnej, trudno nam będzie stwierdzić, na jakich innych podstawach mogłaby się ona opierać. Jeśli przyjrzymy się uzasadnieniu proponowanemu przez psychologię, będziemy mogli zobaczyć, jak bardzo jest ono nieprzekonujące. Zwykle wygląda to tak:

„Miłość własna oznacza akceptowanie samego siebie jako wartościowej osoby, ponieważ taka jest twoja decyzja”. Albo: „Istniejesz. Jesteś człowiekiem. Nic więcej ci nie potrzeba. Sam określasz, ile jesteś wart”. Albo po prostu: „Jesteś wartościowym człowiekiem, ponieważ mówisz, że tak właśnie jest”. Cytaty te nie zostały wymyślone przeze mnie; pochodzą one z podwórka pewnego psychologa, którego książki sprzedają się w milionach egzemplarzy. Niewątpliwie mocno powiedziane, lecz jaki jest tego sens? Nie trzeba przygotowania w zakresie logiki, by móc stwierdzić, że podawane przez niego argumenty nie są żadnymi argumentami, lecz tylko czymś w rodzaju pobożnego życzenia. To tak, jakby powiedzieć: „Jestem najgenialniejszy na świecie, ponieważ twierdę, że tak jest”. Niczego to nie dowodzi.

Kolejną rzeczą, jaką można zaobserwować, jest to, że tego rodzaju stosunek do własnego „ja” jest absolutnym zaprzeczeniem postawy chrześcijańskiej. Nie ma nic bardziej odległego od przesłania Ewangelii niż opinia, iż „sami określamy, ile jesteśmy warci”. Największy gniew naszego Pana skierowany był nie przeciwko jawnym grzesznikom, takim jak Maria Magdalena, lecz przeciwko tym, którzy przekonani byli o swej wyjątkowej wartości. On zaś nigdy nie domagał się od swych uczniów wiary we własne siły, lecz tylko wiary w Niego. W Nowym Testamencie w ogóle nie wspomina się o tym, że powinniśmy posiadać wiarę w siebie. Jeśli zaś chodzi o dowód świadczący o tym, ile jesteśmy warci, to jest nim fakt, iż Bóg uczynił nas swymi dziećmi, a Chrystus nas zbawił. Wydaje mi się, że jest to pewniejsza podstawa naszej prawdziwej wartości niż ta, którą sami ustanawiamy. Potrafię sobie wyobrazić, że dołączam do mieszkańców nieba dzięki temu, że jestem ich — choćby nawet ubogim — krewnym, lecz nigdy nie odważyłbym się podjąć takiej próby na tej podstawie, że zawsze miałem poczucie własnej wartości.

NORMALNA MIŁOŚĆ WŁASNA: TRZY RODZAJE

Czy ja twierdę, że zwykle poczucie własnej wartości jest czymś złym? Ależ skąd. Wydaje się, że istnieje pewien stopień szacunku dla samego siebie, przyrodzony gatunkowi ludzkiemu. Najlepiej oddaje to powiedzenie: „Dobrze być pełnym życia”. Kiedy jesteśmy rzeźcy i zdrowi i wszystko idzie po naszej myśli, zadowolenie z siebie jest rzeczą najzupełniej naturalną. Jest to nic innego jak zachwyty nad tym, co stworzył Bóg; potwierdzenie słów: „I widział Bóg, że były dobre”. Pierwsza zatem jest miłość własna oparta na tym, jaką mamy wartość, będąc dziełem Boga.

Oprócz tego istnieje druga forma normalnej miłości własnej: chęć bycia szczęśliwym. Biblijne przykazanie, byśmy naszych bliźnich kochali jak samych siebie, zdaje się to właśnie zakładać. I nikt nie sugeruje, że jest w tym coś złego. Każdy pragnie swego dobra. Taka jest nasza natura.

Do tych dwóch rodzajów w pełni uprawnionego poczucia własnej wartości, można dodać trzeci: bycie zadowolonym z siebie, ponieważ jesteśmy lub byliśmy pożyteczni, ponieważ wpisujemy się w pewien sensowny porządek. Najlepszą znaną mi ilustracją tego jest film *It's a Wonderful Life* (Życie jest wspaniałe). Życie głównego bohatera, George'a Bailey, zdaje się znajdować w śle-
pym zaułku, on sam zaś jest na krawędzi samobójstwa, kiedy przychodzi mu na ratunek „anioł niższej rangi” pod postacią rozkosznego staruszka. Z pewnością wszyscy znają tę historię. George pragnie, aby było tak, jakby nigdy się nie urodził, a anioł spełnia na jakiś czas jego życzenie. Lecz świat, na który nigdy nie przyszedł George Bailey, jest z tego powodu o wiele gorszy. Wydaje się, że we wszechświecie istniało specjalne miejsce, które tylko on mógł wypełnić. Chrześcijaństwo, rzecz jasna, głosi w znacznym stopniu to samo. Najbardziej sponiewierany i bezsilny człowiek może nabrać otuchy na myśl o tym, że ma do spełnienia pewne zadanie, będące częścią Bożego planu, nawet jeśli tylko Bogu wiadomo, na czym ono polega.

Zauważmy jednak różnicę pomiędzy powyższymi odmianami miłości własnej a miłością własną, narzuconą samemu sobie. Pierwsze trzy można by opatrzyć wspólnym mianem „niewinnej” miłości własnej. To coś zupełnie niezależne od nas: trudno nie pragnąć własnego szczęścia, podobnie jak trudno być niezadowolonym, kiedy wydaje się, że mamy w życiu jakiś cel. Druga odmiana miłości własnej to coś bardziej aroganckiego. Otóż człowiek arogancki to ktoś, kto bezpodstawnie przypisuje sobie dostojeństwo, autorytet i wiedzę. Jeśli

psycholog każe mi myśleć: „Jestem wartościowym człowiekiem, ponieważ mówię, że tak właśnie jest”, to jest to zachęta do bycia aroganckim. Jeśli ten sam psycholog każe mi postrzegać siebie jako „najpiękniejszą, najbardziej ekscytującą, najbardziej wartościową osobę, jaka kiedykolwiek chodziła po ziemi”, to bez wątplenia mamy do czynienia z arogancją. W obydwu wypadkach byłoby to przypisywanie sobie prawa do nadawania statusu, którym nie my dysponujemy. To arogancja i — można by dodać — nie najlepsza psychologia. W większości sytuacji się nie sprawdza, a w każdym razie nie jest tym, czego nam naprawdę trzeba.

Wyobraźmy sobie, że ten sam anioł próbuje przekonać rozpaczającego George'a Bailey'a, że jego życie ma sens, ponieważ: „Mówisz, że tak właśnie jest”. Podobnie jak większość z nas, pan Bailey potrzebuje czegoś więcej niż tylko zapewnienia ze swojej strony. Mało tego, nie chce słyszeć, że jest kimś inteligentnym albo wspaniałym: chce się przekonać, że jego życie ma sens.

Kłopot z poczuciem własnej wartości jako formą „samopomocy” polega na sugerowaniu, że w rzeczywistości stoimy ponad porządkiem rzeczy. Oznacza to, że jesteśmy jakby swoim własnym tworem, nie zaś częścią stworzenia. Jak podaje pewien podręcznik, „praktykowanie miłości własnej pozwoli ci tak bardzo uwierzyć w siebie, że, aby stać się kimś wartościowym, nie będziesz już potrzebował czyjejkolwiek miłości lub pochwał”. Bardziej to przypomina opis Boga niż człowieka. Bóg jest niezależny od kogokolwiek, lecz my, pomimo tego, ile jesteśmy warci, wciąż jesteśmy istotami, które potrzebują miłości innych, a zwłaszcza miłości Bożej.

Mam nadzieję, że widzicie, iż nie znajdujemy się już w sferze niewinnej miłości własnej, lecz w sferze dumy i arogancji. Liczne książki poświęcone poczuciu własnej wartości wychodzą od czegoś zbliżonego do wersji niewinnej, lecz po chwili, nim zdążymy się zorientować, zaczynają dryfować ku samowystarczalności i samouwiebleniu — co w gruncie rzeczy dzieje się z nami wszystkimi, gdy tylko zerwiemy nasze zakotwiczenie w cnocie pokory.

OBSESJA NA PUNKCIE SAMEGO SIEBIE

Ironia w tym, że droga do szczęścia nie prowadzi przez samouwieblenie. Skoro tylko zaczynamy koncentrować się na swej osobistej godności albo własnej wartości, szybko tracimy przyjemność, którą daje niewinne podobanie się sobie. Przywiązywanie wagi do poczucia własnej wartości, wyrwane ze swego

właściwego kontekstu, szybko przechodzi w zainteresowanie własną samowystarczalnością, statusem, władzą i podobnymi rzeczami. Jest to schemat obowiązujący w książkowych poradnikach, które wychodzą od miłości własnej, lecz za każdym razem zdają się kończyć na samoobronie: „inni są ci niepotrzebni”, „postaw na swoim”, „nie daj się pokonać”, „nie daj się wykorzystać”. Odnosi się wrażenie, że poczucie własnej wartości potrzebne nam jest niczym zbroja.

Taka rada z pewnością skłania nas do postawienia kilku pytań. Dlaczego mamy być aż tak ostrożni, skoro otacza nas tylu dobrych ludzi, podobnych do nas samych? I skąd ta obsesyjna troska o to, by być najlepszym, obecna w poradnikach i sprawiająca wrażenie dominacji nad poczuciem własnej wartości? Naprawdę jest tu jakaś sprzeczność. Można by oczekiwać, że skoro najważniejsze to mieć o sobie dobre mniemanie, nie trzeba więc koniecznie być najlepszym ani dbać o własny interes. Można by oczekiwać, że wystarczy tylko podobać się sobie. Najwyraźniej tak nie jest.

Mamy tu do czynienia z czymś innym, głośno domagającym się uwagi, coraz bardziej się rozprzestrzeniającym. Cokolwiek to jest, stanowi dokładną antytezę normalnie funkcjonującego społeczeństwa, w którym każdy podporządkowuje się zasadzie wzajemnego obowiązku, każdy ma prawo decydować w tej, a nie innej sprawie; najpierw przywódca, a potem jego zwolennik; najpierw nauczyciel, a potem jego uczeń. Jaka to wspaniała i rzadko dziś spotykana postawa. Zamiast tego widzimy mało sympatyczną kolekcję różnych „ja”, z których każde usiłuje narzucić innym swoje zdanie tak dalece, jak to tylko możliwe.

ROZDZIAŁ IV

Pobożne życzenia

Pozytywne myślenie czy udawanie?

Zaprzeczanie rzeczywistości

Dogmatyczna otwartość umysłu

Czy znacie bajkę *O Małej Lokomotywie*, która myślała, że potrafi? Podoba mi się ten fragment, w którym *Lokomotywka* powtarza w kółko: „Myślę, że tak. Myślę, że tak. Myślę, że tak”, aż refren zaczyna przypominać swym rytmem, pracujący tłok maszyny parowej. Historyjka ta świetnie nadaje się do czytania dzieciom, stanowi też doskonałą ilustrację pozytywnego myślenia. Jej wpływ należy, rzecz jasna, łagodzić poprzez czytanie innych bajek, po to, by przygotować dziecko na te momenty w życiu, kiedy tory będą wysadzone w powietrze lub gdy most porwie wysoka woda.

Choć pozytywne nastawienie myślowe jest w stanie mobilizować siłę i energię, o których istnieniu nie mieliśmy pojęcia, nie potrafi ono dokonywać cudów. Mimo to jedną z osobliwości *zlaicyzowanego* społeczeństwa jest następująca prawidłowość: Im mniejsza jest jego wiara w Boga, tym większa jest jego wiara w cuda. Paradoxem naszego, ponoć trzeźwo myślącego społeczeństwa jest to, że tylu dorosłych ludzi karmi swe umysły bajką o Małej *Lokomotywie* w wersji dla dorosłych. Literatura z zakresu psychologii popularnej to prawie wyłącznie literatura dotycząca pozytywnego myślenia, posuniętego do skrajności. Przeczytajcie kilka tytułów z dziedziny psychologii popularnej, a przekonacie się, jakie cuda są możliwe. Czy chciałbyś się wyleczyć z raka? Zapobiegać katastrofom lotniczym? Latać (bez samolotu)? Żyć wiecznie? Wszystko to, jak się dowiecie, można osiągnąć siłą umysłu.

POZYTYWNE MYŚLENIE CZY UDAWANIE?

Psychologia popularna, chcąc nie chcąc, musi przyjąć ten styl pobożnego życzenia. Przede wszystkim, jej pogląd na temat poczucia własnej wartości oparty jest na nierealistycznych podstawach — logika przesłanki narzuca wnioski. Kiedy postanawiamy wierzyć, że jesteśmy najlepsi tylko dlatego, że w to wierzymy, już wtedy znajdujemy się w świecie fikcji. A pierwsze *mactwo* musi pociągać za sobą następne. Dlatego pewien sławny psycholog mówi nam:

„Możesz stanąć nago przed lustrem i powiedzieć sobie, jak bardzo jesteś atrakcyjny”. Owszem, możemy tak zrobić. Możemy również powiedzieć sobie, że jesteśmy bogaci i genialni. Może to prawda, a może nie. Przypuśćmy jednak, że nie; jaki sens ma takie udawanie?

Proszę mnie zrozumieć, wcale nie proponuję, byśmy pomniejszali własną wartość. Nie twierdzą też, że w pozytywnym myśleniu nie ma ziarenka prawdy: kiedy wierzymy w siebie, często wydajemy się innym bardziej atrakcyjni. Gdyby moi koledzy psychologowie zechcieli się ograniczyć do krzepiących pogadanek na tym poziomie, to wątpię, bym im się tak bardzo sprzeciwiał. Lecz na tym się rzecz jasna, nie kończy. Kolejna sugestia jest taka, że skoro sami decydujemy o wszystkich swoich sprawach, to możemy się obejść bez religii, wspólnoty społecznej, tradycji oraz rodziny. Nie jest to jedynie sugestia — to uporczywe twierdzenie, formułowane przez kolejnych psychologów w kolejnych książkach.

To już coś o wiele bardziej szkodliwego niż tylko uważanie siebie za kogoś odrobinę atrakcyjniejszego niż w rzeczywistości. Człowiek, który bierze sobie do serca teorię o niezależności i usuwa ze swego życia dawne więzy i tradycyjne podpory, zwykle stwierdza — prawdopodobnie zbyt późno — że jego wewnętrzne „ja” nie jest w stanie wypełnić powstałej w ten sposób pustki. Myśl, **jakobyśmy** mogli tak bardzo pokochać samych siebie, że nie będzie już nam potrzebna miłość ani pomoc innych ludzi, jest czystą fikcją. Żadne statystyki nie wykazują czegoś takiego. Mało tego, świadczą one o czymś zupełnie odwrotnym: społeczeństwa, koncentrujące się na własnym „ja” nękane są większą liczbą przypadków samotności, depresji i samobójstw niż społeczeństwa, opierające się na tradycji oraz poczuciu wspólnoty. Czy jednak potrzebujemy statystyk, by móc udowodnić to, o czym wiemy w głębi serca?

Co sądzić o tych momentach, gdy cały nasz los zależał od wyzdrowienia chorego dziecka? Albo, gdy byliśmy tak samotni, że całą noc płakaliśmy z twarzą w poduszce? Prawda, niektórzy ludzie w ogóle nie mają tego rodzaju słabych punktów, często jednak dlatego, że ich osobowość raczej obumarła, niż się rozwinęła. Człowiek, który może żyć bez własnej rodziny i przyjaciół, przypomina roślinę, która została wyrwana z gleby.

ZAPRZECZANIE RZECZYWISTOŚCI

Zaprzeczenie naszej zależności jest w istocie zaprzeczaniem rzeczywistości. Dziwną cechą psychologa humanistycznego, czymś, co musimy pojąć, zanim go

zrozumiemy, jest to, że zarzut ten w ogóle mu nie przeszkadza. Rzeczywistość ma on najczęściej w nosie. O wiele bardziej interesują go wrażenia. To, czy odpowiadają one rzeczywistości czy nie, nie jest dla niego powodem do zmartwień. Dlatego właśnie psychologowie zajmujący się potencjałem twórczym człowieka lubią mawiać: „Każdy tworzy swą własną rzeczywistość”. Musimy zrozumieć, że w wielu wypadkach traktują to całkiem dosłownie, ponieważ dla większości z nich kończy się to przyjęciem jakiejś religii lub filozofii Wschodu. To oczywiście oznacza przyjęcie stanowiska, że materia jest iluzją. Kiedy już ulokują to w swoim umyśle — a umysł, zgodnie z tym, co mówi myśl Wschodu, stanowi jedyną rzeczywistość — wolno im myśleć tak pozytywnie, jak tylko im się podoba. „Umysł ponad materią” — to dla nich nie tylko figura stylistyczna, ale podstawowe przekonanie. Jest to oczywiście nieuchronne następstwo tego, że ich filozofia nie opiera się na żadnych trwałych podstawach.

Ten, kto wychodzi od założenia, że własne „ja” jest niejako swym własnym stwórcą, będzie przez jego logikę dopóty odciągany od rzeczywistości, dopóki całkowicie nie zrezygnuje z walki. Jest to droga, jaką przebyli czołowi przedstawiciele psychologii humanistycznej: Abraham Maslow, Gardner Murphy, Erich Fromm, Carl Rogers, Michael Murphy (założyciel stowarzyszenia Esalen), oraz tacy popularyzatorzy, jak Wayne Dyer, Leo Buscaglia i Will Schutz. Każdy z nich, w mniejszym lub większym stopniu, odbył swą podróż na Wschód.

Najnowsza książka Rogersa, zatytułowana *A Way of Being* (Sposób bycia), zawiera rozdział: „Czy potrzebna nam jest rzeczywistość?” Jak można było się spodziewać, odpowiedź brzmi „nie”. Rogers twierdzi, że istnieje tyle rzeczywistości, ilu jest ludzi i to co jest dla mnie realne dzisiaj, nie będzie realne jutro, itd. Przy takich przesłankach zrozumiała staje się wiara w nieograniczone możliwości człowieka. Przypomina to rozchodzenie się powietrza w próżni: nic nie jest w stanie temu przeszkodzić.

Niezależnie od tego, jak nierealistyczne są te poglądy, mają one swe praktyczne następstwa. Nasze społeczeństwo jest prawie przekonane o wyższości rzeczywistości subiektywnej nad obiektywną. Zwróćmy uwagę na to nieustanne paplanie o dochodzeniu do swojej własnej prawdy i nienarzucaniu innym swoich wartości, jak gdyby prawda i wartości były czysto osobistymi wytworami, nie mającymi nic wspólnego z tym, co znajduje się poza nami.

Postawa taka, jak sądzę, bierze się po części ze źle pojętej uprzejmości.

Ponieważ jesteśmy społeczeństwem, które stawia uczucie nad refleksję, ulegamy pokusie i słuchamy argumentu **subiektywistycznego**. W ten sposób, jeśli dochodzi do różnicy stanowisk, nikt nie rani czyichkolwiek uczuć. Wszyscy mogą mieć słuszość; nikt nie musi być w błędzie.

W rezultacie, przekonania oceniamy raczej według tego, jak wielkie mają dla kogoś znaczenie niż według obiektywnych kryteriów. Ktoś powiada: „Wierzę w chrześcijaństwo, ponieważ nadaje ono memu życiu znaczenie”, a ktoś inny: „Chrześcijaństwo nic dla mnie nie znaczy. Stwierdziłem, że filozofia Wschodu ma większy sens”. I jeśli tą pierwszą osobą jest jakiś zagubiony chrześcijanin, to w końcu dojdą do wniosku, że obaj mają rację, ponieważ uważa się dziś, że prawda to coś, dzięki czemu czujemy się lepiej.

WIARA OPARTA NA FAKTACH

Postawa taka stanowi jednak dokładne zaprzeczenie prawdziwego chrześcijaństwa, które utrzymuje, że wiara powinna być zakorzeniona w obiektywnych faktach. Kościół zawsze kierował się założeniem, że rzeczywistość jest tym, do czego zostaliśmy stworzeni: im jej więcej, tym dla nas lepiej. Wiara chrześcijańska zasadza się nie na kilku pięknych ideach, lecz na brzemiennych w skutkach wydarzeniach historycznych, które miały miejsce w czasach, gdy August i **Tyberiusz** rządili Rzymem. Jest ona całkowicie zależna od prawdziwości tamtych wydarzeń. List **św. Pawła do Koryntian** stawia jasno tę sprawę: „A jeśli Chrystus nie zmartwychwstał, daremne jest nasze nauczanie, próżna jest także wasza wiara” (1 Kor 15,14).

Co więcej, nasz Pan przyszedł objawić nie zbiór inspirujących tematów, lecz rzeczywistość transcendentną, rzeczywistość tego, co wciąż jest niewidzialne, lecz mimo to niezmiennie i trwałe. Nawet wówczas, gdy chrześcijanie prowadzili wzajemne spory, przynajmniej zgadzali się w tej jednej sprawie. Fundamentalne religijne pytanie, które niczym nóż przecięło czasy starożytne, średniowiecze, aż do początków dwudziestego wieku, brzmiało: „Czy to prawda?” Przez to pytanie powstawały i upadały imperia, wszczynane były wojny, męczennicy przelewali krew i — co jest już mniej dramatyczne, lecz może bardziej charakterystyczne — świętujący rozlewali wino i tańczyli na ulicach na przestrzeni roku kalendarzowego, rozświetlanego przez święta, które były naprawdę dniami świętymi — świętymi, ponieważ upamiętniały pewne wielkie wydarzenia.

Współczesny umysł, przesiąknięty psychologią, nie potrafi tego pojąć. Kieruje

się on innym kryterium wiary. Pytanie, które dziś ludzie zadają, czy to w sprawie religii, czy też czegokolwiek innego, brzmi: „Czy to jest zdrowe?“, przez co mają na myśli: „Czy poprawi to nasz wizerunek własny?“, „Czy dzięki temu będziemy bardziej z siebie zadowoleni?“ Nie: „Czy to prawda?“, lecz: „Czy to zaspokaja moje potrzeby?“ Nie pozwólmy jednak, aby fakt, że psychologia zdołała kryterium zgodności z faktami zastąpić kryterium terapeutycznej skuteczności, powstrzymał nas przed nazywaniem rzeczy po imieniu. Jest to kwestia uczciwości.

Dobrze to ujął **Lewis**: „Jeżeli chrześcijaństwo jest nieprawdziwe, to żaden uczciwy człowiek nie będzie chciał mu wierzyć, choćby nie wiem jak było przydatne; jeżeli jest prawdziwe, każdy uczciwy człowiek będzie chciał mu wierzyć, nawet jeżeli nie będzie mu dostarczało w ogóle żadnej pomocy“. To zaprzeczenie mentalności terapeutycznej. Widzimy tu umysł zajęty czymś więcej niż tylko zaspokajaniem potrzeb. Wiara rzeczywiście pomaga. Lewis pierwszy by tak twierdził; lecz fakt ten nie powinien tu decydować. Podstawowe pytanie, jakie należy zadać w sprawie jakiegokolwiek wiary, czy to w Chrystusa czy w psychologię, brzmi nie: „Czy odpowiada ona na potrzeby?“, lecz: „Czy odpowiada ona na pytania?“

Jest wiele *rzeczy*, które dają nam zadowolenie: lampka wina, gorąca kąpiel, miły sen. Jednak ani filozofii, ani wiary nie należy wybierać na podstawie tego, czy potrafi nam ona dodać otuchy. Z całą pewnością powinna być czymś więcej niż tylko snem na jawie.

PODSTAWOWY OBOWIĄZEK UMYŚLU

Zatem podstawowym obowiązkiem naszego umysłu nie jest preferowanie przyjemnych myśli, lecz rejestrowanie faktów takimi, jakie są. Wszelki racjonalny dyskurs zakłada, że nie będziemy błędzić, wynajdując idee i poglądy, które będą odpowiadać naszym preferencjom. Wyobraźmy sobie na przykład dwa samochody — jeden gładko poruszający się wraz z innymi, drugi porzucony w rowie bez silnika, drzwi i opon. Ten drugi jest wciąż samochodem, lecz w znacznie mniejszym stopniu niż pierwszy. Nie odpowiada tak dokładnie temu, czym naprawdę powinien być samochód. Następnie wyobraźmy sobie różne części samochodowe — alternatory, pompy wodne, przewody, osie, **gaźniki**, opony — rozrzucone po złomowisku. Można by rzec: „To też samochód, jeśli odpowiednio się nad tym zastanowić“. Wymaga to jednak dość bujnej wyobraźni.

W gruncie rzeczy kładziemy wówczas nacisk na swoją wyobraźnię, odwracając uwagę od rzeczywistości.

Jest to oczywiste w odniesieniu do samochodów. Gdy jednak zagadnienie to przeniesiemy na inny poziom, nie jest już takie oczywiste, mimo że zasadniczo mamy do czynienia z tym samym problemem, i mimo że definicje można rozciągać do granic wytrzymałości. Nie możemy, na przykład, dojść obecnie do porozumienia w sprawie definicji rodziny. Jedna osoba powie, że rodzina to przynajmniej jeden rodzic oraz jedno dziecko. Inna, że bezdzietna para jest już rodziną. Niektórzy powiedzą nawet, że para homoseksualistów stanowi rodzinę.

W pewnym jednak miejscu większość z nas wyznaczyłaby linię graniczną. Jesteśmy przeświadczeni o tym, że pewne definicje rodziny są prawdziwsze niż inne. W przeciwnym wypadku musielibyśmy powiedzieć, że słowa w ogóle nic nie znaczą. Na przykład bardzo niewielu z nas nazwałoby rodziną dwie nieznaną osobę siedzącą w autobusie. Wciąż czujemy, że nasze myśli powinny mieć jakąś obiektywną podstawę w rzeczywistości.

Kiedy utracimy te resztki obiektywizmu, czeka nas nie kończące się pasmo sporów i waśni, przed którymi nie uchronią nas nawet największe starania, by nauczyć nas wrażliwości, i które ostatecznie będzie mogła rozstrzygnąć jedynie brutalna siła. Jeśli osądy społeczne i moralne nie będą niczym więcej niż tylko preferencjami, to zwyciężą preferencje tych, którzy są najgłośniejsi i mają najsilniejsze łokcie. Jako przykład wybrałem rodzinę, ponieważ tak się akurat składa, że jest ona jednym z tych pojęć, które ci najgłośniejsi próbują obecnie zdefiniować w taki sposób, aby dopasować je do swoich potrzeb, i to za pomocą metod, które mogą wyrządzić nieobliczalną krzywdę naszym dzieciom oraz ich dzieciom. Lecz istnieje, rzecz jasna, niezliczona liczba innych pojęć, które są wytrwale przenoszone z grupy obiektywnych do grupy subiektywnych: przestępstwo, normalne zachowanie seksualne, małżeństwo, męskość i kobiecość.

Niektóre ze zmian, jakie próbują spowodować nauki społeczne, mają słaby związek z rzeczywistością. A wiele twierdzeń psychologii popularnej jest ewidentnie nieprawdziwych: na przykład, że pozytywne myślenie jest lekarstwem na wszelkie problemy, że możemy być zupełnie niezależni, że dysponujemy nieograniczonymi możliwościami. Twierdzenia te nie mają praktycznie nic wspólnego z rzeczywistością. Skoro tak jest, to dlaczego nie każdy to widzi? Odpowiedź brzmi następująco: Niektórzy nie chcą tego widzieć, ponieważ

poprzez odrzucenie tego, co oczywiste, można coś zyskać. Tym czymś jest nieskrępowana zabawa umysłu, indywidualna wolność myślenia tego, na co ma się ochotę. Towarzyszy temu, rzecz jasna, pragnienie czynienia tego, na co ma się ochotę.

DOGMATYCZNA OTWARTOŚĆ UMYŚLU

Powiedziałem już wcześniej, że subiektywizm naszej kultury bierze się po części z pragnienia zachowania przyjaznego klimatu. Istnieje też bardziej arogancki powód, sprowadzający się do stwierdzenia: „Mój umysł jest suwerenny i nie podporządkuję go ani tradycji, ani logice, ani władzy obiektywnych dowodów”. Ma się rozumieć, nikt nie formułuje tego w ten sposób. Zamiast tego mówi się o konieczności zachowania otwartego umysłu. Istnieje jednak coś takiego, jak dogmatyczna otwartość umysłu. Wszyscy zetknęliśmy się z ludźmi, których bardziej interesuje poszukiwanie prawdy niż jej przyjmowanie. Ich najważniejszym celem i doktryną jest zachowanie wolnego umysłu.

Kłopot z taką postawą polega na tym, że umysł szybko staje się niewolnikiem naszego „ja” oraz jego pragnień. Prawdziwie wolny umysł musi zachować pewną niezależność wobec naszego „ja”, tak jak dobry nauczyciel musi zachować pewną niezależność wobec zachcianek swoich uczniów. Czuliśmy się oszukani, gdyby zatrudniony przez nas korepetytor, zamiast pomagać naszemu synowi w nadrobieniu zaległości z matematyki, grał z nim w piłkę, tylko dlatego, że na to właśnie chłopak ma ochotę.

Czasami nasz umysł nie potrafi zmierzyć się z faktami, zwłaszcza jeśli są one niewygodne. Lecz właśnie po to, między innymi, mamy umysł. **Chesterton** relacjonuje przyjazną debatę, jaką w czasie lunchu odbył ze znajomym, człowiekiem tolerancyjnym: „Mój przyjaciel powiedział, że otwiera swój intelekt tak, jak słońce otwiera palmowe wachlarze, otwierając je dla samego otwarcia na nieskończoną wieczność. Natomiast ja powiedziałem, że otwieram swój intelekt tak, jak usta — po to, by je ponownie zamknąć, gdy znajdzie się w nich jakiś stały pokarm”.

Brak stałości jest najważniejszym kłopotem psychologii, koncentrującej się na naszym „ja”. Nie wydaje się, aby zespół towarzyszących jej przekonań opierał się na czymkolwiek trwałym. Tknijmy delikatnie pogląd, że jesteśmy z natury dobrzy, a natychmiast legnie on w gruzach. Pozbądźmy się społeczeństwa, a zapanuje sytuacja jak we *Władcy much*. Wyzujmy się z rytuału i tradycji, a

stwierdzimy, że zrywamy z siebie skórę. Podkopmy obiektywne fundamenty wiedzy, a nasz własny dom może runąć na naszych oczach.

Na zakończenie powieści *Słońce też wschodzi* Ernest Hemingway tak każe Jake'owi Barnesowi odpowiedzieć na pobożne życzenie swej towarzyszki: „Prawda, że miło jest to pomyśleć?” Poglądy, o których tu mówiliśmy, są czasami poglądami sympatycznymi, ale nie wydaje się, aby można znaleźć dla nich większe uzasadnienie w rzeczywistości. A zaprzeczanie prawdziwym ludzkim ograniczeniom nie jest dobrym punktem wyjścia do budowania zdrowego szacunku dla samego siebie. Fundamentem prawdziwej dumy, podobnie jak prawdziwej pokory, jest prawda.

Mogę sobie jednak wyobrazić, że ktoś mówi: „Zdaje się, że masz jakieś problemy z tymi poglądami, ja jednak stwierdzam, że działają one na moją korzyść”. W odpowiedzi na to można tylko zapytać: „Czy aby na pewno?” To zaś wymagać będzie kolejnego rozdziału.

ROZDZIAŁ V

Brzemie własnego „ja”

Spoleczeństwo pełne powagi

Nieszczęśliwa pogoń za szczęściem

Być rozważnym czy nierozważnym?

„Kłopot z socjalizmem polega na tym — pisał Oscar Wilde — że zabiera on zbyt wiele wieczorów”. Wilde sam był kimś w rodzaju socjalisty, zatem cele socjalizmu nie były mu obce. Musiało mu pewnie chodzić o to, że jest to dość męczący sposób spędzania czasu. W życiu można robić znacznie przyjemniejsze rzeczy niż toczenie nie kończących się dyskusji na temat własności środków produkcji.

Socjalizm oraz jego kuzyn, marksizm, to poważna rzecz. Jeśli podpisujemy się pod tymi poglądami, stwierdzamy, że potrafią one zapanować nad całym naszym życiem. Natychmiast się wprowadzają, zaczynają się rządzić i prze meblowywać nasz umysł. Wkrótce nadają one ton wszystkim naszym myślom. Krótko mówiąc, poważny zespół poglądów wytwarza charakterystyczną mentalność. Na przykład, oddanego marksistę uważamy za kogoś o zawężonym spojrzeniu, fanatycznego, pedantycznego, mało atrakcyjnego towarzysko. Pewnie nie zaprosilibyśmy go na karty ani towarzyską rozmowę. Jest to, co prawda, stereotyp, lecz stereotypy mają przeważnie jakieś oparcie w rzeczywistości.

SPOŁECZEŃSTWO PEŁNE POWAGI

Przypuśćmy zatem, że pytamy: Czym się odznacza charakterystyczna mentalność, będąca wytworem społeczeństwa psychologicznego? Felietonista George Will, pisząc o „osobliwym współczesnym połączeniu hedonizmu i sumiennosci”, stwierdził coś, co moim zdaniem trafia w samo sedno. Jesteśmy sumienni nawet w stosunku do własnych przyjemności. Sumiennosc to pewnie zbyt delikatne słowo. Powaga byłaby ściślejszym określeniem. Wydaje się, że typową cechą społeczeństwa psychologicznego jest nieustająca powaga.

Dobrym tego przykładem jest historia, którą przytacza w swojej autobiografii psycholog Gordon Allport. Kiedy złożył wizytę Freudowi, aby zawrzeć z mistrzem znajomość, został wprowadzony do gabinetu, gdzie przywitała go głucha cisza. Aby wypełnić czymś pustkę, Allport opowiedział o epizodzie, jaki miał miejsce w tramwaju, którym jechał do gabinetu Freuda. Mały chłopiec,

najwyraźniej mający fobię na punkcie brudu, nieustannie skarżył się matce: „Nie chcę tu siedzieć... Nie pozwól temu brudasowi siedzieć obok mnie”. „Kiedy skończyłem opowiadać — wspomina Allport — Freud utkwił we mnie swój życzliwy wzrok psychoterapeuty i spytał: «I to pan był tym małym chłopcem?»»

Problemem naszym jest to, że poważny ton, typowy dla gabinetu psychoterapeutycznego wkraść się do wszystkich dziedzin naszego życia. Odnosi się wrażenie, że każda wypowiedziana przez nas uwaga wymaga analizy ze strony naszych przyjaciół. Nam z kolei trudno coś komuś doradzić bez dodania: „To będzie dla ciebie dobra terapia”. Wydaje się, że w każdej sprawie przyjęliśmy postawę nieustannej czujności: „Czy to, co teraz robię, będzie dla mnie korzystne?”, „Czy ta osoba pomoże mi się rozwinąć?”, „Czy przytuliłem dzisiaj dziecko?” Duch psychologii to duch bardzo wyrachowany.

WŁASNE „JA” W ROLI BOGA

Skąd się bierze owa psychologiczna powaga? Zaproponuję odpowiedź, która z początku może się wydać dziwna. Wynika ona z próby zajęcia miejsca Pana Boga. Może to wyjaśnię.

Powiedziałem wcześniej, że skupianie się na własnym „ja” często prowadzi do zuchwałego zaprzeczenia tezie o potrzebie istnienia wspólnoty społecznej oraz tradycji. Pozostawia to ludzi samym sobie. Podobnie jest z rolą, jaką w naszym życiu odgrywa Bóg. Człowiek, który chce być niezależny, niekoniecznie przestaje wierzyć w Boga, choć jego wyobrażenie o Nim ulegnie prawdopodobnie zmianie. Jeśli chcemy nadal się samourzeczywistniać, zapewne bardziej nam będzie odpowiadał taki Bóg, który nie wtrąca się w ludzkie sprawy. Bóg, który po prostu pozwoli nam być sobą. Zaczniemy tak dopasowywać swe wyobrażenie o Bogu, aby odpowiadało ono naszym poglądom na temat ludzkich możliwości. Im bardziej będziemy się czuli niezależni, tym mniejszą będziemy odczuwać potrzebę zdawania się na Niego. Uwierzymy, że sami potrafimy załatwić dla siebie wiele spraw, z którymi ludzie pobożni zwracają się do Boga.

Stąd już tylko mały krok do przekonania, że własne „ja” jest czymś w rodzaju boga. W coś takiego wierzył Carl Jung. W swojej *Odpowiedzi Hiobowi* zdaje się on sugerować, że Bóg ustępuje człowiekowi pod wieloma względami, oraz że najbardziej zależy Mu na tym, aby na trwałe stać się człowiekiem. Jedną z książek Ericha Fromma nosi tytuł *You Shall Be As Gods* (Będziecie niczym bogowie). Will Schutz, popularny psycholog, pisze: „Jestem wszędzie, jestem

wszechwiedzący, jestem Bogiem". Uczestnik seminarium terapii elektrowstrząsowej (EST) słyszy: „Ty jesteś najwyższą istotą”.

Co wynika z takiego przekonania?

Wydaje się, że mamy tu dwie możliwości. Albo się całkowicie traci poczucie odpowiedzialności, albo zmierza się w przeciwnym kierunku i bierze na siebie znacznie większą odpowiedzialność niż nakazuje rozsądek. W pierwszym przypadku mamy do czynienia z narcystycznymi lub psychopatycznymi jednostkami, względnie osobami będącymi na drodze do jednego lub drugiego. Są to ludzie, którzy nie widzą niczego poza własną osobą. Inni ich najzwyczajniej nie obchodzą. Nie powinno nas dziwić, że liczba psychopatów i narcyzów w naszym społeczeństwie stale rośnie. Jest to jedna z naturalnych konsekwencji wiary w psychoterapeutyczną przesłankę, wedle której nigdy nie powinniśmy podporządkowywać swych potrzeb potrzebom innych, ani jakiegokolwiek idei lub tradycji poza nami samymi.

Tak jak zawsze istnieją ludzie nieodpowiedzialni, tak też istnieją ludzie, których własny temperament skłania do troski o sprawy, na które nie mają wpływu. Jeśli należycie do tej drugiej kategorii, to stwierdzicie, że wzięwszy odpowiedzialność za swoje samourzeczywistnienie, bierzecie tym samym odpowiedzialność za klęski i ułomności, które niesie życie. W przeszłości, kiedy dominował światopogląd religijny, uważano, że człowiek realizuje się dzięki Bogu; ludzi nie uważano za zdolnych do samodoskonalenia. Najlepsze co mogli zrobić, to zawierzyć Bogu. Resztę sprawiała niczym nie ograniczona łaska Boża. Jeśli zaś chodzi o grzechy i wady, to nie miały one być darowane, choć należało się ich spodziewać.

Obecnie panuje inny klimat. Wszystkim nam się wydaje, że posiadamy wrodzoną zdolność odnoszenia sukcesów w życiu. Jeśli nam się nie powodzi, oznacza to, że po prostu nie dajemy z siebie wszystkiego, na co nas stać. Powinniśmy się bardziej starać. Społeczeństwo psychologiczne to społeczeństwo o wielkich oczekiwaniach. Jeśli tylko mamy dostateczną samoświadomość, powinniśmy być w stanie sprostać tym oczekiwaniom. I powinniśmy być w stanie tego dokonać nawet bez pomocy rodziny, otoczenia — lub Boga.

To trudne zadanie. Przyzwoity człowiek, któremu nie jest wszystko obojętne i który dawniej w realizacji swych godziwych zamierzeń zdałby się na pomoc Boga, obecnie musi polegać na samym sobie. Każdy musi dźwigać ciężar, jakim

jest bycie bogiem dla siebie oraz innych. Nie zawsze jest to zwykła arogancja. Nasze społeczeństwo nie jest przygotowane do przypominania nam o obecności i potędze Boga. W rezultacie wydaje się, że nie pozostaje nam nic innego, jak tylko wziąć na siebie cały ten ciężar. Jeśli tak na to spojrzeć, można się w tym wysiłku dopatrzeć czegoś szlachetnego. Wciąż jednak jest to bardzo poważny wysiłek. Ponieważ uważa się, że własne „ja” cieszy się wyjątkową niezależnością oraz dysponuje wyjątkowymi możliwościami, nigdy nie możemy się odprężyć i po prostu pozwolić Bogu być Bogiem.

Wiem, że psychologowie i specjaliści od poradników nie ubierają tego w aż tyle słów. Dużo się mówi o zwykłym zaakceptowaniu siebie takim, jakim się jest. Można by pomyśleć, że to dość łatwe. Najwidoczniej jednak tak nie jest. Książkowe poradniki to w gruncie rzeczy zbiory zadań. Większość z nich zawiera długie listy samodoskonalących ćwiczeń. Wszystkie prezentują pewną modelową kompetencję w zakresie życia osobistego, pracy oraz wychowania dzieci, którą osiągają tylko nieliczni. Przeczytawszy je, odnosimy wrażenie, że nie stanęliśmy na wysokości zadania, tak jak w trakcie lektury Ewangelii. Nie jest to oczywiście to samo, a i wskazówki, które otrzymujemy są inne. Przesłaniem Ewangelii jest zawierzenie Komuś większemu od nas samych. Przesłaniem poradników jest kształtowanie samego siebie. Niektórzy psychologowie mówią to wyraźniej od innych, jednak wydaje się, że taki jest podstawowy kierunek udzielanych porad. Oto przykład:

Skoro tylko uwierzmy, że człowiek może stać się Bogiem, nigdy naprawdę nie zaznamy spokoju, nigdy nie będziemy mogli powiedzieć: „W porządku, skończyłem swoje zadanie, zrobiłem, co do mnie należało”. Musimy nieprzerwanie zmierzać ku coraz większej mądrości, coraz większej skuteczności. Żywiąc to przekonanie, wpręgamy się, przynajmniej dopóki nie umrzemy, w morderczy kierat samodoskonalenia oraz duchowego rozwoju. Musimy wziąć na siebie Bożą odpowiedzialność *.

Fragment ten pochodzi z książki psychiatry M. Scotta Pecka, zatytułowanej *The Road Less Traveled* (Droga mniej uczęszczana). Nie trzeba chyba dodawać, że dr Peck, podobnie jak dr Jung i dr Fromm, uważa, iż człowiek może się stać Bogiem. Pod jednym względem całkowicie się z nim zgadzam: jest to rzeczywiście kierat.
BRZEMIE PONAD NASZE SIŁY

Jednakże — i tu dochodzimy do rzeczy najważniejszej — brzemie, jakim jest

bycie Bogiem to brzemię, któremu po prostu nie jesteśmy w stanie sprostać. Na tym, na przykład, polega problem rodziców, którym każe się jeszcze bardziej kochać swoje dzieci. Niewątpliwie dzieciom potrzeba więcej miłości niż jej otrzymują. Jest jednak faktem, że wielu rodziców już teraz okazuje im tyle miłości, ile się tylko da. Dzieci potrzebują dużo miłości. Co więcej, religia chrześcijańska utrzymuje, że odczuwają one nieskończoną potrzebę miłości (do problemu tego powrócę później). Lecz ciągle domaganie się, by rodzice w dawaniu miłości upodobnili się do Boga, zwykle nie zwiększa ich skuteczności wychowawczej. Jedynie wywołuje w nich poczucie winy.

Nie chodzi tu jednak o to, jak skuteczni mogą być rodzice. Prawdopodobnie byłoby o wiele bardziej skuteczni, gdyby współczesny świat nie pozbawił ich tego, co ułatwiało zadanie ich przodkom: autorytetu, wspólnoty społecznej, tradycji, współmałżonka. Chodzi o to, że jeśli prócz samych siebie nie mamy niczego ani nikogo, na kim moglibyśmy się oprzeć, rzeczywiście wszystko staje się bardzo poważne. Jeśli na dodatek wszyscy eksperci uważają nasze „ja” za jakąś cudowną maszynę i jeśli nie nauczyliśmy się jeszcze jej uruchamiać, to dźwigany przez nas ciężar staje się jeszcze większy.

Spójrzmy na to tak. Wyobraźmy sobie, że Amerykańskie Towarzystwo Medyczne, powołując się na wyniki badań, wydaje oświadczenie w sprawie przeziębień, by udowodnić, że przeziębienie spowodowane jest złym wyobrażeniem o sobie, brakiem silnej woli oraz ogólnymi wadami naszego charakteru. Dokument ten próbuje nam udowodnić, że osoby pogodne, wielkoduszne i troskliwe znacznie rzadziej się przeziębają niż osoby tych przymiotów pozbawione, po czym czytamy, że przeziębienie można leczyć lub mu zapobiegać przy pomocy odpowiedniej dawki poczucia własnej wartości. Przeziębienie staje się wówczas znacznie poważniejszym problemem niż kiedyś. Nie możemy twierdzić, że jego przyczyną jest zła pogoda lub unoszące się w powietrzu zarazki. Będziemy musieli wziąć na siebie pełną odpowiedzialność za swe przeziębienia. Wkrótce utworzona zostanie organizacja Anonimowych Zakatarzonych, a przeziębione dzieci będzie się posyłać do psychiatry.

Albo przypuśćmy, że ministerstwo zdrowia stwierdza, iż oddychanie przez nos — a nie przez usta — zwiększa długość ludzkiego życia, w związku z czym rozpoczyna kampanię informacyjną w tej sprawie. Co się stanie? Najprawdopodobniej u wielu osób, które nigdy się dłużej nie zastanawiały, w jaki

sposób oddychają, pojawią się dolegliwości płuc i problemy z oddychaniem. Poradnie uczące jak trzymać usta zamknięte zrobią wtedy świetny interes.

NIESZCZĘŚLIWA POGOŃ ZA SZCZĘŚCIEM

Mam nadzieję, że to jasne. Pełne powagi dążenie do osiągnięcia zdrowia fizycznego łatwo może się przerodzić w niezdrową obsesję. Podobnie ktoś, kto z największą powagą dąży do osiągnięcia zdrowia psychicznego lub spełnienia, zmierza w niewłaściwym kierunku.

Dzieje się tak z jednego, podstawowego powodu. Szczęście oraz samospełnienie to coś, do czego nie można dążyć bezpośrednio. Są to produkty uboczne innych dążeń. Im bardziej staramy się osiągnąć je bezpośrednio, tym bardziej nam się wymykają z rąk. Najszczęśliwsi jesteśmy wówczas, gdy pochłania nas gra, jakieś hobby lub rozmowa, i na chwilę zapominamy o swej pogoni za szczęściem. Dlatego przykładanie wagi do samoświadomości — tak popularna dziś recepta na szczęście — często przynosi skutki odwrotne do zamierzonych. Szczęście zwykle osiągamy, skupiając uwagę poza własnym „ja”. Jeśli naprawdę chcemy dążyć do szczęścia, to powinniśmy poważnie traktować niemal wszystko — wyścigi konne, jechanie, miłość — z wyjątkiem samych siebie.

Kolejna uwaga. Bardzo niewielu ludzi potrafi dążyć do samourzeczywistnienia, nie umniejszając wartości innych osób. Jedną z cech człowieka, który skupia się na samym sobie jest zanik zainteresowania innymi ludźmi i rzeczami. W rezultacie problemy zewnętrzne zajmują go tylko o tyle, o ile służą jego własnej samorealizacji. Stają się one jedynie środkami umożliwiającymi osiągnięcie celu. Narzędziami. Czymś, co po wykorzystaniu można wyrzucić na śmietnik. Ma się rozumieć, tego rodzaju postawa w rzeczywistości przekreśla nasze szansę na urzeczywistnienie się. W miarę jak świat staje się mniej interesujący, własne „ja” staje się bardziej wymagające i niespokojne. Człowiek, który zaczął się interesować własną osobą, wnet dostrzega w tym taki ciężar, że gotów jest na każdy desperacki akt, byleby tylko móc go z siebie zrzucić. Zwraca się wówczas ku narkotynom, alkoholowi lub jakiemuś innemu środkowi znieczulającemu.

Tak wygląda ten problem w zarysie. Aby nadać mu konkretną treść, posłużmy się przykładem filmowym. *Mirror Crack'd* (Stłuczone lustro), film na podstawie kryminału Agathy Christie, ukazuje ciekawy kontrast pomiędzy dwoma typami

ludzi. Hollywoodzka ekipa filmowa przybywa do angielskiej wioski, aby nakręcić w niej film. Przybysze z Hollywood to postacie skrajnie narcystyczne, a mimo to dręczone niepokojem i uzależnione od proszków nasennych. Nie interesuje ich nic poza nimi samymi, podczas gdy Anglicy, w sposób charakterystyczny dla amatorów, interesują się wszystkim. Na przykład pannę Marple zawsze widzimy uprawiającą ogródek, szydełkującą, piekącą chleb lub dopytującą się o zdrowie sąsiadów. Jej zainteresowania koncentrują się poza nią samą, dlatego jest z niej wyśmienity detektyw-amator. Panna Marple potrafi obiektywnie spojrzeć na sytuację, ponieważ jej zainteresowania zakorzenione są w obiektywnych realiach; jej ciekawość nie kończy się na niej samej.

Jak może pamiętacie, *amateur* to po francusku „miłośnik”. Słowo to oznacza życzliwe zainteresowanie światem, czułą troskę o wszystko, co znajduje się poza nami. Kiedy tracimy status amatora, zaczynamy tracić zdolność przejmowania się czymkolwiek. Prawdopodobnie coś takiego przytrafiło się wspomnianej ekipie z Hollywood. Ludzie ci są ekspertami od mówienia o sobie. Swoje potrzeby i wymagania znają na wylot, co jest albo wynikiem wieloletniej analizy, albo zwyczajną konsekwencją funkcjonowania w społeczeństwie psychologicznym. Zatracili charakterystyczną dla amatora umiejętność radowania się otaczającym ich światem.

Należy odnotować jeszcze jedną rzecz, związaną z tym filmem. Jego akcja dzieje się w latach pięćdziesiątych. Z jednej strony to całkiem niedawno. Z innego punktu widzenia to całe wieki temu. *W owych czasach angielska wieś nie należała jeszcze do społeczeństwa psychologicznego.* To samo *dotyczyło* także sporych obszarów amerykańskiej prowincji. Za to Hollywood był już całkowicie opanowany przez psychologię. Zatem aktorów i mieszkańców wsi dzieli przepaść, nie tylko dlatego, że reprezentują oni dwie różne kultury, lecz również dlatego, że żyją oni w dwóch różnych epokach. Angielscy mieszkańcy wsi wciąż żyją w świecie przedfreudiańskim.

Logicznie nasuwa się pytanie: „Czy na świecie nie ma ludzi, którzy się urzeczywistnili?” Otóż tacy ludzie istnieją. Wszyscy znamy ludzi, w których uderza nas to, że jest w nich więcej życia oraz więcej spokoju niż u przeciętnych osób. Na dodatek wydaje się, że są one wszystkim *szczerze*, zainteresowane. I często potrafią sprawić, że bardziej czujemy się sobą. Chciałbym jedynie zauważyć, że gdy natrafimy na „oryginalny wyrób”, a nie tylko „imitację”, można

się założyć, że człowiek ten jest taki, jaki jest z pewnością nie dlatego, że skupił się na własnym „ja”.

Dotychczasowe rozważania moglibyśmy podsumować trzema wnioskami: (1) próba umieszczenia własnego „ja” ponad wszystkim innym — a więc zastąpienia nim Boga — to obarczenie nas wielkim brzemieniem; (2) skoncentrowanie się na własnym „ja” powoduje skutki odwrotne do zamierzonych, ponieważ prowadzi nie do samourzeczywistnienia, lecz do zbyt poważnego traktowania samego siebie; (3) zajmowanie się samym sobą zmniejsza zainteresowanie światem, co z kolei sprawia, że własne „ja” staje się mniej interesujące. Krok następny to postawienie pytania: „Jaki świat budujemy?”

WSPÓŁCZESNA OBSADA RÓL

Rozdział ten rozpocząłem od omówienia pewnej charakterystycznej mentalności, i zasugerowałem, że społeczeństwo psychologiczne wytwarza atmosferę bezlitosnej powagi. Pytanie o charakterystyczną mentalność, jeśli spojrzeć na nie z innej strony, przeradza się w pytanie o to, jakich postaci brakuje w naszej opowieści.

Tego, co za chwilę powiem, nie jestem w stanie udowodnić przy pomocy danych statystycznych; będziecie to musieli porównać z własnymi spostrzeżeniami. Otóż zaobserwowałem, że we współczesnym teatrze życia nie tylko zrezygnowano z układu: tradycja, rytuał, rodzina, ale i zredukowano w stopniu zatrważającym obsadę ról. Obecna atmosfera nie pozostawia wiele wolnego miejsca na śmiałą ekscentryczność, na bardziej wyraziste cechy charakteru uosabiane w literaturze przez Sir Johna Falstaffa czy Samuela Pickwicka, a w świecie realnym przez kogoś takiego, jak Samuel Johnson — krótko mówiąc, przez ludzi o skandalicznie bujnym trybie życia.

Kiedy myślimy o tych postaciach, myślimy o nich z wielką czułością; przypominają one wyrosnięte dzieci. Nigdy im nie przyjdzie do głowy, że im jesteśmy starsi, tym poważniej powinniśmy podchodzić do samych siebie. Johnson, nawet w późniejszych latach swojego życia, uwielbiał staczać się z górki. Podobnie Pickwick i Falstaff spędzają czas, wplątując się w kolejne uciężne wydarzenia. Wszystkim trzem wspólna jest umiejętność sprawiania innym przyjemności swą obecnością i rozmową. Powodem tego jest ich brak powagi. Ich zewnętrzna próżność kryje lekceważący stosunek do własnej osoby. Warunkiem umożliwiającym sprawianie innym takiej przyjemności jest

elementarna pokora; uznanie, że są oni takimi samymi ludźmi, jak wszyscy inni, nie zaś kimś wyjątkowym, znajdującym się na prostej drodze do spełnienia się. Otóż pokora nie oznacza udawania, że jest się mniej bystrym lub mniej utalentowanym niż w rzeczywistości. Na przykład Johnson doskonale wiedział, że niewielu ludzi w Londynie dorównywało jego inteligencji. Nie był przecież głupcem. Mimo to, na innym poziomie, posiadał elementarną skromność, wyrażającą się w przekonaniu, że wszyscy są równi w oczach Boga, i że od czasu do czasu wszyscy musimy w tych oczach głupio wyglądać. W każdym razie Johnson nigdy nie uważał, że robienie z siebie błazna jest czymś poniżej jego godności. Chętnie wykorzystywał każdą okazję do błazenady, a jeśli takowej okazji akurat nie było, stwarzał ją sam. Bliski przyjaciel pisał o nim: „W bufonadzie nie ma sobie równych”.

Trudno jednak być dalej beztrojskim, skoro dowiadujemy się, jak bardzo poważnie powinniśmy traktować samych siebie. Tego właśnie nauczyła nas psychologia. Na przykład, wiele się dzisiaj mówi o godności człowieka. To słuszną ideą, jeśli chodzi o to, by nikt nie wykorzystywał ani nie krzywdził drugiej osoby. Jeśli jednak chodzi o to, byśmy widzieli w sobie napuszonego bożka czy pępek świata, to idea ta może się okazać bardzo szkodliwa.

Jedną z ofiar zbytniej powagi może być nasze poczucie humoru. Dzieje się tak dlatego, ponieważ poczucie humoru oznacza pewną utratę godności. Ktoś, kto stroi miny, aby rozbawić dziecko, rezygnuje ze swej godności; podobnie ktoś, kto ryczy ze śmiechu. Nieodzownym warunkiem dobrej zabawy jest zapomnienie o swojej godności, czyli o sobie samym. Potwierdzamy tę prawdę, mówiąc na przykład: „Nie posiadałem się ze śmiechu”. Aby się dobrze bawić, musimy wyjść poza siebie. W przeciwnym wypadku zabraknie nam perspektywy; nie zrozumiemy dowcipu. Natomiast zbytnie zaabsorbowanie samym sobą pozbawia nas wszelkiej perspektywy: pojawia się powaga w stosunku do samego siebie, znika poczucie humoru.

A brak poczucia humoru to brak zdrowia psychicznego. Czasami mówimy, że ktoś posiada „zbawczą łaskę”, pewną cechę, która sprawia, że nie jest to osoba złośliwa albo nudna. Z pewnością poczucie humoru jest jedną z takich zbawczych łask. Poczucie humoru pomaga nam między innymi zachować zdrowie psychiczne. Wydaje się, że dotyczy to na przykład Johnsona, który miał naturalne predyspozycje do melancholii, i który musiał znosić ubóstwo, poważne

dolegliwości fizyczne, a także swą wyjątkową brzydotę fizyczną. Momentami wręcz obawiał się, że popadnie w obłąd. Zrozumiał, że najlepszym lekarstwem jest nie igrać z samoświadomością. Kuracja polegała raczej na oddaleniu się od samego siebie. Nie jesteśmy w stanie powiedzieć, czym by się to wszystko skończyło, gdyby można było wówczas korzystać z psychoterapii. Wiemy natomiast, że psychoterapia zachęca do autoanalizy, Johnson miał chyba szczęście, że w owych czasach nie można było z niej korzystać.

O tym, że Johnson potrafił wychodzić poza siebie wiemy z pełnych ciepłego humoru przekazów, przedstawiających jego liczne błazeństwa. Istnieje na przykład obraz, przedstawiający pulchnego Johnsona z podwiniętymi, na kształt torby, brązowymi połami surduta, skaczącego po pokoju niczym kangur i rozśmieszającego swoich gości. Jest też obraz Johnsona, który na jednej z londyńskich ulic dostał „takiego ataku śmiechu, że wyglądało, jakby miał konwulsje; dla zachowania równowagi oparł się o jedną z latarni... i wybuchł takimi głośnymi salwami śmiechu, że w ciszy nocy jego głos zdawał się być słyszalny od Temple Bar po Fleet” .

Jeśli mamy osiągnąć pełnię, powinniśmy zastosować odpowiednią strategię. Ludzie są najbardziej sobą wówczas, gdy wychodzą poza siebie.

ZAABSORBOWANIE SAMYM SOBĄ A ZDROWIE PSYCHICZNE

Ekstremalne formy zaburzeń psychicznych są zawsze ekstremalnymi przypadkami zaabsorbowania samym sobą. Ibsen opisywał szpital psychiatryczny jako miejsce, gdzie

Swem „ja” tutaj każdy szpuntuje swą beczkę,

Swojem „ja” nazywa każdą jej klepeczkę.

Nikt tutaj bliźniego nie czuje boleści,

Nikt nie wie, co w mózgu drugiego się mieści.

Na przykład osoby cierpiące na paranoję nie pozwalają swej uwadze swobodnie błądzić. Nigdy ich nie przyłapiemy na bezmyślnym przyglądaniu się kwiatom. Jeśli patrzą na kwiaty, to tylko w poszukiwaniu nasienia spisku skierowanego przeciwko nim.

Cechą wyróżniającą, tym, co dosłownie odróżnia paranoików od innych ludzi, jest ich nadmierna samoświadomość. Zaś tym, co cenią w sobie najbardziej, jest niezależność. Cały czas boją się, że ktoś inny ingeruje w ich wolę lub próbuje kierować ich życiem. Nabranie dystansu wobec samego siebie to, zdaniem tych

ludzi, najgorsze, co ich może spotkać. Wolą raczej coraz głębiej zanurzać się w sobie, zrywając przy tym więzy towarzyskie, niż dopuścić do czegoś podobnego.

W znakomitym studium poświęconym tej chorobie, David Shapiro zauważa: „Paranoicy rzadko kiedy się śmieją. Mogą się zachowywać tak, jak gdyby się śmiali, lecz nie jest to śmiech prawdziwy; to znaczy, w ogóle im się nie chce śmiać”. Dlaczego? Ponieważ „śmiech zawsze zakłada nabranie pewnego dystansu”. A także: „W ludziach tych kurczy się i zawęża nie tylko rozpiętość uczuć, ale i zakres zainteresowań. Znika wesołość, a i chęć do żartów jest zwykle nieobecna”.

(Nie sugeruję tutaj, że ludzie cierpiący na tego typu choroby są umyślnie zaabsorbowani samymi sobą. Po prostu nie potrafią się wyrwać ze swojego psychicznego więzienia.)

Uczyńmy kolejny krok. Pomyślcie pewnie w tym miejscu o innej chorobie psychicznej: depresji. Wydaje się, że osoby w stanie depresji nie martwią się o swoją niezależność. W ogóle zdają się oni niczym nie przejmować. Jeśli przeżywaliście kiedykolwiek depresję, znacie to uczucie. Życie wydaje się pozbawione wartości i jakiegokolwiek nadziei. Również własne „ja” zdaje się bezwartościowe i puste. Największym pragnieniem człowieka przeżywającego depresję jest wyjście poza siebie, jednak nie potrafi on tego uczynić. Świat wydaje się tak samo pozbawiony nadziei jak własne „ja”. Człowiek przeżywający depresję wie, że potrzebuje pomocy, lecz nie wierzy, że jest ona możliwa. Nie może nabrać dystansu do samego siebie, ponieważ obawia się, że nie ma takiej rzeczy lub osoby, na której można by polegać.

W przeciwieństwie do osoby cierpiącej na paranoję, osoba przeżywająca depresję nie ma złudzeń, co do swojej niezależności. Mimo to podstawowym podobieństwem, tym, co stwierdzamy w obydwu przypadkach, jest umieszczenie samego siebie w centrum wszystkiego. Paranoik uważa, że własne „ja” to wszystko, co istnieje, dlatego rozpaczliwie usiłuje nad nim zapanować. Człowiek przeżywający depresję obawia się, że własne „ja” to wszystko, co istnieje, dlatego jest w rozpacz.

Gdybym przeżywał depresję, ostatnią rzeczą, jaką chciałbym usłyszeć byłoby: „Masz przynajmniej siebie”. Człowiek w stanie depresji próbował już niezależności, a gdy nadszedł czas prawdziwej próby, wypadła ona niepomyślnie. Jeśli własne „ja” to jedyna rzecz, dla której ma żyć, to wolałby raczej umrzeć. Z

wszystkich ludzi on najlepiej potrafi docenić uwagę George'a MacDonalda:
„Piekło opiera się na jednej zasadzie: «Należę do samego siebie»”.

ZARZUTY WOBEC ARGUMENTACJI OPARTEJ NA WIZERUNKU WŁASNYM

Niektórzy sprzeciwiają się takiej interpretacji, mówiąc, że ofiary depresji nigdy na początku nie są przekonane o swojej wartości. Powiadają oni, że ludzie ci muszą poznać swą własną wartość. Dzięki temu nie będą rozbici, kiedy utracą posiadłość lub rzuci ich ukochana osoba. Przyjrzyjmy się jednak następującym zarzutom wobec powyższego poglądu:

(1) Przypuśćmy, że prawdą jest, iż człowiekowi przeżywającemu depresję brakuje korzystnego wizerunku własnego. Skąd zatem wziąć ów korzystny wizerunek? Z własnego wnętrza? Lecz człowiek ten jest pogrążony w rozpacz. My mamy go dostarczyć? Lecz my nie jesteśmy w stanie oddać mu utraconej posiadłości lub utraconej dziewczyny. Powiedzieć mu, że potrzebny mu jest korzystny wizerunek własny to tak, jak powiedzieć komuś, kto źle widzi, że potrzebny mu jest lepszy wzrok. Niewiele to pomaga.

(2) Pojawia się tu pewien problem, polegający na tym, że psychologowie głoszą sprzeczne teorie na temat pochodzenia wizerunku własnego. Z jednej strony psychologowie dziecięcy sugerują, że za nasze wyobrażenie o sobie odpowiedzialni są nasi rodzice. Jeśli byli dobrymi, kochającymi rodzicami, będziemy mieli o sobie dobre mniemanie. Jeśli byli złymi rodzicami, będziemy mieli o sobie złe mniemanie. W rzeczywistości sprowadza się to do stwierdzenia, że jest to kwestia szczęścia. Korzystny wizerunek własny oznacza, że ma się szczęście, niekorzystny wizerunek własny oznacza, że ma się pecha. Z drugiej strony psychologowie zajmujący się osobami dorosłymi zdają się twierdzić, że na nasze szczęście możemy wpływać, kiedykolwiek chcemy. Możemy wznieść się ponad los i okoliczności i w jakiś sposób stworzyć wizerunek własny, niezależny od kaprysów fortuny. Ale właściwie jak to zrobić?

(3) Założeniem argumentacji opartej na wizerunku własnym jest pogląd, że osoby mające korzystny wizerunek własny nie cierpią na poważną depresję. Rzeczywiście nie... dopóki wszystko w życiu układa się po ich myśli. Na tej samej zasadzie złodziej jest uczciwym człowiekiem w momencie, gdy akurat niczego nie kradnie. I znów problem polega na tym, co było pierwsze: nasze szczęście czy korzystny wizerunek własny. Gdy zabraknie szczęścia, wizerunek

własny zaczyna kruszeć. Tylko nieliczni potrafią bez kłopotu znieść nagłą i poważną chorobę, utratę pracy, koniec małżeństwa lub miłosnego związku. Czy zatem wszystkim innym powiemy, że na początku musieli nie mieć zbyt dobrego wyobrażenia o sobie?

(4) Argumentacja oparta na wizerunku własnym sugeruje dalej, że ludzie niezależni, sami ustanawiający zasady własnego postępowania, nie cierpią na depresję. Rzeczywiście nie, zwłaszcza jeśli stali się aż tak zobojeźniali, że nie przejmują się nawet śmiercią drugiego człowieka. Psychopaci nie cierpią na depresję. Na dłuższą metę, odpowiedź jakiej można udzielić rzecznikom niezależności to pytanie: „Co chcecie, byśmy zrobili? Czy pancierz naszej samowystarczalności ma być aż tak gruby, abyśmy nie tylko stali się odporni na ciosy, ale i nigdy się na nie nie narażali?”

(5) Filozofia poczucia własnej wartości jest wszechobecna. Można by pomyśleć, że upłynęło wystarczająco dużo czasu, by zaczęła ona przynosić spodziewane rezultaty. Mimo to depresja się szerzy.

Podobnie samobójstwa. W ciągu ostatnich dwudziestu pięciu lat liczba samobójstw wśród nastolatków wzrosła o niemal trzysta procent. Samobójstwa wśród dzieci — niegdyś rzadko spotykane zjawisko — stają się coraz bardziej powszechne. Filozofia poczucia własnej wartości nie jest przyczyną tych problemów, lecz im też nie zapobiega. „Uzbrajam was w miecz, którym jest poczucie własnej wartości” — mówi swoim dzieciom społeczeństwo psychologiczne. „Dobrze wam będzie służył w bitwie”. Jednak nie jest to dobra broń, a nasi wrogowie nie dają się tak łatwo zabić. Siła przeciwnika została w pożałowania godny sposób niedoceniona, zaś nasze własne siły — wyolbrzymione.

KIEDY WSZYSTKO INNE ZAWODZI

To dość niemiłe słowa, zwłaszcza gdy nasza wiara jest zakorzeniona w psychologii oraz jej sztandarowym pojęciu — naszym „ja”. Raz po raz własne „ja” nas zawodzi — widać to wyraźnie. Inni również nas zawodzą. Prosta prawda jest taka, że kiedy wszystko zawodzi, psychologia nie ma już nic innego do zaproponowania. Jeśli szukamy czegoś, co nigdy nie zawodzi, to nie należy tego szukać w społeczeństwie psychologicznym.

Nawiasem mówiąc, perspektywa psychologiczna nie jest niczym nowym. W V wieku brytyjski mnich, Pelagiusz, wysunął heretycką tezę, jakoby ludzie

odpowiadali za własne zbawienie. Jak na surowego i gorliwego człowieka przystało, miał on niewiele zrozumienia dla ludzkich słabości. „Bardziej się staraj” — mówił; „żadnej gnuśności; naucz się samodyscypliny; weź sprawy w swoje ręce; bądź panem swego losu; uwierz w siebie i przestań zadreć Pana Boga”.

Na co chrześcijanie odpowiadają, podobnie jak Falstaff, broniący przed księciem czeredy swoich żołnierzy: „Przecież to śmiertelnicy, śmiertelnicy”. Śmiertelnicy, to znaczy ludzie słabi, czasami tchórzliwi, często głupi. Słowa te nie świadczą pewnie zbyt dobrze o godności ludzkiej. Taki mają jednak sens. I jest to głos wszystkich przegranych i sfrustrowanych tego świata, nie tylko tych nielicznych, którym się udało.

Tak się składa, że jest to równocześnie bardziej realistyczne podejście do zagadnienia szczęścia. Chrześcijaństwo głosi, że nie można polegać na samym sobie, ale i nie można całkowicie polegać na innych. Zbawienie to przede wszystkim dzieło Boga. Bycie szczęśliwym polega na uznaniu tego faktu. Kiedy zawiedzie nas własne „ja”, kiedy na dodatek zawiedzie nas wszystko inne, niekoniecznie wszystko musi być stracone.

BYĆ ROZWAŻNYM CZY NIEROZWAŻNYM?

Różnica pomiędzy własnym „ja” jako zbawicielem a Bogiem jako zbawicielem jest taka sama, jak pomiędzy rozważą a jej brakiem, czyli taka, jak pomiędzy kimś pełnym rozważą a kimś nierozważnym. Jedną z różnic pomiędzy osobą zdrową a osobą neurotyczną jest pewien beztroski nastrój tej pierwszej. Osoby, które są zadowolone, nie martwią się bez przerwy o swoje zdrowie. Robią coś nie dlatego, że jest to „dobra terapia”, lecz po prostu dlatego, że im to sprawia przyjemność. Nie przyglądają się bezustannie swym wewnętrznym procesom.

Nie możemy sobie jednak pozwolić na beztroskę, jeśli wierzymy, że przez cały czas „wszystko zależy ode mnie”. Skoro tylko własne „ja” uczynimy swoim zbawicielem, wprzegamy się w ten sam „morderczy kierat”, który tak dobrze opisał dr Peck. Od tej chwili każdy nasz krok musi być bardzo uważny.

W ten sposób dochodzimy do ostatniego zagadnienia. Kiedy stajemy się nierozważni, lubimy gubić różne rzeczy: klucze, rękawiczki, okulary. To jest to, co nas w tej postawie irytuje. Jakie to jednak przyjemne, kiedy stwierdzamy, że zatraciliśmy się — w rozmowie, w rozmyślaniach, w pracy lub w zabawie. Najlepsze chwile to te wspaniałe momenty samozatrąty, chwile, kiedy będąc

pograżeni w rozmowie lub opanowani przez śmiech, bardziej jesteśmy sobą niż kiedykolwiek indziej. Najlepiej przygotujemy się do takich chwil, lekko podchodząc do wszystkiego.

Chesterton wskazywał, że Pickwicka podtrzymuje na duchu sugestia, „która w najczarniejszej dla niego godzinie mówi mu, że jest skazany na to, by żyć długo i szczęśliwie”. Sam Chesterton przypomina nam Pickwicka: pulchnego, jowialnego jegomościa w wiecznie dobrym nastroju. Natomiast w *Człowieku, który był Czwartkiem*, fantastycznym kryminale Chestertona, stajemy twarzą w twarz z najbardziej pogodną postacią z wszystkich — Niedzielą, ogromnym przewodniczącym Klubu Anarchistów, człowiekiem tak olbrzymim, że można by pomyśleć, iż kiedy kroczy, kruszy pod sobą płyty chodnikowe. Mimo to Niedziela skacze po ulicy niczym gumowa piłeczka i uchodzi przed pościgiem, wlatując w powietrze balonem. Oczywiście, okazuje się, że Niedziela to... Cóż, gdybym to teraz powiedział, zepsułbym wam przyjemność czytania.

Usilnie starałem się tu pokazać, że trudno o pogodę ducha w społeczeństwie psychologicznym. Jesteśmy zbyt obciążeni własną powagą, zbyt zajęci kalkulacjami dotyczącymi nas samych. Powaga psychologii zaraża nawet nasze poczucie humoru. Mamy kilku inteligentnych humorystów, takich jak Woody Allen, Jules Feiffer, Gary Trudeau. Jednak źródłem ich dowcipu jest w znacznej mierze psychiatria. To humor wyrastający ze skrępowania sobą, nie zaś z zapomnienia o sobie. Trudno sobie wyobrazić, aby Woody Allen ryczał ze śmiechu wspólnie z doktorem Johnsonem.

A śmiech jest nam potrzebny — zwłaszcza w sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy, traktując psychologię oraz samych siebie tak bardzo poważnie. Muszą istnieć ciekawsze sposoby spędzania wolnego czasu. Skoro Oscar Wilde mógł powiedzieć: „Kłopot z socjalizmem polega na tym, że zabiera on zbyt wiele wieczorów”, to może warto by się zastanowić, czy tego samego nie da się powiedzieć o psychologii: że zabiera zbyt wiele wieczorów... jak i zbyt wiele popołudni.

ROZDZIAŁ VI

Grzech i akceptacja samego siebie Kiedy grzech staje się drugą naturą Poważne traktowanie ludzi

Bez grzechu chrześcijaństwo nie ma sensu. Jeśli nie jesteśmy grzesznikami, jeśli nie odwróciliśmy się od Boga, oznacza to, że Bóg niepotrzebnie stał się człowiekiem i niepotrzebnie umarł. Chrystus przyszedł wyzwolić nas z niewoli grzechu. To najbardziej podstawowa prawda wiary chrześcijańskiej. Wynika z niej, że bez świadomości grzechu nie będziemy w stanie zrozumieć sensu chrześcijaństwa. Można to ująć bardziej dosadnie i powiedzieć, że jeśli przyjmimy, iż ludzie są bezgrzeszni, to będziemy musieli przyznać, że chrześcijaństwo to jedno wielkie nieporozumienie.

Obecnie można stworzyć atmosferę, w której ludzie mają nikłe poczucie grzechu, a zatem niewielką możliwość zrozumienia, o co w ogóle chodzi w chrześcijaństwie. Wiemy, że jest to możliwe, ponieważ taka właśnie panuje dziś atmosfera. Rzecz w tym, że psychologii udało się z niesłychanym powodzeniem nakłonić ludzi do zaakceptowania samych siebie — a przynajmniej do zaakceptowania poglądu, że powinni samych siebie akceptować. Nawet jeśli w rzeczywistości ludzie nie są z siebie zadowoleni, to są przekonani, że powinno być inaczej. Nawet gdy czują się winni, są przekonani, że to tylko neurotyczne poczucie winy: coś, co wymaga nie pokuty, lecz wyjaśnienia.

ZMIANA PRZEKONAŃ ZAMIAST POSTĘPOWANIA

Oprócz zaszczepienia w nas poglądu, że powinniśmy być z siebie zadowoleni, psychologia każe nam postawić na zintegrowaną i zharmonizowaną osobowość. Problem polega na tym, że w oczach tych, którzy nadal wierzą w istnienie grzechu, przekonania i czyny są często nie do pogodzenia. „Nie czynię bowiem dobra, którego chcę — pisał św. Paweł — ale czynię to zło, którego nie chcę" (Rz 7,19).

Jednym ze sposobów uporania się z tą rozbieżnością pomiędzy naszymi przekonaniem a naszymi grzesznymi skłonnościami jest okazanie skruchy, błaganie o łaskę i przebaczenie, oraz podejmowanie dalszych wysiłków z wiarą, że walcząc z grzechem, osiągniemy za sprawą Boga większą harmonię. Takie jest stanowisko chrześcijańskie. Psychologia zdaje się proponować nowy pogląd, zgodnie z którym za wszelką cenę powinniśmy żyć w harmonii. Jeśli nasze czyny nie są zgodne z naszymi przekonaniem, powinniśmy zmienić przekonania (gdyż przekonania znacznie łatwiej zmienić niż postępowanie).

Do tego, po bliższej analizie, sprowadza się rozprawianie na temat „poprawy wyobrażenia o sobie”. Oznacza to, że jeśli nasze wyobrażenie o sobie psuje nam przyjemność, którą daje przygodny seks, a mimo to nadal nam na takim seksie zależy, to powinniśmy odpowiednio zmienić wyobrażenie o sobie. Alternatywą jest niezadowolenie z siebie, obecnie jednak alternatywa taka wydaje się nie do przyjęcia. Wszystko to jest bardzo pokrętne, śliskie i pełne przebiegłej logiki. Oznacza to przekonywanie siebie, że to, na co mamy ochotę, nie jest w końcu aż tak złe. Oczywiście, podejście takie jest z gruntu nieuczciwe. Już większą chlubę przynosiły słowa: „Jest to złe, ale nic na to nie poradzę” lub „Jest to złe, ale nic już mnie nie obchodzi. Muszę to mieć”.

Można by zatem pomyśleć, że odwołanie się do uczciwości byłoby w naszym społeczeństwie tym, do czego można by się w ostateczności uciec. Tak jednak nie jest. Co dziwne, wiele naszych oszustw usprawiedliwiamy właśnie w imię uczciwości. Psychologiczne *credo* głosi, że powinniśmy być dumni z siebie oraz naszego stylu życia, że nie powinniśmy ukrywać, jacy jesteśmy.

Istnieje popularny film szkoleniowy dla psychologów, mówiący o rozwiedzionej kobiecie, którą dręczy problem, czy powiedzieć, czy też nie powiedzieć swojej córce o tym, że sypia z mężczyznami, z którymi się spotyka. Z jednej strony chce być uczciwa wobec córki, z drugiej zaś strony czuje się zawstydzona. W pewnym momencie powiada z ogromną szczerością do swego psychoterapeuty: „Chcę, by pomógł mi pan pozbyć się poczucia winy”. Co ten, ma się rozumieć, czyni. Następnie psychoterapeuta komentuje cały epizod mówiąc, że kobieta ta pokonała drogę „od braku akceptacji do akceptacji samej siebie”.

Ów psychoterapeuta, nawiasem mówiąc dość sławna postać, zawsze zachwycał się w swych książkach tym, do jakiego stopnia ludzie mogą zaakceptować samych siebie. Nie ma co się dziwić, jeśli weźmie się pod uwagę sposób, w jaki są oni do tego zachęcani. Sztuczka częściowo polega na wzmocnieniu bezsprzecznie szlachetnej strony konfliktu przeżywanego przez pacjenta — w tym wypadku na wzmocnieniu pragnienia matki, by utrzymać jawność w stosunkach z własnym dzieckiem. W społeczeństwie psychologicznym dopuszcza się, by uczciwość była osłoną dla rozlicznych grzechów. Niestety, dopuszczono także do tego, by stała się ona osłoną dla naturalnego uczucia wstydu, które jest jednym ze strażników naszej przyzwoitości. Nie do nas należy wydawanie wyroków w sprawie kobiety, wplątanej w trudną, choć jakże często spotykaną sytuację; należy raczej zwrócić uwagę na to, że proces terapii, któremu jest ona poddana, to najlepszy sposób na skuteczne osłabienie świadomości popełnionego grzechu. Musimy cenić uczciwość, lecz prawdziwie uczciwy człowiek będzie

chciał się dowiedzieć, jaka to uczciwość niezmiennie prowadzi do wniosku, że właściwie nic złego się nie stało.

STAWANIE SIĘ GORSZYM POPRZEZ AKCEPTACJĘ SAMEGO SIEBIE

W tym miejscu można by się sprzeciwić, mówiąc, że akceptacja samego siebie niesie wiele pozytywnych korzyści. To prawda. Niektórzy ludzie dzięki akceptacji samych siebie stają się lepsi: uczą się akceptować swoje ograniczenia oraz wady, w wyniku czego potrafią zaakceptować ograniczenia innych osób. Zrywają ze swym perfekcjonizmem i stają się wdzięczni za to, co mają. Równie prawdziwe jest jednak to, że inni poprzez akceptację samego siebie stają się gorsi.

Wyobraźmy sobie całkiem przyzwoitego człowieka, który próbuje pokonać swą skłonność do gniewu, poświęca się dla innych, próbuje panować nad swym popędem płciowym — innymi słowy, bardzo się stara być dobry. Następnie wpadają mu w ręce jedna lub dwie książki, które mówią mu, że już jest dobrym człowiekiem. Dowiaduje się, że może zaufać swoim impulsom, że nie powinien bać się być sobą, że nie ma powodu, by miał się wstydzić swego gniewu lub popędu płciowego, ponieważ są to w końcu rzeczy ludzkie. Może przeczytać, że lew nie wstydzi się robić tego, co robią inne lwy, więc dlaczego człowiek miałby wstydzić się robić to, co wydaje mu się naturalne? Ponieważ mamy do czynienia z kimś, kto zawsze był raczej dobrym człowiekiem, nie będzie mu trudno w to wszystko uwierzyć. Może go nawet natchnąć częste odwoływanie się do osobistego rozwoju i odwagi, charakteryzujące tego typu książki. Jego akceptacja samego siebie przedstawiona jest jako akt odwagi. W rzeczywistości zaakceptował on naturalistyczną filozofię, która nie dostrzega, że natura ludzka znacznie się różni od natury innych zwierząt. Zachowaniem zwierzęcia kierują jego instynktowne ograniczenia. Gdy jednak człowiek zaczyna kierować się w swoim postępowaniu wyłącznie instynktem, nie ma dosłownie ani jednej *rzeczy*, której nie byłby w stanie zrobić.

Naszemu bohaterowi wszystko zaczyna się ukazywać w innym świetle. Jego postawa ulega stopniowej zmianie. Zaczyna odczuwać wrażenie, że przez cały czas wypierał się swych naturalnych praw oraz potrzeb. *Zawsze* miał skłonności do próbowania tego lub owego, jednak w przeszłości zawsze mu się udawało nad nimi zapanować. Wkrótce dostrzega w nich nie pokusę, lecz możliwość rozwoju. Jego problemem nie jest już: „Czy to dobre, czy złe?”, lecz: „Czy jest to okazja, by się rozwinąć?” lub coś podobnego. Rzecz jasna, „okazja, by się rozwinąć” brzmi tak samo jak „okazja, by się czegoś nauczyć” — czyli może to być cokolwiek. Wkrótce będzie robił rzeczy, które kiedyś uznałby za odrażające. Całkowicie utraci zdolność dostrzegania ich prawdziwej istoty. Zamiast rozwinąć swą samoświadomość,

stępi swą umiejętność odróżniania dobra od zła.

KIEDY GRZECH STAJE SIĘ NASZĄ DRUGĄ NATURĄ

Fakt, że potrafimy się przyzwyczaić i przyzwyczajamy się do różnych rzeczy w takim stopniu, że stają się one naszą drugą naturą, nie mówi jeszcze, czy należy się z tego cieszyć, czy nie. Jedni przyzwyczajają się do swego niewolnictwa, inni do swego nierządu. „Nie szczyć się tym — pisał Chesterton — że twą babkę szokowało coś, co ty, wskutek przyzwyczajenia, możesz oglądać lub słuchać, nie doznając przy tym szoku... Może to oznaczać, że twoja babka była wyjątkowo żywym i energicznym stworzeniem, a ty jesteś paralitykiem". Na tym polega problem związany z nawykiem zbyt łatwego akceptowania samego siebie. Nawyk ten, podobnie jak i inne, czasami nie pozwala nam myśleć i paraliżuje naszą zdolność odpowiedniego reagowania.

Oto co na temat grzesznych nawyków zawsze mówiło chrześcijaństwo. Kłopot z dostrzeganiem swej własnej grzeszności polega między innymi na tym, że im więcej grzeszymy, tym mniejsza jest nasza zdolność dostrzegania popełnionych błędów. Kiedy ktoś jest pijany, zamroczenie alkoholowe nie wydaje się niczym złym, chyba, że zbiera mu się na wymioty. W podnieceniu wywołanym zbliżającym się kontaktem seksualnym pójście z drugą osobą do łóżka wydaje się raczej czymś dobrym. Dopiero po wszystkim przychodzi zastanowienie. Jeśli jednak niedozwolony seks stanie się naszym nawykiem, zniknie nawet owa refleksja. Spróbujmy zastosować w praktyce swą skłonność do oszustw i obłudy, a wnet przestaniemy uważać to za szalbierstwo i nazwiemy smykałką do interesów.

Bardzo trudno zachować nam obiektywizm w stosunku do własnych grzechów, zwłaszcza jeśli weszło nam w nawyk zbyt łatwe akceptowanie samych siebie. Grzechy są nam zbyt bliskie; jest nam z nimi zbyt przyjemnie i wygodnie. Znacznie łatwiej poddać próbie psychologiczny punkt widzenia, odnosząc się do innych osób. Otóż bardzo łatwo jest spekulować, jak przyjemnie byłoby na świecie, gdyby ludzie nauczyli się akceptować samych siebie. Zastanówcie się jednak, co by to oznaczało. Pomyślcie na przykład o tych, którzy utrudniają życie wam lub komuś, na kim wam zależy. Dostrzeżliście ich okrucieństwo, egoizm, brak uczciwości i bezwzględność, z jaką manipulują innymi. Czy naprawdę chcielibyście, aby zaakceptowali siebie takimi, jacy są? Czyż nie byłoby to dolewanie oliwy do ognia? I czyż nie jest prawdą, że najczęściej ktoś taki rzeczywiście akceptuje samego siebie, a nawet chlubi się swoimi wadami? „Owszem, jestem samolubny. I cóż z tego? Przynajmniej nie dam się nikomu wykorzystać" albo „Oczywiście, że będę kłamał, jeśli będę musiał: tak już jest na tym świecie". Znamy takich ludzi. Znamy też takich, którzy chwają się, z iloma kobietami już spali. Czy nie chcielibyście, aby ludzie ci zmienili się zanim za-

akceptują samych siebie — nie tylko w interesie tych, którzy ich otaczają, lecz w ich własnym interesie? Zanim będzie za późno?

ZRZĘDA CZY ZRZĘDZENIE?

Mówię „zanim będzie za późno”, ponieważ powtarzające się grzechy, tak jak pojawiające się wciąż na nowo pęcherze, coraz bardziej twardnieją, stając się czymś zrogowaciałym i pozbawionym czucia. Kościoły chrześcijańskie zawsze najgoręcej przestrzegały właśnie przed tym procesem twardnienia, a nie przed naszymi sporadycznymi potknięciami. Powolne narastanie małostkowej mściwości, kłótności, nadąsania i tym podobnych nawyków, na dłuższą metę okazuje się bardziej niebezpieczne dla naszej duszy niż bijący w oczy, karygodny czyn, do którego się przyznajemy, i za który wyrażamy skruchę. W *Rozwodzie ostatecznym* Lewis opisuje kobietę, której życie to pasmo nieustannego zrzędzenia. Stwierdza on w pewnym momencie, że należało by zadać podstawowe pytanie, czy kobieta owa „tylko zrzędzi czy już jest zrzęda”. Można wpaść w zrzędlivy nastrój, a mimo to pozostawać kimś wyraźnie innym, kimś, kto wciąż potrafi odnieść się do owego stanu krytycznie i mu się oprzeć. „Może jednak nadejść taki dzień, kiedy nie będzie to już możliwe. Nie będzie już ciebie, czyli kogoś, kto mógłby poddać ten stan ducha krytyce, czy choćby się nim cieszyć. Pozostanie tylko monotonne jak maszyna, nie mające końca, zrzęczenie”. Obawiam się, że każdy z nas zetknął się w życiu z tego typu ludźmi, do takiego stopnia opanowanymi jakimś ponurym nastrojem lub depresją, iż wydaje się, że nie pozostało w nich już nic ludzkiego, jedynie sam ten nastrój, będący twardą i pustą obudową.

Chrześcijaństwo nazywa to niewolą grzechu. Z jej najgorszą formą mamy do czynienia wówczas, gdy tak bardzo opanowani jesteśmy przez grzech, że nawet nie zdajemy sobie sprawy z naszej niewoli. Ale można też świetnie sobie zdawać sprawę z własnej niewoli, a mimo to nie umieć sobie z nią poradzić. Mówi się na przykład, że kogoś „trawi” żądza lub wściekłość, albo że ktoś znajduje się w „szponach” zazdrości. W tych wytartych zwrotach mieści się dużo psychologicznej prawdy. Na przykład słowo *trawić* całkiem słusznie sugeruje, iż naszą osobowość coś pożera lub że pochłania ją ogień. Kiedy coś takiego nam się przytrafi, dosłownie czujemy, jak nasza osobowość ulega zagładzie. Wiemy, że jeśli tak dalej potrwa, nic z nas nie zostanie; mimo to czujemy, że niemal nie jesteśmy w stanie zapanować nad naszymi namiętnościami. Wiemy na przykład, że pragnienie zemsty potrafi nas tak wypaczyć, że nawet jeśli od niej giniemy, tracimy przyjaciół, a może i zdrowe zmysły, to uparcie pragniemy zemsty, podsycamy ją, a nawet stawiamy ją ponad wszelkie dobre rzeczy, którymi moglibyśmy się cieszyć.

Nie powinniśmy sobie gratulować, jeśli udało nam się uniknąć owych skrajnych form

niewoli. Istnieją jeszcze inne, bardziej rozpowszechnione. Każdy grzeszny nawyk, z którym nie potrafimy zerwać, wpędza nas w niewolę grzechu. Ni mniej, ni więcej, tylko to właśnie przyznajemy za każdym razem, gdy odradzamy innym popadanie w nałogi, które mają nad nami władzę. Dlatego rodzice czują się czasem niezręcznie, kiedy nie pozwalają dziecku robić czegoś, co robią sami. Dziecku trudno jest zrozumieć, dlaczego — skoro pewne zachowanie jest aż tak naganne — sami nie przestaniemy w ten sposób postępować. Dziecko nic jeszcze nie wie na temat tego rodzaju niewoli, nie wie też jak ciężko jest zerwać ze złymi nawykami. Najlepiej byłoby, gdybyśmy służyli dziecku dobrym przykładem, jeśli jednak jest to ponad nasze siły, powinniśmy przewyciężyć swą dumę i powiedzieć mu, że istnieją pewne zasady, których warto przestrzegać, mimo że nam samym nie zawsze się to udaje. My może utraciliśmy wolność, pozwalającą sprostać tym zasadom, lecz mamy nadzieję, że naszego dziecka coś podobnego nie spotka.

KUCIE ŁAŃCUCHÓW

Zakrawa na ironię, że ludzie, którzy uważają, iż w nałogowym hazardzie, alkoholizmie lub rozwiązłości nie ma nic śmiesznego, wyśmiewają tych wszystkich, którzy próbują uczynić pierwsze niezbędne kroki, pozwalające uniknąć tego typu przyzwyczajień. Katechizm, którego nauczyłem się jako chłopiec, stwierdza wprost:

„Zwykle małym chłopcom i dziewczętom nie grozi niebezpieczeństwo popełniania grzechów śmiertelnych. Mogą oni jednak popełniać drobne grzechy. A jeśli w dzieciństwie celowo popełniają grzechy pospolite i nie starają się ich unikać, to kiedy dorosną, będą popełniać grzechy ciężkie”. Wszystkich dzisiaj śmieszy tego rodzaju rozumowanie, lecz jest to akurat właściwe myślenie psychologiczne. Bitwę wygrywa się lub przegrywa właśnie tu: z drobnymi przyzwyczajeniami, z pierwszymi pokusami. Jedno prowadzi do drugiego — do zahartowania albo czyichś zalet, albo wad. Jest w tym coś z kucia łańcuchów, o czym się zbyt późno przekonał duch Marleya z *Opowieści wigilijnej* Charlesa Dickensa.

Myśli te przedstawiam nie jako teologiczne spekulacje, lecz jako fakty psychologiczne. Jeśli pozbedziemy się określenia „niewola grzechu”, większość ludzi będzie skłonna uznać istnienie tego zjawiska.

Większość ludzi bez problemu potrafi zrozumieć zjawisko bycia zniewolonym przez narkotyki, alkohol, papierosy, czy nawet czekoladę. Jak wiemy, w niektórych wypadkach może to być całkowite zniewolenie. Człowiek traci wówczas swą wolność. Nie może przestać. Traci wszelką kontrolę. Wiemy też, że niektórzy stają się niewolnikami seksu. Mało tego, jest to coś, na czym grają producenci pornografii, kiedy posługują się sformułowaniami typu „niewolnik miłości”. Stąd oczywista ironia, że im bardziej społeczeństwo jest

wyzwolone w sferze seksu, tym większa jest jego obsesja seksualnej niewoli.

GRZECH I CHOROBA

Mamy wystarczająco dużo dowodów na to, że zjawisko określane przez chrześcijan mianem „niewoli grzechu” faktycznie istnieje. Możecie, zgodnie z nowym zwyczajem, nazywać je jak chcecie, istnieją jednak powody, by pozostać przy starym określeniu. Grzech, skrucha i przebaczenie — każde z tych słów zakłada wolność i odpowiedzialność. Ich przekreślenie bardzo często oznacza równoczesne przekreślenie wolności i odpowiedzialności. Ogólnie rzecz biorąc, coś takiego właśnie się wydarzyło. Zjawisko niewoli grzechu przemianowaliśmy na „chorobę”. Chrześcijanom pomysł ten może się częściowo podobać, ponieważ wierzą oni, że jeden grzech — grzech pierworodny — jest właściwie zaburzeniem genetycznym. Jeśli jednak przyjrzymy się konkretnym grzechom, chrześcijanin będzie mniej skłonny sprowadzać je na płaszczyznę medyczną.

Po pierwsze, błędem jest przyrównywanie grzechu do choroby. Grzech uważany jest często za coś podniecającego i dającego przyjemność; choroba nie. Ludzie nie dążą do artretyzmu w taki sam sposób jak do popełnienia cudzołóstwa. Po drugie, jest to dość kiepski komplement pod adresem rodzaju ludzkiego; pozbawia nas prawdziwej godności, to znaczy wolności wybrania dobra. Medal z napisem: „Wszystkie grzechy pana Smitha to tylko choroba”, ma na odwrocie: „Źródłem cnót pana Smitha są witaminy”. W taki sposób można człowieka sprowadzić do poziomu chodzącego sklepu chemicznego. To nasza skłonność do wspaniałomyślności i życzliwości każe nam często usprawiedliwiać błędy innych, traktując je jako chorobę, lecz czy jest w tym prawdziwa życzliwość? Czy zależy nam na tym, aby inni w taki sam sposób myśleli o naszych złych uczynkach? A może chcemy być głaskani po głowie niczym dzieci i słyszeć, jak jakiś dorosły usprawiedliwia nas, mówiąc: „Biedny Billy, nic na to nie może poradzić” albo jeszcze gorzej: „Biedny Billy, urodził się z niedoborem endorfiny”.

POWAŻNE TRAKTOWANIE LUDZI

Chrześcijaństwo poważnie podchodzi do grzechu, ponieważ poważnie podchodzi do człowieka. Nie przyjmuje dziecinnych usprawiedliwień naszego postępowania, ponieważ nasze postępowanie jest tym, co liczy się najbardziej. Kiedy chrześcijaństwo mówi o godności osoby ludzkiej, nadaje temu określeniu wyjątkowo wielkie znaczenie, w zestawieniu z którym jego potoczne użycie wydaje się dziecinną mową.

Chrześcijaństwo to trudne wyzwanie. Jedną z rzeczy, które przeszkadzają nam to dostrzec jest nasz wypaczony pogląd na to, kim jest Bóg. Niektórzy z nas dali sobie wmówić, że jeśli Bóg w ogóle istnieje, to musi On być stworzony na obraz i podobieństwo naszych bardziej wyrozumiałych i dobrodusznym psychoterapeutów. Sprowadza to nas do istot stworzonych na obraz i podobieństwo klientów oraz pacjentów szpitalnych. Dopiero gdy ponownie zaczynamy sobie zdawać sprawę z całkowitej czystości i świętości Boga, trafia do nas, że nie może On po prostu przemykać oczu na grzech niczym jakiś mnich z *Opowieści kanterberyjskich*. Niedoceniając grzechu to tylko odwrotna strona problemu niedoceniają Boga. Lepiej już mieć przed oczami królestwa ze spiczastymi wieżyczkami i groźną magię niż dopuścić do tego, by obraz Boga mylił się nam ze spisem obowiązków zawodowego psychologa.

Jeśli jesteśmy dziećmi Boga lub choćby Jego sługami, to wszystko, co robimy, jest — by posłużyć się określeniem wziętym z *Chance or the Dance* (Przypadek czy taniec) Thomasa Howarda — „niesamowicie naładowane znaczeniem”. Jeśli naszym obowiązkiem jest uczestniczenie w tym, co stworzył Bóg, to nie bez znaczenia jest, czy obowiązek ten wypełniamy dobrze czy źle. Bóg, jeśli Pismo święte może tu być jakąkolwiek wskazówką, nie podchodzi do naszego postępowania jak do interesującego zjawiska przyrodniczego. Wręcz przeciwnie, wyraźnie odnosi się wrażenie, że traktuje On nas tak, jak król traktuje rycerza wysyłanego z ważną misją lub jak ojciec traktuje syna, z którym wiąże wielkie nadzieje.

Psychologia popularna to w połowie wychwalanie godności ludzkiej, w połowie zwalnianie nas z odpowiedzialności. Lecz cóż to za godność? Nie należy w jednej chwili mówić komuś o jego pełnym człowieczeństwie po to, by w następnej dawać do zrozumienia, że nie spoczywa na nim większa odpowiedzialność niż na pierwszym lepszym warzywie. Te sprzeczności na płaszczyźnie teoretycznej ostatecznie stają się widoczne w praktyce. Bałagan, panujący obecnie w naszym systemie wymiaru sprawiedliwości jest tego dobrym przykładem; w zbyt wielkim stopniu opiera się on na psychologicznych koncepcjach winy i odpowiedzialności — koncepcjach, które sprawiły, że system ten znalazł się niemal w ślepych zaułku. Niechęć do wydawania wyroków skazujących, zaległe sprawy sądowe oraz wzrost przestępczości przynajmniej częściowo wynikają z nowego poglądu, jakoby dobro i zło należało mierzyć, stosując raczej kryteria psychologiczne niż prawne czy moralne, oraz z innego, równie wątpliwego poglądu, jakoby sędziowie i ława przysięgłych powinni pełnić rolę psychoterapeutów. Sprawa Hinckleya [niedoszłego zabójcy Ronalda Reagana] to tylko najbardziej rzucający się w oczy przejaw tego problemu.

Dlaczego więc tak łatwo akceptujemy każdą nową rewelację psychologiczną? Ponownie

wracam do tezy, iż atrakcyjność psychologii w znacznym stopniu wynika z jej podobieństwa do chrześcijaństwa. Ponieważ zastosowała ona język chrześcijaństwa do własnych potrzeb, jest w stanie niezwykle skutecznie grać na chrześcijańskich uczuciach. Wydaje się, że dla wielu z nas psychologia to chrześcijaństwo „po okazji niskiej cenie”.

Na przykład jednym z problemów pojawiających się zarówno w chrześcijaństwie, jak i w psychologii jest pogląd, że nie powinniśmy się nawzajem osądzać. Nasz Pan powiedział: „nie sądźcie [innych] (...)” — przynajmniej temu wezwaniu społeczeństwo psychologiczne jest rzeczywiście wierne. Owa postawa nieosądzania innych, nadająca psychologii chrześcijański posmak, prawdopodobnie tłumaczy dzisiejszą skłonność do całkowitego porzucenia problemu grzechu. Zbytne zainteresowanie grzechem wydaje się nie do pogodzenia z nakazem nieosądzania innych.

PRAWDZIWY SENS SŁÓW „NIE SĄDŹCIE”

Słowa „nie sądźcie” oznaczają jednak, że nie mamy osądzać wewnętrznego stanu człowieka. Nie oznaczają one, że nie mamy osądzać jego postępowania. Kobiecie pochwyconej na cudzołóstwie Chrystus nie powiedział: „W porządku. W gruncie *rzeczy* nie zrobiłaś nic złego”. Powiedział jej: „Od tej chwili już nie grzesz”. W naszym społeczeństwie terapeutycznym o różnicy tej często się jednak zapomina. Zamiast pielęgnować postawę „nienawiści do grzechu i miłości do grzesznika”, nie jesteśmy już pewni, czy mamy jakiegokolwiek prawo nienawidzić grzech lub nawet tak go nazywać. Mało tego, chrześcijańskie zalecenia stały się niemalże swoim własnym zaprzeczeniem. Obecnie powstrzymujemy się od oceny czyjegoś postępowania, choć tracimy mnóstwo energii, próbując ocenić jego stany duchowe oraz motywy postępowania, co jest zadaniem należącym do Boga, nie do nas. Jednym z powodów, dla których nie powinniśmy wydawać sądów na temat subiektywnych stanów innych osób jest prawdopodobnie to, że po prostu nie jesteśmy do tego należycie przygotowani. Jest to dla nas zbyt skomplikowana materia.

Panowało niegdyś przekonanie, iż to wyłącznie do Boga, a nie do nas, należy drażnienie wewnętrznych labiryntów człowieka. Ogólnie rzecz biorąc, jesteśmy w stanie osądzić, czy Tommy Thompson ukradł pieniądze z szuflady. Możemy też pójść trochę dalej i wziąć pod uwagę frustrację pana Thompsona, wywołaną jego bezrobociem oraz brakiem perspektyw. Z tych powodów może obejdzimy się z nim trochę łagodniej. Jak daleko jednak mamy się jeszcze posunąć? Czy mamy wnikać w to, jak był wychowywany w dzieciństwie? Jakie oglądał programy telewizyjne? Jak bujną (lub upośledzoną) miał wyobraźnię? Jakie

symboliczne znaczenie mają w jego życiu szuflady z gotówką? Chesterton zauważył, że jest taki moment, kiedy zabieramy się do „obliczania nieobliczalnego”. W tym momencie nawet nasze prawidłowe kalkulacje stają się nie kalkulacjami, lecz zaklęciami i zwykłym bełkotem. Wykroczyliśmy poza zakres swych możliwości.

WEJŚCIE NA POKŁAD TONAĆCEGO STATKU

Jak już sugerowałem wcześniej, czasami chrześcijanie zaczynają postępować zgodnie z teoriami psychologicznymi, zanim jeszcze psychologowie skończą się nad nimi zastanawiać. Innym razem możemy, niestety, zauważyć jak wchodzi na statek dokładnie w tym momencie, gdy psychologowie szykują się do jego opuszczenia. Niektórzy najwybitniejsi psychologowie — Coles, Menninger, Bettelheim, Mowrer, Campbell oraz Gaylin — próbowali w ostatnich latach przywrócić pojęcia grzechu i winy. Inni przekonali się, że poczucie własnej wartości lub jego brak to zbyt płytkie pojęcie, by mogło być pomocne w analizie trudnej sytuacji, w jakiej znalazł się człowiek.

W tym samym czasie jednemu z czołowych chrześcijańskich kaznodziejów przyszła do głowy myśl, że przyczyną grzechu jest „negatywny wizerunek własny” oraz że sam grzech należy obecnie zdefiniować na nowo jako „jakikolwiek czyn lub myśl, która pozbawia mnie lub inną osobę poczucia własnej wartości”. Obecnie ten sam człowiek definiuje ponowne narodzenie w ten sposób, że „wizerunek własny musimy zmienić z negatywnego na pozytywny”.

Podobną tendencję daje się zauważyć w podręcznikach do religii, stosowanych w liberalnym Kościele katolickim oraz Kościele protestanckim. Po przeczytaniu ich odnosi się wrażenie, że chrześcijaństwo sprowadza się wyłącznie do miłości własnej. Rzadko kiedy mówi się o grzechu, a jeśli już się o nim mówi, to jest on najczęściej przedstawiany jako przeszkoda w osobistym rozwoju — coś, co utrudnia nasze samourzeczywistnienie. Często teksty, na których opieramy chrześcijańską edukację naszych dzieci, trudno odróżnić od tekstów przeznaczonych do zajęć z psychologii.

- Oczywiście, zwolennicy takich programów nauczania twierdzą, że psychologia pozostaje w zgodzie z Pismem świętym: że wszystko, co stworzył Bóg, jest dobre, że nie stworzył On byle czego, itd. Jest to, ma się rozumieć, selektywne odczytanie Pisma świętego. Księga Rodzaju nie odnotowuje żadnego dowodu świadczącego o tym, że po upadku człowieka Bóg spojrział i stwierdził, że on również był dobry.

W każdym razie faktyczny skutek owych programów jest taki, jakiego można było oczekiwać. Zmniejszają one świadomość grzechu, tak że nawet w Kościele katolickim, cieszącym się niegdyś czymś w rodzaju złej sławy z powodu kultywowania poczucia winy,

wiele dzieci nie widzi w pokucie żadnego sensu. I to nie dlatego, że bardziej im odpowiada protestancki zwyczaj wyznawania Bogu grzechów bez czyjegokolwiek pośrednictwa, lecz dlatego, że nie wiedzą, z czego miałyby się spowiadać. Jedyna znana im ewangelia to zasada bycia O.K.

Nie jestem pewien, dlaczego katolicy są pod tym względem tak silnie podatni na psychologizm. Może zbyt długo irytował ich zarzut, że są średniowieczni, więc teraz starają się to nadrobić, „będąc na czasie”. A może katoliccy chrześcijanie, których zawsze bardziej interesowało to, co można nazwać psychologią duszy, są w związku z tym pozytywnie nastawieni do metod proponowanych przez psychologię.

Tak czy owak, na lekcjach religii mówi się dzieciom bardzo niewiele na temat osobistych grzechów i indywidualnego sumienia, natomiast bardzo dużo na temat zbiorowej winy i społecznego sumienia. Najcięższe grzechy, te, które powinny budzić nasz niepokój, to grzechy całego społeczeństwa. Na to kładzie się dziś największy nacisk.

GRZECHY OSOBISTE

Bez wątpienia istnieje dziś potrzeba ujawnienia grzechów społeczeństwa. Może za mało na nie zwracano uwagę w niedawnej przeszłości. Jednak chrześcijańscy nauczyciele, którzy kładą nacisk na grzechy zbiorowe, kosztem nauczania o grzechach osobistych, z całą pewnością wyświadczyają złą przysługę swoim podopiecznym. Czy przypuszczają, że gdy zostaniemy wezwani na sąd. Bóg będzie nas wypytywać jedynie o nasze poglądy na temat pokoju i głodu na świecie? Nie będzie to trudny egzamin. Ilu z nas opowiada się za głodem lub przeciw pokojowi? Nic nas nie kosztuje szczere pragnienie, by zapanowała sprawiedliwość społeczna i by cierpieniom położono kres.

Niestety, obawiam się, że pytania będą o wiele bardziej osobiste i niepokojące. Będą one dotyczyć tamtej samotnej dziewczyny, którą wykorzystaliśmy, a o której już zdążyliśmy zapomnieć, lub chorego albo siedzącego w więzieniu krewnego, którego skrupulatnie unikaliśmy (pewnie dlatego, że byliśmy zbyt pochłonięci uczestnictwem w marszach pokojowych), lub też naszego skończonego tchórzostwa, kiedy to nie potrafiliśmy stanąć w obronie czyjegoś dobrego imienia. Przekonamy się wówczas, że nasze życie prywatne i nasze osobiste grzechy traktowane są w niebie z nieco większą powagą niż nasze stanowisko w kwestiach globalnych.

Wyobrażam sobie, że gdy nadejdzie ten czas, przekonamy się, że sprawy mają i miały się zupełnie inaczej. Psychoterapeutyczny nonsens oraz łatwe wymówki, którymi się dziś pocieszamy, ulotnią się, a nasze prawdziwe powołanie stanie się wyraźnie widoczne, takie, jakim byśmy je zawsze widzieli, gdyby nasza świadomość była naprawdę podwyższona. Nie

pomoże wówczas tłumaczenie, że jedynie stosowaliśmy się do najlepszych dostępnych porad psychologicznych. Nigdy nie były to porady, do których mieliśmy się stosować. Największą nadzieją dla nas będzie wówczas świadomość, że Syn Człowieczy przyszedł, aby zbawić grzeszników, oraz że miłosierdzie Boże jest równie wielkie jak Jego sprawiedliwość.

ROZDZIAŁ VII

O ponownym narodzeniu

Grzech pierworodny i szlachetny dzikus

Potrzeby duchowe psychologów

Psychologia ponownego narodzenia

Cele psychologii można by z grubsza streścić przy pomocy takich nagłówków, jak „przystosowanie się”, „radzenie sobie”, „harmonia”, „spełnienie”, „wiara w siebie”, „lepsze związki” itd. Szlachetne to cele, niezły azyl tak dla chrześcijan, jak i nie-chrześcijan. Nie należy ich jednak mylić z chrześcijańskim programem dla ludzkości — choć tak się, niestety, dość często dzieje. Idea chrześcijaństwa jest całkiem inna. Chodzi w niej nie o przystosowanie się, lecz o przemianę; nie o regulację, lecz o wymianę silnika na zupełnie nowy. Chrześcijaństwo głosi konieczność ponownego narodzenia. O to w nim, mówiąc najkrócej, chodzi. Jeśli potrafisz, osiągnij spełnienie, pełnię i harmonię, lecz niezależnie od tego czy ci się to uda, czy nie i tak będziesz musiał się ponownie narodzić.

DOWODY Z ZEWNĄTRZ

Gdyby to mówili jedynie chrześcijanie, problem wyglądałby następująco: „Chrześcijaństwo mówi to, a psychologia tamto. I komu tu wierzyć?” Poszukajmy zatem potwierdzenia gdzie indziej. Jeśli to, co chrześcijaństwo mówi o naturze ludzkiej, jest prawdą, to należało by się spodziewać, że dowody na to znajdziemy wśród nie-chrześcijan.

Faktem jest, że nie tylko chrześcijanie głoszą konieczność ponownego narodzenia. Tak samo myśli większość społeczeństw prymitywnych. Świadczą o tym ich rytuały. Widać to w rzeczach, które traktują z największą powagą; rzeczach, wokół których organizują obrzędy, i do których przygotowują się tygodniami i miesiącami. Bycie narodzonym raz — naturalne przyjscie na świat — najwidoczniej im nie wystarcza, gdyż ich rytuały inicjacyjne pełne są czynności i gestów symbolizujących odrodzenie się.

KROKODYLE, ŁAŻNIE PAROWE I BARANIE SKÓRY

Najczęściej spotykany rytuał inicjacyjny polega na tym, że młody człowiek biegnie przez tunel, utworzony przez dwa rzędy mężczyzn, którzy chłoszczą go witkami. Jeśli skoncentrujemy się na krwi, siniakach i „prymitywizmie” tego obrzędu, umknie nam najważniejsze: że narodziny to rzecz bolesna i krwawa. Nie można oczekiwać, że odrodzenie będzie banalnym incydentem niczym przymiarka u krawca. Wśród niektórych plemion Nowej Gwinei inicjacja polega na wczolgnięciu się w otwartą paszczę krokodyla i wyjściu jego drugim końcem. Śpieszę dodać, że jest to martwy krokodyl, z odciętym ogonem. Zostawia się w nim jednak tyle krwi i wnętrzości, by młody człowiek miał świadomość, że odbył niezwykłą przeprawę. Na Północnozachodnim Wybrzeżu (w USA) indiańscy chłopcy muszą w ramach obrzędu wejść do łaźni parowej i tak długo się w niej pocić, aż staną się na tyle gibcy, by móc się przecisnąć na zewnątrz przez mały otwór w ścianie. Plemiona w innych rejonach świata budują w buszu lub dżungli chaty inicjacyjne, w których osoby odbywające inicjację zamykane są na całe tygodnie lub miesiące niczym w łonie matki. Sądzę, że symbolika ta nie wymaga wyjaśnień.

Wszystko to ma może niewielki związek z chrześcijańskim zwyczajem chrztu, jednak tkwi w tym ten sam instynkt. Podobnie jest z wszystkim innym, włączywszy nawet przekonanie, że aby mieć w sobie prawdziwe życie, trzeba najpierw umrzeć dla samego siebie. Dlatego właśnie niektóre ludy grzebią wkraczających w dorosłość w płytkich grobach, przykrytych liśćmi. Dlatego też ludy Bantu obchodzą obrzęd zwany „ponownym narodzeniem”, polegający na tym, że przed ceremonią obrzezania chłopiec zostaje spowity przez ojca w barani żołądek, w którym następnie pozostaje przez trzy dni. Mircea Eliade, znany historyk religii, zwraca uwagę, że „U tego ludu zmarłych grzebie się w pozycji embrionalnej, spowitych w baranią skórę”.

Trzy dni. Jest to, rzecz jasna, interesujący zbieg okoliczności, do którego można się w rozmaity sposób ustosunkować. Możemy stwierdzić, że dowodzi to jedynie, iż chrześcijaństwo jest tylko jednym z fragmentów mitologii, jak wszystko inne. Wówczas jednak stajemy w obliczu faktu istnienia zdumiewającej ilości mitologii, która w całości zwrócona jest w tym samym kierunku. Coś, co stanowi niemal powszechne zjawisko, nie powinno być lekką ręką odkładane na bok. Wymaga to wyjaśnienia, a nie zlekceważenia.

Problem częściowo polega na tym, że wybraliśmy kilka niedawnych zjawisk,

występujących w „rozwiniętych” społeczeństwach i przyjęliśmy je za normę. Warto by raz na jakiś czas przyjrzeć się społeczeństwu psychologicznemu i zastanowić się, jak musimy wyglądać w oczach ludów Bantu. Jeśli chodzi o rytuały przemiany, to neutralny obserwator może zauważyć, że trzy dni spędzone w baraniej skórze wcale nie muszą być gorsze od siedmiu lat spędzonych w gabinecie psychiatry, z pewnością zaś są o wiele tańsze. I, jak powiada Huckleberry Finn, „wychodzi na to samo”. A może i lepiej. Pewni moi znajomi, misjonarze żyjący wśród ludów Bantu i innych okolicznych plemion, twierdzą, że ludzie ci są orzeźwiająco wolni od neuroz, które nękają Amerykanów i napełniają kieszeń psychologom.

MĄDROŚĆ PRYMITYWNA

A zatem nie tylko chrześcijanie pragną ponownego narodzenia. Kiedykolwiek spotykamy ludzi, którzy nie ulegli jeszcze wpływowi uczonych lub fachowców od reklamy, stwierdzamy, że w taki lub inny sposób wyrażają oni tę samą ideę powtórnego narodzenia.

Nikodemowi, który podobnie jak wszyscy faryzeusze był człowiekiem uczonym, pojęcie to sprawiało nie lada kłopot: „Jakże może się człowiek narodzić będąc starcem? Czyż może powtórnie wejść do łona swej matki i narodzić się?” (J 3,4) Odpowiedź człowieka prymitywnego na to pytanie jest zaskakująco podobna do odpowiedzi wczesnych chrześcijan. Choć może się to wydawać niemożliwe i niedorzeczne, należy to jednak robić, choćby w sposób symboliczny.

Nie chcę jednak, by rozumiano to tak, że oto chrześcijaństwo nie jest niczym nowym, a jedynie kolejną wersją starego tematu. Chrześcijaństwo oznacza dla świata coś zupełnie nowego: w gruncie *rzeczy* rewolucję. Ludzie sami potrafili dojść do tego, że z naturą ludzką coś jest nie tak, że jest ona tak wypaczona, iż wymaga nowego narodzenia; jednak nigdy nie potrafili dojść do całej prawdy, ani też w jaki sposób można tego dokonać. Wraz z pojawieniem się chrześcijaństwa ludzie dowiedzieli się, że przemiana, do której tęsknili od najdawniejszych czasów, jest w gruncie *rzeczy* możliwa do zrealizowania, nie tylko symbolicznie, lecz w rzeczywistości.

Chodzi mi o to, że to, co dało światu chrześcijaństwo, może było

nadprzyrodzone, jednak nie było czymś niezgodnym z naturą. To, co zaproponowało ono człowiekowi, było dopełnieniem jego natury, nie zaś czymś obcym. I niemal wszędzie, gdzie istniała możliwość wyboru, ludy pogańskie i prymitywne przyjmowały nowe chrześcijaństwo w miejsce swych dawnych wierzeń, ponieważ dawało im ono, i to w najdrobniejszym szczególe, wszystko to, czego domagała się ich własna natura. Jeśli z drugiej strony wielu uczonych uważa, iż chrześcijaństwo jest dla nas jakąś zawadą, to pewnie dlatego, że nie wsłuchują się już oni w głos swej natury, lecz tylko w odgłos różnych teorii i badań.

GRZECH PIERWORODNY I SZLACHETNY DZIKUS

Dlaczego ludy prymitywne odczuwają ową potrzebę odrodzenia? Ponieważ ludzie ci czują się nie ukończeni, niekompletni. Coś w ich obecnym życiu jest niezadowolające, wręcz podejrzane. Potrzebny jest im nowy początek. „Jakikolwiek jestem — pisał Chesterton — wiem, że nie jestem taki, jaki być powinienem”. Kiedy czytamy na temat religii ludów prymitywnych lub rozmawiamy z tymi, którzy je badali, stwierdzamy, że słowa te wyrażały dość powszechne odczucie. Eliade powiada, że człowiek prymitywny „chce być inny, niż jest”.

Dlaczego? Ponieważ w niemal wszystkich społeczeństwach napotykamy pogląd, będący odpowiednikiem chrześcijańskiej wiary w grzech pierworodny; przekonanie, że gdzieś na samym początku z ludźmi stało się coś bardzo niedobrego, w wyniku czego natura ludzka znalazła się na niższym poziomie niż w chwili jej pierwotnego stworzenia. Zanim doszło do owego upadku, człowiek żył w zgodzie zarówno z samym sobą, jak i z Bogiem lub bogami. Eliade nazywa to „Mitem Złotego Wieku” i przytacza dowody na jego istnienie w każdej niemal kulturze. Celem — lub przynajmniej jednym z celów — obrzędu inicjacji jest umrzeć dla własnego upadłego pogańskiego „ja” i narodzić się do nowego życia, w którym człowiek będzie mógł ponownie wejść w kontakt z *sacrum* i w ten sposób uczynić zadość swej prawdziwej naturze.

Można by to nazwać zabobonem, byłaby to całkiem uzasadniona reakcja. Jednak nieuzasadnione jest udawanie, że nic takiego nie istnieje. Obawiam się, że tak właśnie robi wielu ludzi, między innymi uczeni, którzy powinni mieć jednak

więcej rozumu w głowie. W osiemnastym wieku, kiedy o antropologii wiedzano bardzo niewiele, Europejczycy podniecali się pojęciem Szlachetnego Dzikusa. Wydawało im się, że ludy prymitywne, znajdując się bliżej stanu naturalnego, są wolne od winy i rozgoryczenia. Towarzyszył temu pogląd, iż człowiekowi prymitywnemu, w przeciwieństwie do jego europejskiego odpowiednika, z radością przychodzi robienie tego, co nasuwa się w sposób naturalny.

Pogląd ten wciąż jest niezwykle popularny, ale nigdzie chyba jego popularność nie była tak wielka, jak wśród psychologów ze szkoły humanistycznej, którzy bez przerwy namawiają nas do nawiązania kontaktu z naszym naturalnym „ja”. Zwykle oznacza to pozbycie się wszelkich zahamowań, ograniczeń oraz zakazów, i branie przykładu z tubylców w przepaskach, o których naiwnie się sądzi, że nie mają żadnych zahamowań lub zakazów. Zgodnie z tym poglądem, który można nazwać „Nowym Mitem Złotego Wieku”, ludy prymitywne, takie jak amerykańscy Indianie czy plemiona Nowej Gwinei, przedstawiane są jako wzory pełni i harmonii, ponieważ wiedzą one, jak żyć w zgodzie z naturą (to znaczy bez zahamowań); ponieważ nauczyły się akceptować siebie takimi, jakimi są.

Na podstawie tego, co właśnie widzieliśmy, można stwierdzić, że jest to mylny pogląd. Żaden prawdziwy „dzikus” nie wierzy w mit o Szlachetnym Dzikusie — a jeśli tak, to wierzy on, że wszystkie szlachetne dzikusy żyły dawno temu, w Złotym Wieku poprzedzającym Upadek, i pragnie stać się taki, jak oni. Życie zgodne z naturą — jeśli oznacza to jedynie zaakceptowanie swej ludzkiej kondycji w takiej postaci, w jakiej ją postrzegamy, a nie dążenie do ponownego narodzenia w wymiarze nadprzyrodzonym — nie jest czymś, co zainteresuje prawdziwego człowieka prymitywnego. Na pierwszy rzut oka zdaje się on przyjmować życie takim, jakie ono jest. Widzimy jednak, że gdy przychodzi czas inicjacji, nagle całkiem poważnieje. Nie próbuje go wówczas nakłaniać do tego, by zachowywał się w sposób, jaki wam się wydaje naturalny, i koniecznie przestrzegajcie wszystkich zakazów i ograniczeń; i błagam was, nie kręćcie się w pobliżu wydzielonych szałasów!

Człowiek prymitywny, podobnie jak chrześcijanin, sądzi, że z jego naturą coś jest nie w porządku. Dlatego w społeczeństwach prymitywnych, podobnie jak w przypadku chrześcijaństwa, da się zauważyć pragnienie odstawienia na bok starego „ja” i rozpoczęcia wszystkiego od nowa. Przechodzący inicjację często otrzymuje nowe imię dla zaznaczenia zarówno jego nowej tożsamości, jak i

śmierci jego dawnego „ja”. Jeśli zamiast tego powiemy mu, że potrzebne mu jest jedynie lepsze wyobrażenie o sobie, posłucha nas uważnie — w większości plemiennych społeczeństwach uprzejmość jest oznaką dojrzałości — lecz nie da wiary ani jednemu naszemu słowu.

„BÓG W BUTELCE”

Nie musimy wszak wybierać się na drugi koniec świata, by spotkać ludzi niezadowolonych z tego „ja”, z którym przyszli na świat; przechadzka po niektórych ulicach naszych miast pozwoli nam odkryć niezliczoną rzeszę niezadowolonych. Czasem aż strach ich oglądać — zbiegów, alkoholików, narkomanów, klientów sex-shopów — możemy się jednak wiele od nich nauczyć. Thoreau powiedział, że większość ludzi „żyje w cichej rozpacz”. Tutaj mamy do czynienia z głośniejszą rozpaczą. Czego ci ludzie tak rozpaczliwie pragną? Odpowiedź brzmi: transcendencji. Pragną oni uciec od czegoś: od nudy, monotonii dnia codziennego, frustracji, nieudanych związków lub samotności. I pragną gdzieś dojść, do czegoś potężnego, niezwykłego, podniecającego; słowem, czegoś, co wyzwoliłoby ich od codziennego życia.

Uroki stanu transcendencji są nieźle ukazane w powieści Thomasa Wolfe'a *Spójrz ku domowi aniele*. W pewnym miejscu autor pisze o tym, jak pierwszy raz był pijany.

Wiedział, że jest to wielka chwila w jego życiu. (...) Na całym świecie nie ma drugiego człowieka jak on, nikt nie potrafiłby się upić tak wzniosie, tak zachwycająco, tak wspaniale. To było większe i wspanialsze od wszystkiej muzyki, jaką słyszał w życiu; było tak wspaniałe jak najwspanialsza poezja. Dlaczego nikt mu o tym nie powiedział? Dlaczego nikt nie umiał tego opisać? Dlaczego — skoro można było kupić boga w butelce i wypić go, i samemu zostać bogiem — dlaczego ludzie nie są bezustannie pijani?

Transcendencja w wersji „zrób to sam” może jednak bardzo łatwo wymknąć się spod kontroli. Bóg w butelce okazuje się potężnym dżinnem z piekła rodem, obdarzonym własnym rozumem. Wkrótce eksperymentatora trzeba ratować, choć w rzeczywistości może mu na tym w ogóle nie zależeć. Lecz jak go ratować?

Czasami pytam moich studentów, z których wielu pragnie w przyszłości nieść ludziom pomoc, co zaproponują — dajmy na to alkoholikowi — w miejsce „boga w butelce”? Ich odpowiedzi zwykle nie wykraczają poza ramy wyznaczone przez psychologię: „przystosowanie się do społeczeństwa”, „radzenie sobie”, „lepsze wyobrażenie o sobie” itd. Wydaje mi się, że odpowiedzi te nie dotyczą istoty

sprawy. Skoro możemy mieć boga w butelce, a przez jakiś czas nawet samemu być bogiem, to dlaczego mielibyśmy zadowolić się czymś tak marnym, jak przystosowanie się czy radzenie sobie? Kiedy już zasmakujemy transcendencji, nawet tej złudnej, niełatwo potem zejść z powrotem na ziemię.

To samo można powiedzieć o doświadczaniu boga w strzykawce, boga w tabletkach LSD lub boga w rozwiązłym czy perwersyjnym seksie. Mogą one być szkodliwe zarówno dla ciała, jak i duszy, lecz dostarczają intensywnych przeżyć, które trudno znaleźć w życiu codziennym. Nie wyobrażajcie sobie (mówię moim studentom, przyszłym pracownikom opieki społecznej i psychologom), że wasza opieka i troska łatwo zastąpi wspólnotę z tymi bogami — nawet jeśli są to tylko bogowie pogańscy.

NOWE „JA”

Kiedy ci narkomani, alkoholicy i społeczni dewianci dochodzą w końcu do miejsca, w którym chcą zmiany, nie chodzi im o wyregulowanie lub dostosowanie swojego „ja”. Najczęściej pragną całkiem nowego „ja”. Swoje stare „ja” uważają za zbyt poważnie uszkodzone, by nadawało się do naprawy, chcą się go pozbyć. Ich życie wydaje im się nie do naprawienia, chcą mieć szansę spróbowania jeszcze raz.

W takich wypadkach psychologia na nic się nie zda, gdyż zajmuje się ona nie gruntowną przebudową, lecz drobnymi naprawami. Nie twierdzę, że nigdy nie będzie tym ludziom pomocna, bardziej skuteczna jest jednak taka zorganizowana wspólnota, która wymaga podporządkowania się, dyscypliny i wiary, a w zamian za to daje ponowną szansę na transcendencję. W ten sposób Czarnym Muzułmanom udało się wyciągnąć z opresji niejednego wykolejonego mieszkańca getta.

Podobnie Synanon, który wymagał całkowitego podporządkowania się woli jego charyzmatycznego przywódcy, Chucka Diedericka, okazał się o wiele bardziej skuteczny w leczeniu narkomanów niż programy rządowe oparte na modelach psychologicznych.

Jak pokazuje tragiczna historia Synanonu, wiążą się z tym, oczywiście, pewne niebezpieczeństwa. Chodzi jednak o to, że bardzo często jedyną rzeczą, która jest

lepsza od boga w butelce jest inny bóg; taki, który jest na tyle silny, by nas obdarzyć nowym „ja” — albo — Bóg. W Kościołach chrześcijańskich również są byli narkomani, byli przestępcy oraz były prostytutki; dotyczy to zwłaszcza bardziej wymagających form chrześcijaństwa.

Chrześcijanie uważają, że owi nieszczęśliwi ludzie jedynie w bardziej dramatyczny sposób ilustrują sytuację, w jakiej wszyscy się znajdujemy. Naprawdę, wszyscy musimy porzucić nasze dawne „ja”, ponieważ Bóg chce, abyśmy stali się nowym rodzajem ludzi. Istnieje nawet godna szacunku tradycja chrześcijańska, zgodna z którą owi wyrzuceni poza nawias oraz odmieńcy są, w pewnym sensie, większymi szczęśliwcami niż cała reszta. Wiedzą oni w jak złej sytuacji się znajdują, jak bardzo potrzebują nowego narodzenia. Dlatego nawet zasługującym na szacunek ludziom należy przypominać, że celnicy i grzesznicy wejdą do królestwa niebieskiego przed nimi. Jeśli chronią nas nasze codzienne obowiązki lub przyzwyczajenie do umiaru, albo dobre zdrowie psychiczne, łatwo możemy sobie wmówić, że wszystko nam idzie świetnie, i że jeśli czegokolwiek potrzebujemy, to co najwyżej nieco więcej samoświadomości lub odrobinę więcej integracji.

POTRZEBY DUCHOWE PSYCHOLOGÓW

Jeśli komuś się wydaje, że potrzebuje jedynie drobnego skorygowania kursu, może z pożytkiem skorzystać z tego, co ma do zaproponowania świat psychologii. Nie powinien być jednak zdziwiony, jeśli stwierdzi, że dla jego psychologa to jeszcze za mało. Wydaje się, że przystosowanie się do zwykłego życia to coś, na czym wielu psychologom zależy najmniej. Wręcz przeciwnie, w psychologii zawsze istniał nurt mistyczny.

Wątpię, by przeciętny człowiek zdawał sobie sprawę, jak głęboki i szeroki jest ten nurt, oraz że jest on związany z niektórymi najważniejszymi nazwiskami w dziedzinie psychologii. Na przykład Carl Jung umieścił swą teorię w samym środku ezoterycznej tradycji religijnej; Wilhelm Reich miał mesjanistyczne urojenia; Erich Fromm bardzo sobie upodobał myśl buddyjską; Abraham Maslow skupił się w swych późniejszych pismach na religii i przeżyciach ekstazy. Owa „religijna” tradycja, obecna w psychologii, kontynuowana jest przez niektórych najbardziej poważanych i wpływowych psychologów współczesnych. Próba

wyjścia poza to, co zwyczajne, zdaje się być obecnie głównym zajęciem zarówno Carla Rogersa, jak i Elisabeth Kuebler-Ross, twierdzących, że kontaktowali się z duchami zmarłych.

Prawda, że zjawisko to budzi u przedstawicieli niektórych działów psychologii zażenowanie. Jest ono jednak zbyt rozpowszechnione, aby środowisko psychologiczne mogło coś na to poradzić. Na ewentualnym procesie o herezję połowa kongregacji musiałaby zostać poddana ekskomunice. Można zatem, jak ja kiedyś, trafić na konferencję psychologiczną, której uczestnicy z pełną powagą rozprawiają o przepowiedaniu przyszłości z gwiazd, reinkarnacji, nierzeczywistości materii oraz o „transcendentnym duchu jedności”.

Kryjąca się za tym filozofia jest dość pogmatwana i amatorska. Lecz dowodzi ona jednego: sama w sobie, psychologia nie jest wystarczającą wizją. Oto eksperci, mogący korzystać z najbardziej skomplikowanych i racjonalnych analiz, jakie ma do zaoferowania psychologia, wolą uprawiać jogę i medytację oraz radzić się najróżniejszych mediów i guru. Narastający, „spirytualny” trend w psychologii może posłużyć jako kolejne potwierdzenie tezy, od której rozpocząłem ten rozdział. Stanowi on komplement pod adresem chrześcijaństwa, polegający na potwierdzeniu tego, co zawsze utrzymywali chrześcijanie: że musimy przedostać się na inny poziom.

PSYCHOLOGIA PONOWNEGO NARODZENIA

Nic dziwnego zatem, że prędzej czy później psychologia zaproponuje swą własną wersję ponownego narodzenia. Najlepszym tego przykładem jest grupa wspólnotowa, wraz z jej niezwykle twierdzeniem o możliwości zamiany starego życia na nowe, oraz obecnym w niej, równie niezwykle, emocjonalizmem. To tak, jak gdyby uczestników obozowego zebrania wypędzić z namiotu i usadzić w wyściełanych fotelach sali konferencyjnej, a kaznodzieję jednym ruchem ręki przeobrazić w lidera grupy.

W grupach wspólnotowych ludzie wyznają swoje grzechy, żyją w braterstwie, twierdzą, że czują działanie ducha, i idą nawracać innych na słuszną drogę. Oprócz grup wspólnotowych istnieją niezliczone poradniki, broszury i ogłoszenia obiecujące nowe życie, nową osobowość oraz psychologiczne odrodzenie. Atakują one mózg niczym uderzenia przybrzeżnych fal; mają też w sobie podobną siłę. W zetknięciu z tymi obietnicami umysły stają się podobne do kamyków

porywanych przez morską falę A umysł, niczym uparty entuzjasta *surfingu*, wraca, aby spróbować jeszcze raz.

Jedna rzecz, jak sądzę, wydaje się pewna: idea ponownego narodzenia, jeśli nadamy jej otoczkę psychologiczną, nabiera powagi, jakiej odmawia się wierze chrześcijańskiej. Społeczeństwo psychologiczne potrafi bezkarnie uwierzyć we wszystko, co zechce. Wyczuwając to, chrześcijanie dążą czasami do podobnego uwspółcześnienia metod prezentowania i praktykowania swej wiary. Lecz to, czy „duch” ożywiający te psychologiczne konwersje ma coś wspólnego z Duchem Świętym, pozostaje kwestią do dokładnego rozważenia przez chrześcijan. Niektórzy chrześcijanie zbyt szybko dopatrzili się podobieństw pomiędzy chrześcijaństwem a psychologią ponownego narodzenia, natomiast zbyt trudno im dostrzec istniejące pomiędzy nimi różnice, wskutek czego wiele form działalności duszpasterskiej przybiera typowy „wspólnotowy” charakter, a metody grupowe zaczęły zastępować obrzędy chrześcijańskie.

Na nieroztropnego chrześcijanina czyha tu wiele pułapek. Jedną z nich jest mylny pogląd, jakoby postęp duchowy był przede wszystkim kwestią trzymania się za ręce, obejmowania się i darzenia ludzi sympatią. Nie to miał na myśli Chrystus, każąc Nikodemowi ponownie się narodzić.

Nawet gdyby twierdzenia na rzecz radykalnej zmiany osobowości były prawdziwe, musimy pamiętać, że doświadczanie wspólnoty i tak jest niczym więcej niż tylko zbawieniem na sposób świecki. Nie wprowadza nas ono do królestwa niebieskiego. To samo dotyczy skromniejszych celów, stawianych sobie przez profesjonalną psychologię: przystosowania się, integracji osobowości, lepszego funkcjonowania. Owszem, nie ma w tych rzeczach nic złego. Możemy je osiągnąć, a w oczach Boga i tak będziemy w nie lepszej sytuacji niż pacjent szpitala psychiatrycznego, wydający z siebie bezsensowny bełkot.

ROZDZIAŁ VIII

Edukacja moralna

Kto ma rację?

Nowoczesne metody nauczania wartości

Chrześcijaństwo bez Chrystusa

Jednym z celów tej książki jest wyraźne oddzielenie chrześcijaństwa od jego psychologicznych imitacji. Zwykle imitację można bardzo łatwo wykryć poprzez porównanie jej z oryginałem. Możemy wówczas zobaczyć, że jest ona wykonana z tańszego materiału i nie tak solidnie zmontowana. Jeśli jednak nie mamy pod ręką oryginału, łatwo nam można wmówić, że imitacja nie jest czymś gorszym. Czasami chrześcijanie zapominają, o co w ogóle chodzi w chrześcijaństwie i zaczynają akceptować substytuty, które można wyprodukować niższym kosztem, i które zdają się spełniać te same funkcje, co oryginał.

Aktualnym tego przykładem jest korzystanie przez chrześcijan z kursów etyki, opracowanych przez psychologów świeckich. W Stanach Zjednoczonych i Kanadzie dwa najbardziej popularne kursy to metoda polegająca na „porządkowaniu wartości” oraz metoda polegająca na „rozważaniach moralnych”. Nauczyciele korzystający z tych kursów mają ułatwione zadanie dzięki istnieniu gotowych zestawów do nauczania, licznych materiałów stymulujących, oraz — rzecz jasna — dzięki stempelkowi psychologii naukowej.

Metody te zyskały ogromną popularność nie tylko w szkołach publicznych, lecz także chrześcijańskich. Wydaje się, że niektóre kursy religii proponują je jako pewniejszy przewodnik po moralności niż modlitwa lub Dziesięć Przykazań. Jednak inni chrześcijanie, wraz z konserwatywnymi żydami, skrytykowali owe kursy jako z natury antyreligijne.

KTO MA RACJĘ?

Pojawia się pytanie, kto ma rację: czy ci chrześcijanie, którzy gorliwie stosują nowe techniki, czy też ci, którzy równie gorliwie je odrzucają? Ci, którzy je odrzucają, narażają się na zarzut małostkowości. Skoro ktoś inny dąży do tego samego celu co my, po cóż mamy się kłócić o stosowane przez niego metody? Skoro człowiek obok nas robi co może, aby wybrać z łodzi wodę, dlaczego mamy go krytykować za to, że wylewają przez lewą, a nie przez prawą burtę?

W taki sposób, jak sędzę, rozumują ci chrześcijanie, którzy są zwolennikami nowych technik stosowanych w edukacji moralnej i przy porządkowaniu wartości. „Nie jest to może

doskonale — mówią — lecz przynajmniej podąża właściwym torem. Przynajmniej zmusza młodych ludzi do myślenia na temat wartości — a to jest przecież najważniejsze". Stanowisko to można by nazwać metodą koncentrującą się na morale opowieści. Twierdzi się, że twórcy nowych technik może nie wierzą w opowieść zawartą w Biblii, lecz gdy przyjrzymy się uważniej, stwierdzimy, że to, o co im chodzi, zawiera takie samo przesłanie moralne.

Stanowisko to mogę zilustrować na przykładzie kolegi, psychologa nie-chrześcijanina, który prowadzi warsztaty w zakresie technik porządkowania wartości. Lubi podkreślać, że on i ja dzielimy te same podstawowe wartości. Twierdzi, że nasze przekonania aż tak się nie różnią. Uważa siebie za niewierzącego chrześcijanina. Wierzy w sprawiedliwość, współczucie i miłość bliźniego, uznaje znaczenie wartości rodzinnych oraz indywidualnej odpowiedzialności. Jest bardzo tolerancyjny wobec chrześcijaństwa, ponieważ traktuje je jedynie jako inny wariant (choć nie taki, w którym by gustował) swego własnego planu ulepszenia świata.

Kiedyś jednak, wdawszy się w dyskusję ze mną oraz trzema innymi chrześcijanami, ku swemu rozgoryczeniu stwierdził, że nasze poglądy wcale nie były takie, jak sądził. Twarz jego poczerwieniała i pozostała taką przez resztę rozmowy. Nigdy przedtem nie widziałem, by czuł się tak nieswojo. Wyglądał jak ktoś, kto przyszedł na uroczysty obiad w sportowej marynarce i stwierdził, że wszyscy inni mają na sobie smokingi.

Lubimy zapominać jak bardzo chrześcijaństwo jest inne — jak zdecydowanie i niepokojąco się różni. Konsekwencje wynikające z zachowania owej różnicy wszędzie wywołują taki lęk, że ludzie po obu stronach chrześcijańskiego muru będą robić wszystko, by ją zatrzeć. Mój kolega zna oczywiście innych chrześcijan, lecz są to chrześcijanie, którzy koniecznie chcą pokazać, jak bardzo ich poglądy zgodne są z poglądami wszystkich naokoło. Nie wiedział chyba, co robi, przystępując do rozmowy z nami.

Uważał on (i nadal uważa), że można być chrześcijaninem i nie przejmować się zbytnio Chrystusem czy chrześcijańską opowieścią. To bardzo rozpowszechnione przekonanie. Wielu ludzi uważa, że istotą chrześcijaństwa jest jego przesłanie etyczne. Zgodnie z tą opinią, przesłanie to wyrażano pierwotnie w formie opowieści dostosowanych do możliwości poznawczych niepiśmiennych chłopów i rybaków. Najważniejszą rzeczą jest jednak zrozumienie zasady etycznej, moralu opowieści. Kiedy nam się to uda, sama opowieść nie jest już nam do niczego potrzebna. Opowieść to jedynie pudełko z kokardką, w którym wręcza się upominek. Wynika z tego, że dla człowieka naszych czasów owo przesłanie etyczne mogłoby znajdować się w zupełnie innym pudełku lub w ogóle być bez pudełka.

Wszystko to wydaje mi się dość przewrotne, lecz zanim powiem dlaczego, pozwólcie mi

sięgnąć do przeszłości.

TRADYCYJNE PODEJŚCIE DO MORALNOŚCI:

CZTERY REGUŁY

Podkreślałem już, że psychologia nawet w przybliżeniu nie rozumie natury ludzkiej tak dobrze, jak sądzi. Istnieje psychologia sięgająca głębiej, którą rozumieli kiedyś wszyscy, nie tylko chrześcijanie. Nie wymagała ona zawiłego teoretyzowania, ponieważ po prostu dla kolejnych pokoleń okazywała się prawdziwa. Tak jak stwierdziliśmy, że nie należy wbijać gwoźdźcia zbyt blisko krawędzi deski, bo w przeciwnym razie deska pęknie, i tak jak w północnych krajach nauczyliśmy się budować pochyle dachy, tak samo przekonaliśmy się, że człowiek powinien postępować tak, a nie inaczej, w przeciwnym bowiem razie rodzi to określone następstwa.

Weźmy problem edukacji moralnej. Nasi przodkowie, niezależnie od tego, czy byli chrześcijanami czy nie, wierzyli w cztery *rzeczy* dotyczące nauczania moralności:

1. Istnieje postępowanie właściwe i niewłaściwe.
2. Właściwego postępowania można się nauczyć drogą treningu.
3. Potrzebne są także moralne wzory do naśladowania.
4. Wzory te można odnaleźć w opowieściach przedstawiających czyjaś mądrość i odwagę.

Spójrzmy, co to oznacza. Po pierwsze, istnieje coś takiego, jak właściwe postępowanie. Czy możemy tego dowiedzieć? Niezupełnie. Nie da się udowodnić, że przyjaźń, lojalność, odwaga, uczciwość i sprawiedliwość są czymś lepszym niż zdrada, nielojalność, tchórzostwo, nieuczciwość i niesprawiedliwość. Lecz tak samo nie można udowodnić, że dach, który nie przecieka, jest lepszy od takiego, który przecieka. Ludzie z odrobiną zdrowego rozsądku nie próbują nawet tego udowadniać. Właściwie błędem jest dowodzenie czegoś, co jest oczywiste. Wyobraźmy sobie matkę, która za każdym razem kiedy jej dziecko skłama, próbuje w bezsensowny sposób przedstawić logiczne argumenty przeciwko nieuczciwości. Nieuczciwym nie wolno być z definicji, a nie dlatego, że tak nakazuje logika. Po prostu grzeczne dzieci nie kłamią.

Po drugie, właściwego postępowania nauczyliśmy się drogą treningu. Nie wystarczy przeczytać w książce, jak się gra w tenisa. Trzeba jeszcze ćwiczyć. Cnotę również trzeba ćwiczyć, dopóki nie stanie się ona nawykiem. Musimy ją mieć tak samo w „mięśniach”, jak i w umyśle. Dobrze jest mieć na podorędziu zbiór zasad moralnych; lecz jeśli nie jesteśmy przyzwyczajeni do stosowania ich w praktyce, to w razie trudnej próby moralnej nie na wiele

się one zdadzą. Kiedy taka próba nadchodzi, nie dzieje się to w idealnych okolicznościach. Kiedy jesteśmy zmęczeni, źli, gdy się boimy lub gdy pokusa jest zupełnie nie do odparcia, roztropniej jest polegać na naszym treningu niż na dobrych chęciach. Próba moralna, jak ją pojmowali nasi przodkowie, bardziej przypomina walkę fizyczną niż problem umysłowy. Jeśli właściwie nas wychowano, to reagujemy jak dobrze wyszkolony bokser, który, gdy jest zaatakowany, automatycznie blokuje cios przeciwnika i przystępuje do kontrataku. Bez treningu skończymy rozłożeni na łopatki. (Podobieństwo między tymi dwoma rodzajami treningu tłumaczy przy okazji, dlaczego tak często twierdzi się, iż uprawianie sportów ćwiczy charakter).

Po trzecie, oprócz treningu potrzebujemy wzorów do naśladowania. Trening to rzecz wymagająca. Potrzebne jest nam coś, co pozwoli nam wytrwać, coś, co dostarczy nam motywacji. Teoretycznie wiemy, że cnota sama w sobie jest nagrodą, oraz że powinniśmy postępować dobrze po prostu dlatego, że dobrze jest być dobrym. Wydaje się jednak, że potrzebujemy czegoś więcej. I znów trening sportowy dostarcza właściwej analogii. Ambitnej gimnastycze powinna wystarczyć świadomość, że ćwiczenia gimnastyczne same w sobie są warte wykonywania. Jeśli są dobrze wykonywane, są pełne naturalnego wdzięku i siły, którym niewiele innych czynności może dorównać. Gdy jednak zajrzemy do pokoju młodej gimnastyczki, cóż tam zobaczymy? Na ścianie wisi plakat przedstawiający mistrzynię olimpijską, w innym miejscu widać zdjęcia wycięte z czasopism, na biurku natomiast znajdują się teksty oraz inne wycinki na temat największych gwiazd świata gimnastyki. Kiedy mamy z kim się identyfikować, kogo podziwiać, kiedy istnieje ktoś, kto robi to samo, co my, z tym, że lepiej, znaczy to, że znaleźliśmy sobie coś, ku czemu możemy dążyć. Tak samo jest w przypadku ćwiczenia charakteru. Cnota sama w sobie jest nagrodą, jednak potrzebne nam są wzorce moralne, które sprawiają, że dążąc ku niej, będziemy ją uważali za wartą poświęcenia. Potrzebujemy kogoś, kto nam powie: „Oto, co robią dobrzy ludzie; oto, co robią bohaterowie”; a nawet: „Oto, co robią ludzie z pasją. Jeśli chcesz być taki, jak oni, postępuj jak oni”.

To prowadzi nas do punktu czwartego, a także tłumaczy dlaczego w czasach klasycznych i heroicznych podstawowym środkiem stosowanym w edukacji moralnej było opowiadanie historii. Zanim Grecy zaczęli uczyć się etyki od Arystotelesa, uczyli się jej z *Iliady* i *Odysei*. Występują tu i Achilles, i Odyseusz, i Hektor, i Penelopa. Tu postępują dobrze, tam źle. W taki właśnie sposób Grecy podchodzili do edukacji moralnej. Podobnie Rzymianie, Irlandczycy i Islandczycy. Później, gdy na świecie zapanowało chrześcijaństwo, to nie etyka chrześcijańska, lecz przypowieść zawarta w Ewangelii zawładnęła ludzkimi sercami. Jeszcze

później, ludzie uczyli się, jak należy postępować, słuchając żywotów świętych oraz opowieści o królu Arturze, Parsifalu i Galahadzie.

ŻYCIE TO OPOWIEŚĆ

Nasi przodkowie poszli jeszcze dalej. Opowieści to nie tylko dobra pomoc dydaktyczna. Także nasze życie jest najbardziej zrozumiałe, gdy potraktujemy je jak opowieść. Z pewnością taki wniosek można wysnuć na podstawie tych wszystkich fragmentów *Iliady*, w których wydaje się, że Achilles, Odyseusz i wszyscy inni nie są w stanie przedstawić się nieznanym inaczej, jak przypominając całą historię swojej rodziny. Nie do wyobrażenia tu jest, by jednostka mogła wszystko zawdzięczać samej sobie. Człowiek to coś więcej niż tylko indywidualne „ja”. Jest on częścią trwającej tradycji, opowieści rodzinnej lub plemiennej. Powiada on: „Jestem określony przez opowieść, której jestem częścią”. Jego rodowód to jednocześnie jego opowieść.

Dobrze uchwycił to J. R. R. Tolkien we *Władcy pierścieni*. Słyszymy tam, na przykład, jak Aragorn przedstawia się jako „Aragorn, syn Arathorna, następcy Isildura, syna Elendila z Gondor. Oto Miecz, który był złamany i został wykuty na nowo”. Każdy powinien znać opowieść o Mieczu oraz o Isildurze i Elendilu. Postacie z *Władcy pierścieni* żyją i oddychają opowieściami.

Popularność dzieła Tolkiena sugeruje, że my, współcześni, wciąż potrzebujemy opowieści. Ludzie czytają Tolkiena nie dlatego, że jest dla nich ucieczką — takich książek jest wiele — lecz dlatego, że zwraca się on ku najgłębszym ludzkim potrzebom. Tym, co do nas przemawia jest czyste człowieczeństwo postaci, nawet tych, które nie są ludźmi. One wiedzą jak żyć, my natomiast nie jesteśmy już tego tacy pewni. One są świadome opowieści, do których należą. My w ogóle nie jesteśmy pewni sensu naszego życia, ani jaką rolę mamy odegrać. Mimo to, wbrew sobie, wszyscy chcemy i musimy jakąś rolę odgrywać. Widać to w dziecięcych zabawach. Wiele z nich polega na wymyślaniu sztuk teatralnych, przydzielaniu ról i odgrywaniu ich. Widać to u osoby dorosłej, która odczuwa potrzebę przekonania siebie i innych, że praca, którą wykonuje, stanowi pożyteczny składnik szerszych dążeń. Nikt nie chce wziąć pod uwagę, że jego życie mogłoby być pozbawione sensu. Powodem, dla którego biografie wolimy od niemal wszystkich innych form literackich jest to, że dają one ludziom nadzieję na uczynienie ze swego życia czegoś na kształt opowieści.

Mam nadzieję, że to rozprawianie o opowieściach nie wydaje się wam wydumane.

Spróbujcie nadać sens swojemu życiu z jakiegokolwiek innej perspektywy, a przekonacie się, czy wam się to uda. Humanizm nie jest dobrą opowieścią, podobnie jak scjentyzm czy psychologia. Nie są one w stanie nadać sensu naszemu życiu. To znaczy, nie potrafią nam nic powiedzieć na temat celu naszego życia. Każdy z tych punktów widzenia zakłada, że wszystkich nas można zastąpić kimś innym. Zwróćmy natomiast uwagę, że kiedy już jakaś postać zostaje umieszczona w opowieści, jest ona nie do zastąpienia. Autor nie może włączyć jej do opowieści, a następnie porzucić, nie burząc w ten sposób narracji. Kiedy już jesteśmy w opowieści, stajemy się jej integralną częścią.

ROLA, KTÓRĄ ODGRYWAMY

Nie powinniśmy się jednak spodziewać, że na każdym etapie wędrówki będziemy w stanie dostrzec pełen sens naszego życia. To z kolei wcale nie oznacza, że życie jest sensu pozbawione. Coś, co przytrafiło się bohaterowi opowiadania na stronie 51. może nie mieć dla niego żadnego sensu, lecz my, czytelnicy, znając różne elementy i wątki opowiadania, pewien sens w tym wszystkim dostrzegamy. Weźmy na przykład thriller *Eye of the Needle* (Ucho igielne). Akcja powieści rozwija się w różnych kierunkach, przeskakując z jednego wątku na drugi. Oto nazistowski szpieg, który odkrył plany lądowania aliantów w Normandii; oto oficer brytyjskiego wywiadu, który stara się pokrzyżować *mu* plany; oto młode nieudane małżeństwo, wiodące pozornie bezsensowne życie na wyspie, położonej na Morzu Północnym. Widzimy jak różne nitki opowiadania najpierw powoli, a potem coraz szybciej schodzą się ku sobie. Widzimy, jaką rolę odgrywa każda postać. Lecz kobieta z wyspy do samego końca nie ma pojęcia, jakie znaczenie ma rola, którą odgrywa. Mało tego, prawie przez cały czas sądzi, że życie ma coraz mniejszy sens, i że coraz mniej się w nim dzieje. Mimo to, ostatecznie okazuje się, że jej rola była najważniejsza ze wszystkich. Historia jej życia przecina się z życiorysami milionów Europejczyków i Brytyjczyków.

Kiedy czytamy tego typu historię, mamy ochotę powiedzieć: „Gdybym tylko mógł odegrać podobnie ważną rolę, wówczas wszystko inne byłoby czegoś warte”. Ale kto powiedział, że tak nie jest? Jeśli jesteśmy dopiero na stronie 51., to nie możemy oczekiwać, że dostrzeżemy wszystkie nitki naszej opowieści. Nie możemy wiedzieć, co z niej wyniknie, ani w pełni zrozumieć, jaką rolę dotychczas w niej odgrywaliśmy. Może się okazać, że rola ta była decydująca.

Chrześcijaństwo mówi nam, że każdy z nas odgrywa niezastąpioną rolę w kosmicznym dramacie, w opowieści, której pewne nitki zbiegają się dopiero w wieczności. W takiej

opowieści wszystko, co robimy, ma nieskończone znaczenie. Lecz nawet nie-chrześcijanie oraz ludzie żyjący w czasach przedchrześcijańskich zawsze mieli owo poczucie, że życie kreśli pewną opowieść. Wszyscy oni wierzyli, że najlepszą zachętą do postępowania zgodnie z moralnymi nakazami jest owo przeświadczenie, iż stanowimy część opowieści, która rozpoczyna się przed nami i toczy się dalej po naszej śmierci, lecz możemy mieć wpływ na jej zakończenie.

Ważne jest zatem, byśmy swą rolę odgrywali jak trzeba. W zależności od sytuacji może tu chodzić o to, byśmy wywiązywali się ze swoich obowiązków, albo nie okazywali emocji, lub nie sprawiali zawodu innym. Jednak u podstaw tego wszystkiego tkwiło przekonanie o istnieniu pewnego trwającego procesu, na który wszystko to się składa. Aby nie było nieporozumień: edukacja moralna nie kończyła się na tym, lecz jej podstawy zasadały się na poglądzie, że aby być człowiekiem z charakterem, trzeba być postacią związaną z konkretną opowieścią.

Nie sądźmy jednak, że w świecie starożytnym stanowisko to było zawsze powodem do radości. Istnieją bowiem opowieści smutne i tragiczne, i świetnie zdawano sobie z tego sprawę. Właściwe postępowanie niczego jeszcze nie gwarantowało: los mógł w każdej chwili dać o sobie znać i odegrać w opowieści swoją rolę. Nawet to jednak wydawało się ludziom bardziej znośne niż pogląd, że życie nie jest jednym wielkim opowiadaniem.

Chociaż ja akurat wierzę, że takie wyobrażenie o naszym życiu jest zasadniczo słuszne, zwracam tu na nie uwagę jedynie jako na fakt psychologiczny. Oto co stwierdzamy, gdy wracamy do czasów, kiedy człowiek nie wyobcował się jeszcze ze swojej natury. Daje temu świadectwo potężny, uporczywy głos od Homera po Mallory'ego i czasy późniejsze. Jeśli go zlekceważymy, nasza psychika będzie zubożała.

NOWOCZESNE METODY NAUCZANIA WARTOŚCI

Współczesny świat sądzi, że stał się dorosły i nie potrzebuje opowieści. Kiedy ktoś dąży do niezależności, podobnie jak duża część naszego społeczeństwa, może mu się wydawać, że opowieści go tylko ograniczają i krępują. Własne „ja” wolimy traktować niejako „postać w opowieści”, lecz jako „postać na wolności”, zainteresowaną wyłącznie swym własnym rozwojem. Do takiego właśnie poglądu zachęcają nas nowe kursy etyki, stworzone przez psychologów.

Nie musimy sięgać do genezy tego ruchu. Wystarczy powiedzieć, że nowe rozwiązanie

zaproponowane przez psychologię wyszło od gwałtownego odwrócenia się od przeszłości. Choć uczniów miano zachęcać do myślenia o wartościach, postanowiono, że muszą oni mieć wolny wybór. Zakazano wszelkiej indoktrynacji, żaden system wartości nie miał być faworyzowany. Obowiązywała tolerancja w stosunku do innych punktów widzenia. Moralność, podobnie jak tyle innych *rzeczy*, miała stać się zależna od demokratycznego procesu podejmowania decyzji.

Jestem pewien, że podejście to jest wam znane. Przy porządkowaniu wartości stosuje się zwykle strategię, polegającą na tym, że ucznia prosi się, aby podane wartości uporządkował od najbardziej lubianych do najbardziej nielubianych. Chociaż istnieją rozmaite warianty tej metody, jest to i tak dość sporo. To osobiste preferencje ucznia decydują ostatecznie, co jest dobre, a co złe.

Metoda polegająca na rozważaniach moralnych jest bardziej wyszukana: chociaż nigdy nie da się powiedzieć, co jest dobre, a co złe, można sprawniej prowadzić rozważania moralne, by na końcu odkryć uniwersalne zasady etyczne. Ogólnie stosowaną techniką jest tutaj dyskusowanie dylematów moralnych: Czy wolno ukraść jedzenie, aby uratować swą głodującą żonę? Czy pasażerom tonącej łodzi ratunkowej wolno wyrzucić innych za burtę? Czy starsza siostra powinna kłamać, aby ukryć przed rodzicami nieposłuszeństwo swej młodszej siostry? Celem tego rodzaju dyskusji jest nakłonienie uczniów do wyostrenia swych osądów moralnych. Należy dodać, że prowadzącego te dyskusje obowiązuje neutralność: nauczyciel musi powstrzymać się od opowiadania się po którejkolwiek ze stron.

Podstawową rzeczą, którą tu należy odnotować jest brak tego, co nasi przodkowie uważali za najważniejsze w edukacji moralnej. Mianowicie brak sugestii, że wiadomo co jest dobre, a co złe, brak treningu rozwijającego cnoty moralne, brak wzorów do naśladowania, wreszcie brak opowieści. Chociaż zamierzam skoncentrować się wyłącznie na dwóch ostatnich spostrzeżeniach, warto może wymienić kilka wstępnych zarzutów.

ZARZUTY W STOSUNKU DO NOWYCH METOD

1. Tradycyjna moralność od samego początku znajduje się na straconej pozycji. Podstawowe zasady, ustanowione przez nauczających etyki, wymagają od nas wstrzymania się od wydawania sądów moralnych. Jeśli akurat wierzymy w istnienie różnicy pomiędzy dobrem a złem, przekonanie to musimy pozostawić za drzwiami. Jest to równoznaczne ze stwierdzeniem: „Uznajcie naszą główną przesłankę, a potem możemy zacząć dyskutować”. Chociaż wszystko to podane jest w otoczce górnolotnych stwierdzeń na temat bezstronności,

w rzeczywistości wygląda to tak, jak gdyby zaproszono nas na ring bokserski zjedną ręką związaną z tyłu.

2. Postawa polegająca na wstrzymaniu się od wydawania sądów moralnych niweczy rezultaty ewentualnego treningu charakteru. Wychowanie moralne to po części *education sentimentale*. Trening obejmuje zarówno serce, jak i umysł, tak aby prawy człowiek nie tylko nauczył się odróżniania dobra od zła, ale i umiał kochać to pierwsze i nienawidzić to drugie. Pogląd, że wszystko można poddać dyskusji oraz że w sali lekcyjnej jest dosyć miejsca dla wszystkich wartości, to subtelna forma tresury, która pozbawia nas wrodzonego wstrętu do zła lub skompromitowanych wartości. Bezstronne, beznamienne dyskusje powodują erozję uczuć moralnych i przyzwyczajają uczniów do poglądu, jakoby kwestie natury moralnej były problemami intelektualnymi, a nie problemami ludzkimi, które powinny budzić silne emocje. Właściwą reakcją wobec gościa, który usiłuje uwieść żonę gospodarza jest pokazanie mu drzwi, nie zaś toczenie z nim dyskusji na temat korzyści, jakie daje uwodzenie kobiet.

3. Skoncentrowanie się na dylematach moralnych to stawianie wszystkiego na głowie. Zanim uczniowie zaczną rozważać zastrzeżenia, wyjątki i subtelności związane z różnymi trudnymi przypadkami, z którymi rzadko kiedy lub nawet nigdy nie będą mieli do czynienia, muszą oni wykształcić w sobie cechy, które pozwolą im właściwie postępować w sytuacjach oczywistych, z którymi stykają się na co dzień. Jeśli planujemy przejażdżkę łodzią po jeziorze, bardziej nam się przyda kurs wioślarski niż kurs astronawigacji. Wielkie niebezpieczeństwo, jakie się wiąże ze stosowaniem w edukacji moralnej metody otwartej, polega na tym, że uczniowie mogą odnieść wrażenie, iż moralność nie jest czymś stałym i oczywistym, lecz serią dylematów, do których można stosować niezliczone interpretacje i zastrzeżenia. Stąd już oczywiście mały krok do znalezienia stosownych warunków i zastrzeżeń, pozwalających na zapewnienie sobie spokoju sumienia we wszelkich okolicznościach.

4. W innych istotnych sprawach nie czekamy aż dziecko dokona swobodnego wyboru, tylko sami wyrabiamy w nim dobre nawyki. Czemu więc mielibyśmy postępować inaczej w kwestiach moralnych, które są przecież o wiele bardziej istotne niż nauczenie się mycia zębów lub zapinania płaszcza? Zdumielibyśmy się na widok matki, która pozwala dziecku samodzielnie przekonać się o tym, że zabawa na ulicy jest niebezpieczna. Czy przynajmniej nie tak samo powinni nas dziwić nauczyciele, którzy pozwalają dzieciom kształtować swą własną moralność? Metody tej nie spotyka się w żadnej innej dziedzinie kształcenia. Na przykład dobry nauczyciel fizyki może czasami zastosować metodę samodzielnego dochodzenia do prawdy, lecz nigdy nie każe uczniom samemu odkrywać tego, co odkryli

Galileusz, Newton czy Einstein. Są prawa fizyczne, chemiczne i matematyczne, których każdy sumienny nauczyciel będzie chciał nauczyć, i nie będzie zdawał się w tej sprawie na zwykły przypadek.

5. Znać dobro to niekoniecznie to samo, co czynić dobro. Naiwne jest przypuszczenie, że kiedy już wyjaśnimy sens danej wartości lub dokonamy właściwego osądu moralnego, to odtąd będziemy już zgodnie z tym postępować. W dziedzinie moralności najtrudniejsze jest faktyczne postępowanie zgodnie z tym, co uważamy za słuszne. Rozsądne byłoby postawienie pytania: dlaczego dotychczas nie zauważyli tego współcześni nauczyciele etyki? Są na to dwie odpowiedzi. Z jednej strony, głęboko wierzą oni w edukację; z drugiej natomiast, mają ogromne zaufanie do natury ludzkiej. Ogólnie rzecz biorąc, są oni zwolennikami teorii, iż nie ma czegoś takiego, jak zły chłopiec — jest tylko ignorant. Dlatego cały ich wysiłek zmierza ku temu, by nakłonić owego chłopca do samodzielnego myślenia — a więc do czegoś, czego dotąd zapewne nigdy nie robił. To taki sam sposób myślenia jak przypuszczenie, że poznanie zasad ruchu drogowego zapobiegnie wypadkom, że edukacja antyalkoholowa zapobiegnie pijaństwu, a edukacja seksualna — chorobom wenerycznym. Tymczasem tak nie jest. Podobnie współczesna edukacja moralna nie zapobiega niemoralności. Kłopot z człowiekiem nie polega jedynie na braku edukacji.

A teraz powróćmy do opowieści.

MORAŁ OPOWIEŚCI: *ŻYŁKA BEZ HACZYKA*

Obiecałem zająć się bardziej szczegółowo przekonaniem, że jeśli tylko znamy morał opowieści, to sama opowieść nie jest nam w ogóle potrzebna. Jest to przekonanie wyrażane przez wielu chrześcijan, którzy popierają programy nauczania opracowane przez psychologów, i jemu właśnie chciałbym teraz poświęcić kilka uwag. Pogląd ten jest tak samo chybiony, jak posługiwanie się żyłką wędkarską bez haczyka. Nie uchwycimy istoty żyłki wędkarskiej, jeśli usuniemy z jej końca, nie mający z nią związku, haczyk. Jeśli tak zrobimy, pozbawimy ją „zaczeput”. Podobnie jeśli rezygnujemy z opowieści, rezygnujemy też z motywacji do czynienia dobra. Zasada moralna została pozbawiona „zaczeput”.

Nie wystarczy zrozumieć dylematu moralnego — trzeba się nim również przejąć. Tymczasem jedną ze szczególnych cech metody, polegającej na rozpatrywaniu dylematów moralnych jest to, że nie jest ona w stanie sprawić, byśmy się choć trochę nimi przejęli. Postacie występujące w tego rodzaju sytuacjach są jakby atrapami. Interesują nas nie one, lecz ich przypadek. Sytuacje te są pewnego rodzaju opowieściami, lecz są to opowieści „w proszku”. W ogóle nie ma w nich soku. Trudno sobie wyobrazić, by rodzice opowiadali

swoim dzieciom *Sagę o głodującej żonie i ukradzionym jedzeniu*. Dylemat — a tym bardziej neutralna dyskusja na temat wartości moralnych — nie potrafi dostarczyć wzoru moralnego, który moglibyśmy naśladować. Być może młody człowiek zdoła wyprowadzić z dyskusji nad tymi przypadkami pewne obowiązujące zasady moralne, lecz zasada to znacznie mniej niż połowa moralnego równania.

Sprawdźcie to sami. Przypomnijcie sobie jakąś trudną moralnie sytuację, w której zachowaliście się jak należy. Od razu się przekonacie, że w większości wypadków najtrudniejsze jest nie to, by wiedzieć, co jest słuszne, lecz to, by słusznie postąpić. Po drugie, nie zadaliście sobie pytania: „Jaka zasada ma tu zastosowanie?”, lecz raczej: „Co by inni o mnie pomyśleli, gdyby dowiedzieli się, jak postąpiłem? Co by pomyśleli moi rodzice? Moja żona? Moje dzieci? Moi znajomi?”

Prawie automatycznie zobaczyliście siebie w roli aktorów dramatu.

Ważne stało się pytanie; „Czy dobrze odegram swoją rolę, czy też mi się to nie uda?” Wiem, że to, co każe mi postępować, tak jak powinienem, działa w ten właśnie sposób. Zasady etyczne? Owszem, przeczytałem, co mi kazano. Stwierdziłem jednak, że gdy przychodzi co do czego, to niemal wszystko inne — wspomnienie o przyjaciółach lub rodzinie, przywołanie jakiejś historii lub filmu, zwyczajne poczucie obowiązku — jest silniejsze. Zdaję sobie sprawę, że istnieją osoby niezwykle zasadnicze, które —jak się wydaje — potrafią się kierować samymi zasadami. Chwała im za to. Nie sądzę jednak, by większość ludzi funkcjonowała w ten sposób. Wiem, że w moim przypadku tak nie jest. Posłużmy się konkretnym przykładem.

PRZYPOWIEŚĆ O NAGIM CZŁOWIEKU I ŁOMIE

Pewnej bardzo mroźnej nocy, w ciemnej ulicy, pojawił się w świetle moich reflektorów nagi człowiek. Miał na sobie jedynie górę od piżamy i gorączkowo machał rękami, bym przystanął. Zadziwiające, jak wiele myśli może nam przemknąć przez głowę w ciągu kilku sekund. Pierwsza myśl była taka, żeby się nie zatrzymać. Miałem już za sobą zły dzień. Poza tym, o cokolwiek chodziło, nie było to moje zmartwienie. Niech ktoś inny się zatrzyma. Mało tego, wyglądało to na potencjalnie niebezpieczną sytuację. Mężczyzna mógł być szalony. Jeślibym się zatrzymał, mogło by mi się coś stać. Gdyby mi się stało coś poważnego, jaki pożytek mieliby ze mnie ci, którzy są ode mnie zależni? A jakże, zdawałem sobie sprawę, że wchodzi tu w grę zasady etyki. I nie miałem wątpliwości, że taki lub inny nakaz moralny wymagał, bym się zatrzymał, bądź zrobił cokolwiek w tej sprawie. Wówczas jednak mój głowę zaczął błyskawicznie wyszukiwać różnych zastrzeżeń, luk i wyjątków dotyczących

jakiegokolwiek zasady moralnej, mogącej tu mieć zastosowanie. Mógłbym się potem czuć przez jakiś czas nie w porządku, jednak wiem, że można sobie z tym jakoś poradzić. Niech się tym zajmie policja.

Nagle, nie wiadomo dlaczego, przemknęło mi przez głowę zdanie z jakiejś opowieści: „Byłem nagi, a przyodzialiście mnie”. Nic poza tym. Tylko: „Byłem nagi, a przyodzialiście mnie”.

Zatrzymałem samochód.

Jak się okazało, mężczyznę obudził współlokator, który wpadł w szał i zaczął przy pomocy łomu demolować meble. Kiedy szalencie rzucił się na niego, ten nie marnował czasu, by zatroszczyć się o swą godność, tylko ratował się ucieczką. Po wysłuchaniu jego pospiesznych wyjaśnień, szybko znalazłem dla niego w samochodzie koc i popędziliśmy do pobliskiego posterunku policji. Chodzi mi tu tylko o jedno: nie zatrzymałem się kierowany jakąkolwiek zasadą. Zatrzymałem się, ponieważ bohater pewnej opowieści, w którą wierzę, powiedział pewnego razu: „Byłem nagi, a przyodzialiście mnie”. Zatrzymałem się, ponieważ On by się zatrzymał, i ci z nas, którzy wierzą w tę opowieść, bardzo chcą Go naśladować, nawet jeśli nasze naśladownictwo jest dalekie od doskonałości.

Zwróćcie uwagę, że opowieść zawarta w Ewangelii nie mówi: „Byłem nagi, a przyodzialiście mnie, ponieważ wszyscy są obdarzeni godnością ludzką” ani: „Byłem nagi, a przyodzialiście mnie, ponieważ tego wymaga sprawiedliwość”; jedynie: „Byłem nagi, a przyodzialiście mnie”. Kropka. Zrób tak, ponieważ tego oczekuje się od tych, którzy chcą odegrać swą rolę w chrześcijańskiej opowieści.

Główną przyczyną — trudną do pojęcia przez kogoś, kto nie jest chrześcijaninem — niemożności wyodrębnienia z chrześcijaństwa zasad etycznych i ich samodzielnego funkcjonowania jest fakt, że chrześcijaństwo nie jest systemem etycznym. Chrześcijaństwo nie ma być receptą na dobre zachowanie, choć jest to jednym z jego produktów ubocznych. Chrześcijaństwo to opowieść. Chrześcijanie wierzą, że jest to opowieść prawdziwa, lecz mimo wszystko — opowieść.

CHRZEŚCIJAŃSTWO BEZ CHRYSYUSA?

Kiedy to dostrzeżemy, zaczniemy rozumieć dlaczego nie ma sensu mówienie o przestrzeganiu chrześcijańskiej etyki i jednoczesnym ignorowaniu Chrystusa. Opowieść ta mówi głównie o Chrystusie: o tym, kim jest i co zrobił. Bez Niego nie ma ona sensu, tak jak — za przeproszeniem — opowieść o Moby Dicku nie ma sensu bez pełnej determinacji osobowości

kapitana Ahaba. Wiele rzeczy czynionych przez chrześcijan — dobre uczynki, poświęcenia, umartwianie się — nie wynika z kierowania się etycznymi lub przyziemnymi pobudkami. Chrześcijanie czynią tak, ponieważ chcą naśladować Chrystusa.

Nie można oddzielić przesłania Chrystusa od osoby Chrystusa i zwyczajnie udawać, że Jego słowa można przypisać każdemu innemu człowiekowi. Jak by to brzmiało, gdyby inny człowiek, nawet ktoś wielki, miał o sobie mówić w taki sam sposób, jak czynił to Chrystus? Jak by to zabrzmiało, gdyby Winston Churchill powiedział: „Ja jestem zmartwychwstaniem i życiem”? Albo gdyby Jerzy Waszyngton powiedział: „Zanim Abraham stał się, JA JESTEM”?

To nie jest ich opowieść. Słowa te należą tylko do jednej Osoby.

KILKA DODATKOWYCH UWAG

Nie poruszyliśmy jeszcze jednej czy dwóch kwestii. Wracając do sytuacji, w której się znalazłem, przypuśćmy, że zatrzymujemy samochód i okazuje się, że wspomniany łom przeznaczony jest dla nas? Co będziemy o tym sądzić — pod warunkiem, że nasz mózg będzie się jeszcze nadawał do myślenia? Odpowiedź jest taka, że moralność nie wyklucza roztropności, czyli rozsądnej oceny sytuacji. Tak brzmi pierwsza odpowiedź. Druga natomiast, że zarówno w opowieściach, jak i w życiu człowieka zdarzają się tragiczne sytuacje. Moralne postępowanie nie jest gwarancją pożądanego rezultatu. Faktem jest, że często zwyczajnie nie wiemy, jakie będą następstwa naszego postępowania. Widzimy tylko oczywiste obowiązki wobec sąsiada, znajomego czy rodziny. Naszym zadaniem jest wiernie i jak najlepiej odgrywać swą rolę, nie zaś przewidywać przyszłość.

Jeśli budzi to nasz sprzeciw, to dlatego, że chcielibyśmy, aby moralność bardziej przypominała jakąś dziedzinę nauki niż opowieść. Szukamy jakiegoś uniwersalnego punktu widzenia, oderwanego od wszelkich konkretnych opowieści; miejsca, z którego moglibyśmy ferować niezależne wyroki w różnych sprawach. Chcielibyśmy móc przewidzieć wszystkie konsekwencje i rezultaty. Postawa ta nie jest jednak zbyt mądra. Nikt z nas nie dysponuje aż tak dogodnym punktem obserwacyjnym.

Druga rzecz, którą należy odnotować to pewna prawidłowość, że im bardziej abstrakcyjna jest nasza etyka, tym mniejszą jest ona dla nas siłą napędową. Jeśli rzeczywiście postępujemy przyzwoicie, należy to tłumaczyć wpływem osobistych miłości i lojalności — takich, które tworzą dobrą opowieść — lub wpływem konkretnej opowieści, do której czujemy przywiązanie. Jeśli zastąpimy to obojętną i neutralną miłością do całej ludzkości, uczynimy

człowieka gorszym, nie lepszym. Ludzie żyjący jedynie zasadami, znani są z tego, że składają lojalność, a nawet ludzkie życie, na ołtarzu „ludzkości” czy „braterstwa”. Zanim kogoś źle potraktujemy, przypomnijmy sobie, że człowiek ten, podobnie jak my, jest czyimś bratem, ojcem lub synem, a nie zastanawiajmy się nad jego podstawowymi prawami człowieka. Lub — patrząc z chrześcijańskiego punktu widzenia — przypomnijmy sobie, że Chrystus umarł także za niego.

O naszą uwagę zabiegają obecnie trzy metody edukacji moralnej: metoda polegająca na porządkowaniu wartości, metoda oparta na rozważaniach moralnych oraz metoda tradycyjna. Pierwsza to moralność oparta na osobistych preferencjach — „to, co lubię, jest słuszne” — zatem nie jest to żadna moralność. Druga to moralność opierająca się na regułach i rozważaniach. Ma ona swoje zalety, jednak odwraca naszą uwagę od prawdziwej sfery moralności. Trzecia to moralność opierająca się na postaciach. Przedstawia ona dobrych ludzi, których powinniśmy naśladować; dostarcza nam opowieści, którymi powinniśmy żyć. Twierdzę, że ostatnia z nich jest najlepsza, ponieważ bardziej przypomina życie. Życie jest wypełnione treścią, bogate i skomplikowane niczym opowieść, nie zaś abstrakcyjne i uporządkowane jak teoria. To, co przeżywamy — wielkie radości, głębokie smutki, wzbierające namiętności — za bardzo przypomina dramat, by można to wyrazić w formie prostszej niż dramat. Czasami może się wydawać, że zbytnio przypomina ono opowieść: zbyt wiele w nim niepewności, zbyt wiele trudnego do zniesienia tragizmu. Myślę, że w takich chwilach wolelibyśmy, aby zamiast opowieści Bóg dał nam coś bardziej przypominającego lunapark, w którym moglibyśmy mieszkać. Mielibyśmy wówczas złudzenie przygody — czegoś emocjonującego i ryzykownego — bez towarzyszącego jej niebezpieczeństwa. Potrzebne nam jest miejsce, gdzie zagrożenia nie są prawdziwe, coś w rodzaju Gabinetu Strachu. Wątpię jednak, by zadowalały nas wszystkie tego następstwa.

Na tym trzeba już poprzestać. Argumentacja leży w sferze wyobraźni, a nie logiki. Należy zdać sobie sprawę, że również cnota w dużej mierze mieści się w sferze wyobraźni. Jeśli nie działa nasza wyobraźnia moralna, to nad pozostałymi sprawnościami moralnymi — wolą, uczuciem i rozsądkiem — górę biorą strach, lenistwo i dbałość o własny interes. Wielki błąd współczesnej psychologii polega na tym, że ignoruje ona ten oczywisty fakt, a jednocześnie zabawia się porządkowaniem wartości oraz ćwiczeniami wyrabiającymi umiejętność podejmowania decyzji. Dlatego uważam, że nasi przodkowie, zarówno chrześcijanie jak i niechrześcijanie, byli lepszymi psychologami. Wiedzieli oni, że należy uruchomić wyobraźnię, wiedzieli także, jak to zrobić.

WYRAZISTA TOŻSAMOŚĆ

Końcowa uwaga. Opowieści dają nam wyrazistą tożsamość i, częściowo z tego właśnie powodu, znajdujemy się pod stałym naciskiem z zewnątrz, abyśmy je zapomnieli. Wielką pokusą dla społeczności posiadającej swą opowieść jest stopienie się ze światem i przyjęcie jego opowieści, która zwykle mówi o tym, że nie ma żadnej opowieści, jedynie postęp, fakty naukowe lub ewolucyjna konieczność.

Opowieści pozwalają nam spojrzeć na resztę świata z dystansu i osądzić jego racje. Bez nich tracimy tę zdolność; zamiast poddać owe racje ocenie, akceptujemy je. W chwili, gdy piszę te słowa, dzienniki pełne są doniesień na temat zwycięstwa Brytyjczyków na Falklandach, niedaleko wybrzeża Argentyny. Dla Argentyńczyków przegrana była wielkim szokiem, ponieważ kontrolowana przez rząd prasa wpoila im przekonanie, że wygrywają tę wojnę. Większość Argentyńczyków nie miała możliwości zweryfikowania lub zakwestionowania oficjalnej wersji wydarzeń. To, co można zrobić z informacjami prasowymi, można także zrobić z opowieściami o życiu. Może być tak, że pozostanie nam tylko jedna wersja *rzeczywistości*. Ważne jest zatem, by społeczność posiadająca swą opowieść podtrzymywała ją w pamięci, ponieważ nowoczesne społeczeństwa, wbrew swym twierdzeniom, posiadają zwykle jakąś opowieść, którą koniecznie chcą nam narzucić — marksizm, humanizm lub konsumpcyjny hedonizm.

Stanley Hauerwas, filozof, któremu zawdzięczam zrozumienie tego problemu, zauważył, że „aby nauczyć się stawiać opór państwu potrzebna jest jedynie alternatywna opowieść oraz społeczeństwo, które dla własnego «ja» może być domem”. Z pewnością znajduje to potwierdzenie w dzisiejszej Polsce, gdzie opór wobec państwa komunistycznego jest możliwy właśnie dzięki temu, że społeczeństwo polskie nie zapomniało, do której opowieści należy.

Jak się jednak przekonamy, istnieją bardziej subtelne sposoby zwalczania naszych przekonań niż tylko zbrojna okupacja.

ROZDZIAŁ IX

Ponura nauka: Rok 1984 i co dalej?

Wymazywanie pamięci

Świat zredukowany

Pamiętać, gdzie jest dom

Opowiadanie *Srebrne krzesło* C. S. Lewisa zawiera następującą scenę: Pięknej czarownicy, królowej Podziemia niemal udaje się przekonać dzieci z Nadziemia, że jej dość ponure królestwo jest jedyną istniejącą rzeczywistością, natomiast ich świat to tylko wytwór wyobraźni. Przebiegłość, z jaką używa słów, działa na ich pamięć niczym narkotyk.

Dzieci mają niewyraźne przeczucie, że istnieje coś bardzo ważnego, o czym muszą pamiętać. Rzeczywiście, jest coś takiego. Zostały wysłane z zadaniem przez Aslana, wielkiego Króla Narnii. Teraz jednak mają w głowie jedynie dźwięki mandoliny — *brzdęk--brzdęk--brzdęk* — na której grała Królowa, oraz jej usypiający głos. „Słońce? Nie ma żadnego słońca. Widzieliście moje lampy i wyobraziliście sobie, że istnieje słońce”. Oto jej subtelna, a mimo to przekonująca sugestia.

Wcześniej Aslan kazał dzieciom zapamiętać i kilka razy powtórzyć cztery znaki, ostrzegając je jednocześnie: „A Znaki, których cię tu nauczyłem, wcale nie będą wyglądały tak, jak się tego spodziewasz. Właśnie dlatego jest tak ważne, aby je dobrze pamiętać i nie sądzić po pozorach”. W owej chwili jednak dzieci zapomniały i o znakach, i o samym Aslanie. Pozory stały się dla nich wszystkim. Królowa jest przecież niezwykle piękna.

Lewis podejmuje tu pradawny temat, którym jest znaczenie pamięci oraz kłopoty z nią. Wiemy, że podobny problem miał Odyseusz. Powinien wracać do swej ojczyzny, do żony i syna. Jednak wszystko sprzysięgło się, by o tym zapomniał. Pamięć Odysa i jego ludzi jest co jakiś czas poddawana próbie: na wyspie Lotofagów, gdzie ci, którzy zjedli „miodny owoc ... woleli zostać u Lotofagów... i zapomnieć o powrocie”; na zaczarowanej wyspie Kirke, gdzie spędzili cały rok; w pobliżu Syren, których czarujący głos każe zapomnieć o domu, żonie i dzieciach; wreszcie u pięknej Kalipso.

Eneasz, bohater epeji Wergiliusza, cierpi na podobną skłonność do niemal całkowitego zapomnienia o tym, co najważniejsze. Dopiero bogowie muszą mu przypomnieć, że jego misją jest założenie nowego miasta w Italii, nie w Kartaginie. Mimo to, Eneasz jest bohaterem, ponieważ koniec końców nie zapomina. Jego podstawowa cnota polega na tym, że

pamiętał, aby pozostać wiernym swojej zrujnowanej ojczyźnie.

We wszystkich niemal epopejach oraz wielu baśniach występuje motyw podróży, w trakcie której trzeba coś zachować w pamięci. Istnieją też opowieści, które należy wiernie przekazać innym — opowieści o dawnych czasach, kiedy rządzą prawdziwi królowie, zanim pojawili się uzurpatorzy. Jeśli opowieści te nie będą przekazywane z pokolenia na pokolenie, zostaną zapomniane. A jeśli do tego dojdzie, uzurpatorzy zawładną naszymi ciałami i umysłami. Będzie istniała tylko jedna wersja historii, tylko jedna wersja rzeczywistości. W opowiadaniach o Narnii położono na to olbrzymi nacisk. Stare opowieści, dawne wiersze i powiedzenia, przechowywane są w pamięci i przekazywane następnym pokoleniom w czasach dobrych i złych. Zwłaszcza w złych czasach potrzebne nam jest coś, co przypomni nam, jaka jest prawda, ponieważ nowa „prawda”, która zapanowała, robi wszystko, aby tylko pozbyć się jakichkolwiek konkurentek.

Wielką współczesną wersją tego tematu jest *Rok 1984*. Wolne angielskie społeczeństwo zastąpił ohydny, zdehumanizowany totalitaryzm; nikt nie zdaje sobie sprawy z tego, co się stało. Rząd zajęty jest dokonywaniem zmian w języku: wyrzuca z niego stare słowa, zmienia ich sens lub ukrywa pod celowo ogłupiającymi hasłami. Tak więc w żargonie nowomowy „Wojna jest Pokojem”, „Wolność jest Niewolnictwem”, a rządowe sale tortur mieszczą się w „Ministerstwie Miłości”.

Po co się rozwodzić nad tymi fantazjami? Cóż, z tego samego powodu, dla którego robił to Orwell. Nie wszystko tu jest wymyślone. Właściwie większość rzeczy opisanych w *Roku 1984* była faktem już wówczas, gdy pisał o nich Orwell. Zarys tego było widać wyraźnie w hitlerowskich Niemczech i stalinowskiej Rosji: fałszowanie historii, wymazywanie z pamięci faktów za pomocą prania mózgow; rażące manipulowanie językiem. Dzięki Orwellowi zwracamy chyba większą uwagę na te rzeczy. Lecz najważniejsze w owych historiach jest to, że nic „nie będzie wyglądać tak, jak sądzicie”. Musimy być przygotowani na to, że kradzież naszej pamięci (a z nią, rzecz jasna, naszej lojalności) będzie emanować z całkiem nieoczekiwanej strony.

Na przykład ze strony psychologii.

WYMAZYWANIE PAMIĘCI

Przeobrażając się w społeczeństwo psychologiczne, wykreowaliśmy nowy system wartości. Są to w większości wartości płytkie i egoistyczne, i to one dominują. Lecz nie to jest w tym wszystkim najgorsze. Najbardziej niepokoi bardzo skuteczne tłumienie wartości alternatywnych. Trudno sobie przypomnieć dawne wartości, a co dopiero przekazywać je

innym.

Owo tłumienie możliwe jest dzięki językowej manipulacji oraz tworzeniu nowych słów. Przypomnijcie sobie zwroty, które w ostatnim czasie wkradły się do języka: „sprawności komunikacyjne”, „radzenie sobie ze stresem”, „rozwiązywanie konfliktów”, „działanie w grupie”, „dynamika interpersonalna” itd. Od razu nasuwa się tu spostrzeżenie, że — podobnie jak nowomowa — język taki jest wyjątkowo bezbarwny, a ponadto zagmatwany. W efekcie zdaje się sugerować: „Brakuje ci wiedzy, by to wszystko zrozumieć; lepiej pozwól nam się tym zająć”. Stwierdziłem, że tego rodzaju język zawsze wywiera na mnie hipnotyczny wpływ. „Proponowany program (*brzdęk*) jest syntezą (*brzdęk*) porządkowania wartości, modyfikacji zachowania (*brzdęk*) i zastosowania modeli cybernetycznych (*brzdęk*) do zrozumienia człowieka jako istoty przetwarzającej informacje (*brzdęk-brzdęk*)”. Przeciętny człowiek nie wie, o co w tym wszystkim chodzi, ale ten, kto to mówi, zawsze sprawia wrażenie pewnego siebie. I tak, wciąż będąc w transie, kiwamy twierdząco głową: „Tak, tak. Jeśli sądzisz, że tak powinniśmy postępować, zatem oczywiście, zastosuj ten, no, model cybernetyczny”.

MANIPULOWANIE RZECZYWISTOŚCIĄ

Manipulowanie słowami, jak zauważył Orwell, to również manipulowanie rzeczywistością. Jeśli określony czyn nazwiemy „morderstwem”, przywołuje on na myśl pewną rzeczywistość. Jeśli nazwiemy go „wolnym wyborem kobiety”, rzeczywistość wydaje się już inna. Taki właśnie wpływ na język często wywierają nauki społeczne. Słowa nabierają zupełnie odmiennego znaczenia. Człowiek, który nas napada, zostaje nazwany „ofiara”. Kobieta, która porzuca rodzinę, zostaje określona jako „odważna”. O parze popełniającej cudzołóstwo, mówi się, że żyje w „otwartym” związku.

Są to przykłady dość rażącej manipulacji, choć może ona też być bardziej subtelna. Weźmy termin „doświadczenie rodzicielskie”. Wydaje się on raczej nieszkodliwy. Czy aby na pewno? Słowa *matka* i *ojciec* nasuwają silne skojarzenia moralne i emocjonalne. Świadczą one o świecie, na który składają się więzi rodzinne, wymagania, wspólne cele i wzajemna miłość. Przed oczami mamy niemowlęta w plecionych koszach, rodzinne kolacje, wieszanie bombek choinkowych, pomoc przy odrabianiu lekcji, nie wchodzenie ojcu w drogę podczas rozliczeń podatkowych. Jakie obrazy przywodzi na myśl „doświadczenie rodzicielskie”? Z jakimi obrazami ma się ono kojarzyć?

Podaję, że z żadnymi. Słowa *matka* i *ojciec* przypominają nam, czym powinna być rodzina oraz że bez niej czegoś w nas brakuje. Nie jest to jednak modny pogląd. W świecie nauk społecznych niezależna jednostka jest nadrzędna w stosunku do rodziny. Tak więc

wybiera się termin „doświadczenie rodzicielskie”. Jest on bardziej abstrakcyjny i nie rodzi skojarzeń z silnymi więzami emocjonalnymi. Jest to takie samo „doświadczenie” jak każde inne, które chcemy przeżyć na swej drodze do urzeczywistnienia się. Nie ma w nim nic ostatecznego.

Aby wesprzeć ideę niezależności jednostki, należy zapomnieć o dawnych pojęciach i lojalnościach. Dawne poglądy, że rodzina jest najważniejsza, że dzieci powinny być posłuszne lub że rodzina powinna się trzymać razem, muszą stracić na aktualności. Jednak aby osiągnąć ten cel, językowi należy nadawać formy, które będą zrozumiałe wyłącznie dla ekspertów; formy, które sprawią, że poczujemy się niedouczeni, a więc staniemy się bardziej podatni na ingerencję. Większość z nas mniej więcej wie jak wychowywać dzieci, lecz czym jest „doświadczenie rodzicielskie”?

Podobne terminy można uznać jedynie za stadium przejściowe. Kiedy już „doświadczenie rodzicielskie” spełni swoje zadanie i rozmiękczy tkankę społeczną, co będzie następne? „Doświadczenie typu dorosły-potomstwo?” „Związek pomiędzy reprodukującym a reprodukowanym?” Nie ma sensu mówić, że nie ważne, jakich słów się używa. To ogromnie ważne. Spróbujcie sobie wyobrazić świat, w którym do ludzi zwracano by się za pomocą numerów.

OSŁABIANIE LOJALNOŚCI

Sytuacja zakrawa na ironię, przede wszystkim dlatego, że chociaż społeczeństwo psychologiczne operuje językiem wolności, jest ono gotowe stosować takie same metody jak w państwie policyjnym. Największe zło umysłu totalitarnego polega na tym, że chce on zniszczyć wszelkie szczególne więzy uczuć lub wierności, na przykład takie, które istnieją pomiędzy mężem i żoną lub pomiędzy rodzicami i dziećmi, ponieważ tego rodzaju lojalności zagrażają tej jedynej, która się liczy, — wierności wobec Wielkiego Brata. To w takiej właśnie atmosferze dzieci dobrowolnie donoszą tajnej policji na swoich rodziców.

Spółeczeństwo psychologiczne zdaje się również dążyć do osłabienia lojalności. Ma się rozumieć, dzieje się to w imię osobistej niezależności, choć rezultat jest podobny. Rzecz w tym, że rozpad naturalnych grup społecznych zwykle zwiastuje nadejście mniejszej, a nie większej, wolności. Cechą charakterystyczną państw totalitarnych jest to, że rodzinę, parafię lub samorząd lokalny uważają za coś niepotrzebnego. Chodzi im przede wszystkim o to, by wyswobodzić jednostkę z jej lokalnych więzów. Dlatego do nadmiernego indywidualizmu należy podchodzić z taką samą nieufnością, jak do kolektywizmu. Jedno prowadzi do drugiego. Uchodząc przed natrętną rodziną i wścibskimi parafianami, zwróćmy uwagę, ku czemu się przybliżamy.

Jeśli dążymy ku większemu indywidualizmowi niż ten, którym się obecnie cieszymy, idziemy w złym kierunku. Błąd ten jest jednak trudny do naprawienia, a to przede wszystkim dlatego, że trudno go zauważyć. Jak już wskazywałem, udaje nam się dostrzec tylko to, do czego się odnoszą dostępne nam słowa i pojęcia. Jeśli swą uwagę kierujemy w miejsce wypełnione krzykiem i hasłami, możemy nie zauważyć, że w innym miejscu niepostrzeżenie zniknęło coś, co jest bardzo ważne. W jednym końcu pokoju ktoś powoduje zamieszanie, gdy tymczasem w drugim końcu jego wspólnik ulatnia się z całym srebrem.

Podobnie jest z językiem. Język określa fakty, które obserwujemy. Jeśli pewne słowa wychodzą z użycia, oznacza to, że również pewne fakty uchodzą naszej uwagi. Takie na przykład słowa, jak męstwo, szlachetność, honor, świętość, niewinność lub czystość wprawdzie wciąż istnieją, jednak wydaje się, że używa się ich głównie w czasie przeszłym, tak jakby fakty, do których się one odnoszą, były relikdami jakiejś zamierzchłej historii. Słowa takie rzadko —jeśli w ogóle— pojawiają się w języku używanym przez specjalistów w dziedzinie nauk społecznych lub przez media. Zostały one zepchnięte na boczny tor przez inne słowa, bardziej „na czasie”. Każde słowo cnota, które dostanie się do druku wypierane jest przez sto słów typu **potrzeba, naturalny** bądź **seksualny**.

Technika ta zawdzięcza swą skuteczność chyba głównie temu, że wyklucza ona jakąkolwiek konfrontację. Nie zaprzecza ona istnieniu pewnych faktów. Po prostu omija je, tak jak autostrada omija wioskę, w wyniku czego ludzie po jakimś czasie zapominają, że wioska taka w ogóle istnieje.

CHRZEŚCIJAŃSKA OPOWIEŚĆ

Nie zapominajmy, że świat to nie tylko psychologiczne autostrady. Zwłaszcza chrześcijanie nie powinni o tym zapominać. Chrześcijańska opowieść to najbardziej zadziwiająca wersja rzeczywistości, jaką kiedykolwiek sobie wyobrażano. W zestawieniu z nią wszystkie inne to monografie i księgi rachunkowe. Tylko ktoś absolutnie pewien, że jest ona jedynie mitem, zamieniłby ją na kiepską opowieść oferowaną przez społeczeństwo psychologiczne. Mimo to, specjaliści w dziedzinie nauk społecznych oraz ich popularyzatorzy nadzwyczaj skutecznie sprawili, że chrześcijanie zapomnieli. Wydaje się, że wielu nominalnych chrześcijan pogodziło się z myślą, iż ciekawiej jest być „osobą” niż spadkobiercą królestwa przygotowywanego dla nich od początku dziejów. Ich sytuacja przypomina położenie dzieci przebywających w Podziemnym Świecie z powieści Lewisa. Bezbarwny świat psychologicznych idei niemal zastąpił im wspaniałości nieba i ziemi.

Wiele jest rzeczy, które świat laicko-psychologiczny chciałby usunąć z naszych umysłów. Skoncentrujmy się na jednej z nich. Pomocna tu będzie historia Odyseusza, ponieważ w tej

konkretnie sprawie jedziemy z nim (przepraszam za wyrażenie) na tym samym wózku. Tak jak Odyseusz, zachęceni jesteśmy do tego, by osiedlić się na wyspie Kirke (nieważne, że w naszym przypadku bardziej przypomina ona Orwellofską Oceanię) i zapomnieć. I na dziwną, choć możliwą do przewidzenia ironię zakrawa fakt, że zachęca się nas również, byśmy zapomnieli dokładnie o tym samym: że jesteśmy tułaczami poszukującymi swej ojczyzny.

TUŁACZE?

Zastanówmy się nad następującymi faktami. Mówiąc fakty, mam na myśli pewne przeżycia wspólne nam wszystkim. Prawie każdy z nas przeżył kiedyś chwilę, kiedy był przekonany (lub tylko odnosił niepokojące wrażenie), że nie czuje się na tym świecie całkiem u siebie. Przytrafia się to nam nawet, gdy jesteśmy u siebie w domu, i nawet gdy dom ten jest najbardziej przytulnym miejscem na świecie. Myślę, że wszyscy wiedzą, co mam na myśli. Wrażenia tego można doznać na dwa sposoby: wrażenie negatywne, jakiego doznajemy wszyscy, gdy brakuje nam czegoś ważnego, czego nie możemy do końca określić; oraz wrażenie pozytywne, kiedy bez jakiegokolwiek powodu czujemy, że czeka gdzieś na nas coś bardzo ważnego. Sens pierwszego oddaje fragment listu Charlesa Dickensa do przyjaciela. Znajdujący się u szczytu kariery Dickens pisał: „Dlaczego teraz, gdy jestem w złym nastroju, zawsze odnoszę druzgocące wrażenie, że ominęło mnie jakieś jedno szczęście, że nie zawarłem jakiejś jednej przyjaźni lub znajomości?” Huxley zaś pisał: „Prędzej czy później pytamy nawet Beethovena, nawet Szekspira: «I to ma być wszystko?»”

Pozytywny aspekt tego pragnienia najlepiej opisał Lewis. Nazwał to „nienasyconą tęsknotą”.

Ta rzecz nigdy jednak nie stała się twoją. Wszystko co kiedykolwiek owładnęło głęboko twoją duszą, było jedynie jej niejasnym przeczuciem, nęcącym przeblyskiem, nigdy nie dotrzymaną obietnicą, echem zamierającym w chwili dotarcia do twoich uszu. Ale gdyby miała się rzeczywiście objawić — gdyby doszło cię kiedyś takie echo, które już nie zamiera, lecz urasta w sam dźwięk — poznałbyś je od razu. Bez żadnej możliwości powątpiewania powiedziałbyś: „To jest wreszcie to, do czego zostałem stworzony” .

Radość, o której mówi Lewis to nie radość spełnienia czy zaspokojenia, lecz raczej radość niespełnienia: przeblysk czegoś w oddali, „wieść z kraju, którego nigdy nie odwiedziliśmy”. Cokolwiek to jest, znika skoro tylko zostanie odnalezione. A jednak obarcza nas poczuciem, że jesteśmy wygnańcami. Nasza amnezja na chwilę ustępuje. Gdziekolwiek jest nasz dom, czujemy, że jeszcze go nie odnaleźliśmy. I co dziwne, jesteśmy z tego zadowoleni.

PRAGNIENIE, KTÓRE NIE ZOSTANIE ZASPOKOJONE

Częścią samej istoty natury ludzkiej jest pragnienie, którego nie zaspokoi żadne naturalne szczęście, i w porównaniu z którym wszelkie inne pragnienia wydają się mało istotne. Pozostajemy w przekonaniu, że cokolwiek mamy, to jeszcze nie jest to. Gdzieś głęboko, zamiast wewnętrznej harmonii, którą dostrzegają niektórzy psychologowie, odnajdujemy rażące braki: cała nasza natura zdaje się czegoś wyczekiwać, do czegoś gotować.

Otóż to. Przeżyliście coś takiego. I nie trzeba być chrześcijaninem, a nawet deistą, aby to przeżyć. Św. Augustyn doświadczył tego na długo przed swym nawróceniem. Podobnie Lewis. Mało tego, Lewis zaciekle walczył z myślą, że źródło jego tęsknoty i Bóg w ujęciu tradycyjnej religii mogą być jednym i tym samym. O swym „poszukiwaniu Boga” Lewis powiedział: „Równie dobrze można by mówić o poszukiwaniu kota przez mysz”.

Sprawa jest o tyle istotna, że przenosi owo przeżycie w sferę zjawisk naturalnych. Zalicza się ono do kategorii danych, jest faktem dotyczącym natury ludzkiej — czymś, co powinno być przedmiotem badań i sprawozdań psychologów. Na ogół jednak tak się nie dzieje. Dlaczego? Ponieważ nie można go dopasować do żadnej z istniejących kategorii. Nie ma drugiego podobnego pragnienia lub potrzeby. Wszystkie inne można nazwać, pogrupować i wytłumaczyć, można wreszcie znaleźć coś, co te potrzeby należycie zaspokoi. W tym przypadku jest jednak inaczej. Psycholog zmuszony jest zatem wykonać objazd wokół tego tajemniczego obszaru naszych doświadczeń, jak gdyby on w ogóle nie istniał.

Druga taktyka polega na zredukowaniu danych do skali umożliwiającej ich opracowanie. Kiedy psychologowie nie znajdują wytłumaczenia dla jakiegoś zjawiska, często próbują dopasować je do kategorii, którą można objaśnić. Nie powinniśmy się dziwić, jeśli analizowane zjawisko trochę przy tym ucierpi. Przypomina to wpychanie buta numer 12 do pudła przeznaczonego dla butów numer 4 lub wciskanie rajskiego ptaka do klatki przeznaczonej dla kanarka. Kiedy go wepchniemy do środka, przestanie wyglądać jak rajski ptak.

Zatem, gdy społeczeństwo psychologiczne dobierze się do naszych tęsknot, będzie starało się wytłumaczyć je przy pomocy czegoś, co potrafi (lub wydaje mu się, że potrafi) zrozumieć, na przykład przy pomocy popędu płciowego. Owa tęsknota, powiedzą, to sublimacja twojej potrzeby seksu. Albo że ojczyzna, której szukasz to łono twojej matki. Jest ono symbolem twojej potrzeby bezpieczeństwa.

Jest to taktyka zastosowana przez Królową Podziemia: „Widzieliście koty, a teraz chcecie, żeby istniał jakiś większy, lepszy kot, który będzie się nazywał LWEM. (...) Widzieliście lampy, no i wyobraziliście sobie jakąś większą, lepszą lampę, i nazwaliście ją SŁOŃCEM (...)”

Lampa istnieje naprawdę — SŁOŃCE jest tylko marzeniem, dziecinną bajką".

ŚWIAT ZREDUKOWANY

Jeśli połkniemy psychologiczny odpowiednik tego lekarstwa, stwierdzimy, że — tak jak Alicja — stajemy się coraz mniejsi. Tylko że świat nie pozostaje wielki, a zatem czarowny. On również się kurczy. Bo świat zredukowany to świat nieciekawym. Świecka postawa, jaką proponuje psychologia, doprowadza nas do miejsca, w którym znajdował się nieszczęśliwy Lewis przed swoim nawróceniem: „Niemal wszystko, co kochałem, uważałem za wyimaginowane, niemal wszystko, co uważałem za prawdziwe, wydawało mi się ponure i bezsensowne”.

Skoro zatem psychologiczna wersja jest jedyną rzeczywistością, spróbujmy ją wiernie opisać. Bez opowiadania o głębokiej trosce i bez zwracania głowy na temat spełnienia. Społeczeństwo psychologiczne przywiązuje ogromne znaczenie do twierdzenia, że nie ma tak silnej lojalności, której nie dałoby się zniszczyć, ani tak głębokiego pragnienia, którego nie dałoby się **strywializować**. Powinniśmy być na tyle uczciwi, by mówić o stopniu doznań zamiast ich spotęgowaniu, i w pełni obnażyć tłumienie głęboko zakorzenionych namiętności. O psychologicznym etosie da się powiedzieć to samo, co o środkach psychotropowych. I jedno, i drugie przytępia nasze pragnienia i prowadzi do zubożenia.

Istnieje jednak alternatywa. Możemy skorzystać z kolejnej psychologicznej rady. To znaczy zwrócić uwagę na nasze doznania.

Co nam mówią doznania? Mówią nam, że jesteśmy niespokojni. Jest w nas coś, czego po prostu nie da się zaspokoić. Skoro tylko zdobędziemy to, co, jak sądziliśmy, złagodzi nasze pragnienie, dawna tęsknota pojawia się na nowo, wciąż nie zaspokojona. Nic z tego, co polecają eksperci, nie potrafi jej skutecznie ugasić. Nawet tak zachwalane odkrycie samego siebie. **Poznawszy** samego siebie, nie myślimy: „Tak! Oto czego przez całe życie szukałem!” Wie o tym każdy dorosły człowiek, posiadający odrobinę uczciwości.

Przyznają to nawet **behawiorysty**, chociaż nie wprost. Wbrew sobie zmuszeni są oddać hołd temu przepotężnemu impulsowi. „Dzięki bardziej wszechstronnej edukacji — mówią — dzięki rozwojowi wiedzy oraz lepszemu rozumieniu mechanizmów społecznych, zbliżamy się do momentu, w którym powinniśmy być w stanie zagwarantować wszystkim zdrowe, szczęśliwe i pożyteczne życie. Bliski jest dzień, kiedy żadna potrzeba nie pozostanie niezaspokojona i kiedy żadne dziecko nie będzie niekochane...” I tak dalej.

Z pewnością słyszeliście podobne słowa. Praktycznie chodzi w nich o to, że raj nie istnieje, lecz z tego świata będzie można zrobić coś na kształt raju, kiedy tylko nauczymy się panować nad czynnikami przyczyniającymi się do szczęścia. Aby odwrócić uwagę od naszego poczucia wygnania, zapewnia się nas, że z miejsca, w którym przebywamy, da się w końcu uczynić odpowiednią ojczyznę. Jest w tej sytuacji coś, co przywodzi na myśl **miltonowskie** upadłe anioły, które, znalazłszy się w czarnym dole pełnym ognia, usiłują się nawzajem przekonywać, że ostatecznie nie jest to aż tak złe miejsce.

Rzecz w tym, że to jest złe miejsce. To znaczy, jest to złe miejsce, jeśli jest to miejsce jedyne. Ponieważ wszystko w nas podpowiada nam, że nie jest to miejsce, które jest nam przeznaczone. Jako stację przesiadkową, jako tymczasowy odpoczynek dla zmęczonych podróżnych, możemy je polubić, a nawet pokochać. Lecz jako jedyne miejsce, ostateczny cel podróży, oznacza ono ostateczną frustrację. Choćbyśmy uczynili je nie wiadomo jak wygodnym, wciąż nie będziemy zadowoleni. Nasze instynkty się buntują.

Zdrowy umysł zwraca się ku górze, nie ku dołowi. Widzi lampę kwarcową i myśli o słońcu, nie na odwrót. Prawda, możemy sprzeciwić się swym instynktom i starać się je wykorzenić. Można nam wmówić, że wszystko jest mniejsze niż się wydaje, i że substytut jest czymś lepszym od oryginału. Można tak wytresować dziecko, że oranżada w proszku będzie mu bardziej smakować niż sok pomarańczowy. Można też nauczyć się przedkładać rozmowy z **psychoterapeutą** nad rozmowy z przyjaciółmi. Niektórzy naprawdę wolą lampy kwarcowe od słońca. Naszą naturę można tak zepsuć, że będziemy gotowi przystać na to, co pomniejsze, a zapomnimy o tym, co wyższe. A im skuteczniej owo znieczulenie zostanie przeprowadzone, tym mniej prawdopodobne, że jego ofiary będą świadome tego, co się stało. Ci, co zostali dobrze wytresowani, nie są już w stanie się uskarżać, że im czegoś brakuje. Można śmiało zaryzykować twierdzenie, że wiele ofiar świeckiej psychologii zapomniało już o istnieniu Nadziemnego Świata.

PAMIĘTAĆ, GDZIE JEST DOM

Do tej pory koncentrowałem się jedynie na naszych naturalnych instynktach. Już one same mówią nam, że zostaliśmy stworzeni do czegoś więcej. Łatwo je jednak odurzyć przy pomocy różnych modnych pojęć — *brzdęk-brzdęk-brzdęk*. Tu właśnie wkracza chrześcijaństwo. Ponieważ wyraźnie nam przypomina o naszym prawdziwym domu; gdzie się znajduje i jak się do niego dostać.

Dlatego chrześcijaństwo pełne jest różnych przypomnień. „Pamiętaj o dniu szabatu, aby go uświęcić”. „Pamiętajcie na słowo, które do was powiedziałem”. „Pamiętajcie o uwięzionych”. „To czyńcie na moją pamiątkę” „Przypominam, bracia, Ewangelię, którą **wam** głosiłem”. „Przypomnijcie sobie te słowa, które były zapowiedziane przez Apostołów Pana naszego Jezusa Chrystusa”. „Wspomniał Piotr na słowo (...) i gorzko zapłakał”. Dlatego właśnie chrześcijanie mają uczyć się na pamięć różnych rzeczy: modlitw, przykazań, pieśni. *Iliada* i *Odyseja*, jak wiadomo, były prawdopodobnie śpiewane przed słuchaczami, ponieważ w ten sposób łatwiej je było zapamiętać. Rytm i kadencja wiersza lub pieśni ułatwiają ich zapamiętanie. Z tego samego powodu chrześcijanie odmawiają psalmy, śpiewają pieśni, trzymają się cyklu liturgicznego, który się regularnie powtarza, oraz czytają — lub starają się czytać — codziennie Pismo święte.

Jest to oczywiście jedna z tych *rzeczy*, za które chrześcijanie są krytykowani, nawet przez innych chrześcijan: „Dlaczego nie mogą śpiewać jakichś nowych pieśni?”; „Kościół jest wiecznie taki sam”;

„Wszystko, co powinienem wiedzieć, już wiem”. Owszem, wiecie też pewnie, że powinniście wysłać do babci list z podziękowaniami za otrzymany od niej prezent. Lecz łatwo o tym zapomnieć. Dlatego matki, ojcowie i ci wszyscy, którym na nas zależy, ciągle nam przypominają o różnych rzeczach: „Nie zapomnij podziękować babci”, „Pogratuluj Johnny'emu nowej posady”, „Pamiętaj o nałożeniu kasku motocyklowego”. Wygląda to na zawracanie głowy. Lecz bez tych przypomnień często byśmy o tym nie pamiętali.

Chrześcijaństwo nie pozwala nam zapomnieć. Chrześcijanie powinni przekazywać swą opowieść, przypominać sobie nawzajem, że są w drodze, i robić wszystko, aby następne pokolenie otrzymało w stanie nienaruszonym chrześcijańskie przesłanie wraz z towarzyszącą mu mapą. Po drodze mają śpiewać marszowe pieśni dla podtrzymania ducha i zachowania przenikliwej pamięci, a najgłośniej powinni śpiewać w pobliżu Syren oraz wyspy **Kirke**.

Zadaniem chrześcijan nie jest wytyczanie jakiejś nowej drogi zbawienia. Nie do nich należy budowanie lepszej szosy, poszerzanie jej do ośmiu pasów ruchu, czy zmienianie jej kierunku w celu ominięcia bagien, gór lub wzgórza Golgoty. Ich zadaniem jest stawianie kroków.

NIEZMIENNE PRZESŁANIE

Jedną z podstawowych różnic pomiędzy przesłaniem chrześcijaństwa a przesłaniem psychologii jest to, że pierwsze nie ulega zmianom, podczas gdy to drugie ciągle się zmienia. Psychologowie wiecznie są zajęci budowaniem nowych dróg, formułowaniem nowych pojęć i prowadzeniem ciągle nowych badań. Powodem tego jest po części ciekawość naukowa, po

części humanitarna troska o poprawę naszego losu — zjawiska, ma się rozumieć, chwalebne. Ale czy nie jest i tak, że przyczyną tych nie kończących się zabiegów jest pewne podstawowe niepowodzenie — nieudana próba znalezienia przesłania, które będzie naprawdę zadowalające? Dlaczego analiza psychologiczna nigdy ludziom nie starcza? Dlaczego pacjenci wciąż się zgłaszają po kolejną dawkę analizy, jak gdyby ciągle brakowało im tego jednego spotkania z psychologiem? A może celowo wszystkie wysiłki mające na celu zbudowanie osobistej lub społecznej utopii skazane są na niepowodzenie, ponieważ nie jest to dla nas właściwe miejsce do zamieszkania?

Choć poszczególni chrześcijanie powinni się zmieniać na lepsze, utrzymują oni bez arogancji, że nie dotyczy to samego chrześcijańskiego przesłania. Nie musi się ono zmieniać, ponieważ jest zadowalające w swej obecnej postaci. Chrześcijanie uważają, że posiadli już prawdę, która jest odpowiedzią na ich niezaspokojoną tęsknotę i która w końcu zaspokoi każdą potrzebę. Najważniejsze, by zachowali dobrą pamięć!

BOHATER OPOWIEŚCI

Pozory mogą oczywiście mylić. Na pierwszy rzut oka świat laicki często zdaje się obiecywać więcej niż świat nadprzyrodzony. Przyznaję z niepokojem, że Kościoły czasem godzą się na to, by w ich rytuał **wkradała** się drętwość. Jednak w Biblii tej drętwości nie ma. Jeśli się przyjrzeć życiu Chrystusa, przedstawionemu w Ewangelii, można tam znaleźć bynajmniej nie to, czego się spodziewamy, przeczytawszy wszystko prócz samej Ewangelii. W jakiś sposób rozpowszechnił się pogląd, że Nowy Testament to głównie opowieść o miłosierdziu i łagodności, że misją Chrystusa było nauczanie o pokoju, miłości i braterstwie. Nie znajduje to jednak potwierdzenia w Piśmie świętym. Owszem, zawiera ono przesłanie pokoju i braterstwa, lecz nie jest to najważniejsze ani najczęściej powtarzane przesłanie. Po pierwsze, przesłanie miłości i pokoju nie było dla starożytnego świata niczym nowym. Nie mogło być uważane za jakąkolwiek ewangelię, gdyż słowo to zakłada istnienie pewnej „nowiny”. Po drugie, w stosunku Chrystusa do samego siebie nie ma nic, co sugerowałoby, że uważał On siebie przede wszystkim za nauczyciela.

Wszystko wskazuje na to, że Jezus widział w sobie kogoś, kto ma do wykonania pewne zadanie. Niewiele się ono różniło od poszukiwań prowadzonych przez greckiego lub rzymskiego herosa. Ci, którzy skłonni są dopatrywać się w życiu Chrystusa podobieństw do innych wielkich nauczycieli jak Sokrates czy Budda, nie rozumieją — o dziwo — istoty sprawy. Zamiast tego, trafniejsze byłoby porównanie Jego życia z historią **Eneasza** lub, jeszcze lepiej, z historią **Odyseusza**. Końcowe pieśni *Odysei* należą do najbardziej porusza-

jących w całej historii literatury. Dlaczego? Ponieważ jest to romans, mówiący o powrocie po długiej nieobecności. Prawowity król powraca do swej prawdziwej ojczyzny. Gromadzi wokół siebie niewielką grupę, złożoną z członków rodziny i służby, i w odpowiednim momencie uderza w zdradzieckich **zalotników**, aby odzyskać swą ziemię, dom i żonę. Warto zauważyć, że **Odyseusz** nie od razu zostaje rozpoznany przez swą rodzinę; zanim ją sobie zjedna, musi ją najpierw przekonać przy pomocy różnych znaków, że to on jest prawdziwym panem, prawdziwym ojcem i prawdziwym mężem. Powrót ten jest przeznaczeniem Odysa i każdy etap jego wędrówki prowadzi do tego punktu kulminacyjnego.

Pod względem stylu Ewangelie w ogóle nie przypominają mitologii. Czyta się je jak dzieła historyczne. Jednak pod względem treści bliższe są one tematowi *Odysei* i *Eneidy* niż rozważaniom Sokratesa, Platona, Arystotelesa, Buddy czy jakiegokolwiek innego starożytnego nauczyciela. Niezależnie od tego, czy wierzymy w tę opowieść czy nie, tak właśnie powinniśmy ją odczytywać, jeśli trzymamy się zdroworozsądkowych reguł analizy tekstu. Co to za historia? Opowieść przygodowa, epos: Król wraca, by odzyskać to, co jest Jego. Daje do zrozumienia, że jest **oblubieńcem**. Coś jest Mu przeznaczone: musi się udać do Jerozolimy, aby mogło się spełnić proroctwo; musi wypić coś z jakiegoś kielicha. Cała Jego wędrówka prowadzi do przeznaczonego mu punktu kulminacyjnego. Przedtem jednak gromadzi wokół siebie niewielką grupę wyznawców, którzy rozpoznają znaki świadczące o tym, że to On jest królem. Aby przywrócić swym zwolennikom prawdziwą ojczyznę, musi naprawić pewien pradawny kosmiczny grzech. Ceną jest Jego życie — i cenę tę płaci.

Ewangelia ukazuje nam portret człowieka, który dobrze wie, czego chce i co ma robić, i który nie da się zawrócić z obranej drogi. Przyszedł odzyskać to, co należy do Niego i biada zdradzieckim **zalotnikom**, którzy nie chcą dopuścić do Jego powrotu. Jego przeznaczenie jest przesądzone. I — cóż za lekkomyślna zuchwałość — chce On wszystkich innych pociągnąć za sobą ku temu przeznaczeniu.

Cała opowieść pełna jest takich zdarzeń. Osobie czytającej Ewangelię po raz pierwszy, nie mającej wyrobionego zdania na temat chrześcijaństwa, nigdy by nie przyszło do głowy, że ma do czynienia z łagodnie usposobionym filozofem, wyrażającym swe przekonania w formie pełnych zastrzeżeń opinii. Wręcz przeciwnie, to, co ów człowiek mówi, zdaje się równie nierozważne jak to, co robi. Jest to język herosów, czasami przebiegły jak u **Odyseusza**, czasami odważny jak u Achillesa. Człowiek ten ma skłonności do nazywania ludzi „głupcami” lub „obludnikami”. Ucieka się do nieprawdopodobnych metafor, jak choćby ta o wielbłądzie przechodzącym przez ucho igielne. Nadmiernie się chełpi: „Zburzcie tę świątynię, a Ja w trzech dniach wzniosę ją na nowo”. Udziela kąśliwych upomnień: „Tak otępiały

macie umysł? Macie oczy, a nie widzicie; macie uszy, a nie słyszycie?" Poza tym mówi swoim zwolennikom, że nie są z tego świata. Obiecuje im zdumiewające *rzeczy*: wywyższenie, chwałę i domy w innym królestwie.

W tej sugestii, że coś znajduje się dalej i wyżej, znajdujemy echo przeżywanej przez nas niezaspokojonej tęsknoty. Potwierdza to nasze podejrzenie, że wskutek jakiegoś nieporozumienia czy **niefortunnego** wypadku żyjemy w obcym nam świecie, w którym, niezależnie od starań, nigdy nie czujemy się całkiem u siebie. Gdzieś głębiej niż sięgamy w swym poszukiwaniu zadowolenia, tuż przed pragnieniem **samospełnienia**, cichy, lecz uporczywy głos szepcze, że pewnego dnia będziemy musieli zarzucić na plecy tobolek i udać się w poszukiwaniu naszej ojczyzny.

DWIE PODSTAWOWE POTRZEBY

To oczywiście wielkie nadzieje. Wielu powie, że zbyt wielkie. Jednak niezależnie od tego, czy dana w Ewangelii obietnica to gruszki na wierzbie czy też nie, są to mimo wszystko gruszki, a nie strużyny nadgniętego **stoicyzmu**. Zaspokajają one dwie z naszych potrzeb. Po pierwsze, potrzebę nagrody. Po drugie, potrzebę opowieści.

W pierwszym przypadku można wysunąć zarzut, że satysfakcja, jaką daje dobrze wypełniony życiowy obowiązek, powinna być wystarczającą nagrodą dla dojrzałego człowieka. Odnoszę wrażenie, że jest to szlachetny sentyment, ale mimo wszystko sentyment. Sentymentalny, a nie realistyczny, jest pogląd na kondycję ludzką, zakładający, że wszyscy jesteśmy o wiele bardziej dojrzałi niż w rzeczywistości, że sami potrafimy sobie poradzić, że nie potrzebujemy niczyjej pomocy, że już staliśmy się doskonali. Myślę, że prawdziwszy obraz naszej sytuacji dają *Antypamiętniki Andre Malraux*. Jeden ze znajomych autora, stary i doświadczony wiejski ksiądz, mówi: „Nie ma czegoś takiego jak dorosła osoba”. Dreszcz na myśl o otrzymaniu nagrody w postaci pochwały ze strony kogoś, komu bardzo chcemy sprawić przyjemność nie przystoi zapewne stoikowi ani tym zwolennikom psychologii, którzy marzą o doskonałej samowystarczalności, lecz u większości z nas zaspokaja on dziecięce i bardzo ludzkie pragnienie zdobycia uznania.

Nowy Testament zaspokaja drugą potrzebę, potrzebę opowieści. I to nie jakiegokolwiek opowieści, lecz romansu, który jest równocześnie opowieścią przygodową.

Podobnie jak wszystkie opowieści przygodowe zawiera ona pewne charakterystyczne elementy. Wszystkie opowieści przygodowe wymagają obecności dobra i zła, i ostatecznego osądzenia zła; wszystkie opowieści przygodowe muszą mówić o poszukiwaniu lub podróży; w każdej z nich bohater lub bohaterka musi przejść rozmaite próby, aby ocalić swe życie lub

wyjść cało z opresji; zatem wszystkie opowieści przygodowe zawierają element prawdziwego niebezpieczeństwa. Wiele z tych elementów wiary chrześcijańskiej, które są dla ludzi trudne do zaakceptowania, to te same elementy, których by dotkliwie brakowało, gdyby je usunąć z powieści przygodowej lub romansu. Bez niebezpieczeństwa i prób opowieść brzmiałaby fałszywie. Gdyby zły książę i przyrodni wuj-niegodziwiec mogli w baśniach grzeszyć bezkarnie, gdyby zgładzenie smoka nic nie znaczyło jako próba, gdyby książę mógł wyjść cało z opresji, zostając w swym zamku i studiując filozofię, wówczas nikt nie czytałby baśni. Przypuśćmy, że czytamy: „Jeśli kamień ten nie powróci na swoje miejsce w wieży do chwili, gdy poranne słońce rzuci światło na jej wschodnią ścianę, utracisz swe królestwo i ukochaną”. Albo założmy, że w opowieści ktoś mówi: „W porządku, daję ci trzy dni. Jeśli w ciągu tego czasu odgadniesz, jak się nazywam, dziecko będzie twoje”. Na czym polega moc i siła przyciągania stawianych warunków oprócz tego, że są one warunkami — a zatem wszystko jest od nich uzależnione — oraz tego, że narzucają ograniczenia czasowe? Nie musimy bezustannie wybierać i działać, lecz nasz wybór może trwale wpłynąć na nasze szczęście. To samo poczucie warunkowego szczęścia, pilnej konieczności, strasznych konsekwencji, przenika Biblię. „Z wszelkiego drzewa tego ogrodu możesz spożywać według upodobania; ale z drzewa poznania dobra i zła nie wolno ci jeść, bo gdy z niego spożyjesz, niechybnie umrzesz”. „Zanim kogut dwa razy zapieje, ty trzy razy się Mnie wyprzesz”. „Jeszcze przez krótki czas przebywa wśród was światłość. Chodźcie, dopóki macie światłość”. W chrześcijańskiej opowieści przygodowej wszystko jest uzależnione nie tylko od tego, czy warunki zostaną spełnione, lecz także od tego, czy działa się natychmiast, bez zwłoki, zanim się zrobi ciemno.

INSTYNYKT GAWĘDZIARSKI

Jak już wskazywałem, instynkt gawędziarski to podstawowy element psychiki człowieka. Na opowieści miewamy taki sam apetyt, jak na coś, co można zjeść lub wypić. Nie jest to potrzeba subtelna i trudno uchwytna. Jest ona całkiem zwyczajna. A mimo to psychologowie nie mają o niej wiele do powiedzenia, może z wyjątkiem tego, że Śpiąca Królowna bała się seksu. Chodzi nie tylko o to, że psychologia nie jest w stanie zaspokoić naszej potrzeby opowieści. To zrozumiałe. Naszą troskę powinno budzić usuwanie wszystkich elementów, które sprawiają, że dana opowieść (lub biografia) staje się ciekawa. Odrzucanie silnych związków emocjonalnych, jak to czynił Freud, zaprzeczanie istnieniu zła, jak to czyni Rogers, czy sprowadzanie życia do systemu bodźców wzmacniających, jak to czyni Skinner, to grzeszenie przeciwko duchowi opowieści. Wszystko to sugeruje, że życie ludzkie to niewiele więcej niż naukowa analiza danego przypadku.

Ów talent psychologów do usuwania z wszystkich *rzeczy* tego, co najważniejsze powinien nas skłonić do namysłu. Kiedy ktoś, kto uważa, że potrafi objasnić naturę ludzką i ludzkie zachowanie, pomija zbyt wiele ważnych szczegółów, bezstronny obserwator może mieć słuszne powody, by się zastanowić, czy ten ktoś mówi mu o wszystkim, a w każdym razie czy to, co mówi, jest w ogóle wiarygodne.

Thomas Howard twierdzi — myślę, że całkiem przekonująco — że baśnie mają swe źródło nie w naszej podświadomości (jak utrzymywałby psycholog), lecz „w *Empireum*”. Wszystkie te historie o osieroconych chłopcach, którzy wyruszają w wędrowkę, wiernie zachowując w pamięci wszystko, co powiedziała im stara *zebraczka*, walczą z pokusami, nie dają się zwieść fałszywym pozorom, a na koniec wędrowki dowiadują się, że wcale nie są sierotami, lecz królewskimi synami — wszystkie te historie „poruszają coś w naszej wyobraźni”, ponieważ w rzeczywistości jest to właśnie ta Opowieść, „jedyna opowieść, jaka ostatecznie istnieje”.

Człowiek to gawędziarskie zwierzę. Z tego powodu, jak sugeruje Tolkien, Bóg dał mu opowieść, dzięki której może żyć. Tymczasem „nigdy nie pojawiła się żadna opowieść, którą człowiek tak bardzo pragnąłby widzieć jako prawdziwą (...) odrzucenie jej prowadzi albo do smutku, albo do gniewu”. Gdyż odrzucenie jej oznacza, iż musimy przyznać (jeśli jesteśmy uczciwi), że naprawdę żyjemy w ponurym królestwie, że nasze najgłębsze oczekiwania i pragnienia nigdy się nie ziszczą, i że nawet największy postęp nie będzie nam w stanie wynagrodzić poniesionej przez nas straty.

ROZPROSZENIE MGŁY

Kiedy rozproszymy mgłę, wydaje się, że tylko taki mamy wybór. I choć, ogólnie rzecz biorąc, prawdą jest, iż stojąc w obliczu jednoznacznego wyboru, ludzie idą za głosem lepszej strony swojej natury, to jednoznaczny wybór nie jest czymś powszechnie spotykanym, natomiast żargon owszem. Można by oczekiwać, że w obliczu wyboru pomiędzy psychologią, współczesnym *stoicyzmem*, który nam mówi, że pragniemy zbyt wiele, a Ewangelią, która mówi, że jeśli w ogóle czegoś pragniemy, to pragniemy zbyt mało, górę weźmie lepsza strona naszej natury. Jednak nawet nasze instynktowne dążenie do prawdy i piękna może nas oszukać, jeśli półprawdy przywdziewają szaty specjalistycznej wiedzy i udają dostawców wszystkiego, co dobre.

Na koniec wróćmy do punktu wyjścia. Młody królewicz, dwoje dzieci oraz ich towarzyszy, *Błotosmętek*, niemal wyzbyli się zarówno swych lepszych odruchów, jak i wspomnień na rzecz chłodnego i kojącego racjonalizmu Królowej Podziemia. Aby nie ulec temu urokowi, *Błotosmętek*, proste, lecz zdrowo myślące stworzenie, wsadza nogę do kominka:

— Jedno słówko. Pani — rzekł wracając od kominka i kulejąc przy tym z bólu. — Jedno stówko. Wszystko, co powiedziałaś, jest prawdziwe, i wcale bym się nie dziwił. Taki już jestem, że lubię wiedzieć najgorsze, a wtedy staram się zachować twarz, jak potrafię. Nie będę więc zaprzeczał temu, co powiedziałaś. Ale mimo to trzeba jeszcze powiedzieć jedno. Przypuśćmy, że my naprawdę tylko wyśniliśmy albo wymyśliliśmy sobie te wszystkie rzeczy: drzewa i trawę, słońce i księżyc, gwiazdy i samego Aslana. Przypuśćmy, że tak jest. Ale jeśli tak, to mogę tylko powiedzieć, że te wymyślone *rzeczy* wydają mi się o wiele bardziej ważne niż tamte prawdziwe. Przypuśćmy, że ta wielka czarna dziura, twoje królestwo, JEST prawdziwym światem. No cóż, muszę wyznać, że to bardzo żalony świat. To bardzo zabawne, kiedy się o tym pomyśli. Jeśli masz rację, to jesteśmy tylko dziećmi, które sobie wymyśliły zabawę. Ale czworo bawiących się w to dzieci może stworzyć fantastyczny świat, który sprawia, że twój prawdziwy świat staje się pusty. Dlatego zamierzam pozostać przy tym świecie z zabawy. Jestem po stronie Aslana, nawet jeśli nie ma żadnego Aslana. Chcę żyć jak *Narnijczyk*, tak jak potrafię, nawet jeśli nie ma żadnej *Narnii*.

W tym momencie dzieci, które pod wpływem słów Królowej znajdują się w coraz głębszym stanie zamroczenia, podbiegają do *Błotosmętka* i zaczynają uciekać. Nawet dzieci potrafią odróżnić dobrą opowieść od złej.

ROZDZIAŁ X

Sacrum i profanum

Bóg wzbudzający trwogę

Psychologia a „sacrum”

Trzy nawyki myślowe

Kiedy byłem w college'u, nauczyciele mówili nam, że najgłębszy przełom w historii spowodowało nastanie laicyzmu. Nie do końca to wówczas rozumiałem. Dwadzieścia lat to nie najlepszy wiek, by pojąć, że świat, w którym się wyrosło może być wysoce niedoskonały.

Nauczyciele mieli na myśli to, że świat utracił swoje poczucie *sacrum*. Każda epoka z wyjątkiem naszej przyznawała, że świat nawiedza coś niesamowitego i wspaniałego, coś magicznego — coś, co wymaga świętych okresów, świętych miejsc i świętych ceremonii. Miejsca, w których *sacrum* zdawało się najsilniej zaznaczać swą obecność — gaje, źródła, leśne polany — ludzie czuli się zobowiązani otaczać czią. Czasami na tych miejscach stawiali namioty, świątynie lub katedry.

Nawet w życiu codziennym trafiają się sytuacje, które budzą w nas tajemniczy lęk. Najczęściej zdarza się to na łonie natury, a przyczynia się do tego pewien rodzaj bezruchu. W jednej chwili przyroda zdaje się być pod wpływem łagodnego zaklęcia, drzewa i niebo stają się posłuszne czemuś innemu i czekają na jego rozkazy. Albo kiedy jesteśmy w lesie w rześki jesienny dzień, liście nagle unoszą się z szelestem z ziemi ku górze, mkną ku nam, po czym ich czerwien i złoto zaczynają nam wirować nad głową, niesione niewidzialnym oddechem czegoś, co jest obecne w powietrzu. Potrafimy to wytłumaczyć, a mimo to wydaje się, że jest to niewytłumaczalne. W chwilach, jak ta, zaczynamy dobrze rozumieć dlaczego starożytni uważali, że drzewa są żywymi istotami. W szeleście liści nadal słychać szemranie driad. Albo w nocy, gdzieś daleko od miasta, spoglądamy na sklepienie niebieskie i zdajemy sobie sprawę z jego ogromu i piękna, czego nie jesteśmy w stanie sobie uświadomić, będąc w mieście. Normalny człowiek nie może wówczas nie poczuć w sobie pewnej znikomości, a jednocześnie pewnej wdzięczności.

W takich chwilach czujemy to, co Piotr i inni apostołowie czuli na Górze Przemienienia: „dobrze, że tu jesteśmy”. I podobnie jak oni czujemy, że w odpowiedni sposób musimy na to odpowiedzieć. Piotr chciał postawić trzy namioty. My możemy uznać, że najlepiej będzie zachować ciszę, a jeśli już się odezwiemy, będziemy pewnie mówić głosem wyciszonym i

pełnym czci; zmieni się sam ton naszej rozmowy. Jednym słowem, zaczynamy sobie uświadamiać istnienie w świecie jakiejś innej atmosfery albo innego wymiaru. Mówiąc, że żyjemy w świecie laickim, mamy na myśli to, że w innych epokach ludzie żyli tą atmosferą świętości w znacznie większym stopniu niż my. Można by to ująć inaczej, mówiąc, że świat był dla nich pełen wyjątkowej wagi, ponieważ świat sakralny mógł dawać znać o sobie w życiu codziennym w dowolnym miejscu i w dowolnym momencie.

BÓG WZBUDZAJĄCY TRWOGE

To jeszcze nie wszystko. Czym innym jest niesamowite odczuwanie świętej obecności Boga w nocy lub w lesie, a czymś zupełnie innym bezpośrednie ujawnienie się tej budzącej trwogę Obecności. Trudno było o odważniejszych ludzi niż Mojżesz, Izajasz i Jeremiasz, a jednak w obecności Wszechmogącego truchleli oni ze strachu jak przerażone dzieci. Nawet wówczas to, co zobaczyli, było tylko ukrytą Obecnością. Nie można było spojrzeć Bogu w twarz i żyć dalej.

To samo uczucie trwogi dostrzegamy w reakcji apostołów, gdy Jezus uspokoił fale. Bardzo się wówczas bali, bardziej Jego niż wzburzonego morza. Pytali: „Kim właściwie On jest?” Jakie to uczucie, kiedy nagle zdajemy sobie sprawę, że człowiek płynący z nami łodzią może pochodzić z innego świata? Możemy się domyślać, że zdarzenie takie musi przypominać scenę z dobrego filmu *science fiction*, kiedy to bohaterowie stają twarzą w twarz z istotą zupełnie niepodobną do nich samych.

Jest jednak pewna różnica. Ponieważ w momencie rozpoznania — na przykład wówczas, gdy Piotr błaga Pana, by ten od niego odstąpił — zdajemy sobie sprawę, że to my jesteśmy owymi stworzeniami o wyłupiastych oczach i skórze gada.

To poważny błąd, jeśli zapominamy o całkowitej odmienności Boga lub jeśli wyobrażamy sobie, że spotkanie z Nim mogłoby nie być czymś co najmniej wstrząsającym. Nawet nie przekonawszy się o tym, ludzie zawsze to wyczuwali. Czuli, że wszechświat mieści w sobie jakąś potężną siłę, a właściwie, że jakaś potężna Siła mieści w sobie wszechświat i nim kieruje. I mając nad sobą tę siłę, człowiek uważał na to, co mówi i co robi.

UTRATA „SACRUM”

Wszystko to świadczy o istnieniu jakiegoś ducha, który został dziś utracony lub poniżony.

Jednak to, że współczesna epoka utraciła poczucie *sacrum* nie oznacza, że całkowicie zapomniała o Bogu, ponieważ nawet bezkompromisowy zwolennik laicyzmu może wciąż w coś niejasno wierzyć. Oznacza to raczej, że zapomniano o tym, kim jest Bóg oraz jak przytłaczająca jest Jego natura. Świecki umysł nie zawsze uważa, że trzeba koniecznie zaprzeczyć istnieniu Boga, zawsze jednak musi Go zredukować do wygodnych dla siebie rozmiarów. Nade wszystko musi to być Bóg, z którym można sobie poradzić, który nas nie obserwuje ani nie osądza.

Na przykład, pokazywany niedawno popularny film przedstawia Boga jako starszego pana palącego cygara, którego plany dotyczące ludzkości nie zawierają nic, co mogłoby być obraźliwe dla czytelnika „New York Timesa”. Inny cieszący się popularnością film to parodia życia Chrystusa. Wystawiany aktualnie musical wyśmiewa ukrzyżowanie. Można by to wszystko łatwo określić mianem bluźnierstwa, jednak odnosi się wrażenie, że twórcy tych filmów (wspomniany musical to inna historia) prawie nie zdają sobie sprawy, że w ogóle istnieje coś takiego jak bluźnierstwo. Aby być bluźniercą w prawdziwym tego słowa znaczeniu, trzeba najpierw uznać, że pewne rzeczy są święte. I nie ma sensu oczekiwać, że twórcy tych filmów rozumieją, czym jest absolutna świętość, jeśli nie pojęli jeszcze tak prostych pojęć, jak dobry i zły lub stosowny i niestosowny.

W widowiskach tych najbardziej szokuje fakt, że publiczność przyjmuje je z taką obojętnością. Można by pomyśleć, że Bóg stał się oswojonym zwierzęciem, wyprowadzanym z klatki i wystawianym na pokaz ku naszej uciechu. Dość niebezpieczna postawa. Przychodzą tu na myśl turyści zwiedzający Park Yellowstone, którzy każdego roku zostają tam pokiereszowani, ponieważ nie zwracają uwagi na znaki informujące, że niedźwiedzie nie są oswojone.

ROZUMIENIE „SACRUM”

Dla świeckiego umysłu nic nie jest tajemnicze, nic nie budzi lęku, nie ma rzeczy, której nie można by skomercjalizować. Czym innym jednak jest o tym mówić, a czym innym mieć świadomość, jak do tego doszło. Aby zrozumieć dlaczego utraciliśmy poczucie *sacrum*, musimy lepiej zrozumieć rzeczywistość sakralną.

1. Rzeczywistość sakralna to rzeczywistość absolutna, wokół której skupia się reszta życia. Bez niej nie byłoby stałego punktu odniesienia, pozwalającego ustalić, czy coś znajduje się wyżej czy niżej, czy jest lepsze czy gorsze. Bez niej wszystko byłoby względne. Wszystko

pogrążyłoby się w mdłej jednorodności. To zdarzenie znaczyłoby nie więcej niż tamto, to miejsce nie więcej niż tamto, ten dzień nie więcej niż poprzedni. Brak *sacrum* oznacza stan całkowitej i jałowej równości, w której nie istnieje nic szczególnego.

Aby to zrozumieć, wyobraźcie sobie miasto zbudowane wokół centralnego placu, na środku którego znajduje się wspaniały budynek publiczny. Teraz wyobraźcie sobie rozchodzące się stąd promieniście bulwary oraz położone wzdłuż nich mniejsze place i ronda. Budynki tego miasta są różnej wielkości i reprezentują różne style architektoniczne, lecz każdy zachowuje pewną relację względem znajdującego się najbliżej niego parku lub ronda, jak również placu centralnego. Może nie mieszkanie w najlepszym domu, lecz zawsze będzie on pod jakimś względem szczególny, choćby dlatego, że znajduje się w pewnej relacji do miejsc, które są szczególne. Następnie wyobraźmy sobie miasto pozbawione punktu centralnego, które tworzą niezliczone kwartały identycznych budynków: każdy kwartał ma tę samą wielkość, każdy budynek oraz mieszkanie jest takie samo i zostało tak samo zaprojektowane, a wszystko rozciąga się na przestrzeni wielu kilometrów kwadratowych.

W którym mieście wolelibyście mieszkać? Jeśli wybieriecie to pierwsze, to zrozumiecie postawę naszych przodków, bo w takim właśnie świecie woleli żyć.

2. Rzeczywistość ma pewną hierarchię. „Zgodnie z tą koncepcją — pisał Lewis w swej *Przedmowie do Raju Utraconego* — we wszechświecie obiektywnie istnieją zhierarchizowane wartości. Wszystko z wyjątkiem Boga ma przyrodzony sobie wyższy byt; wszystko z wyjątkiem bezkształtnej materii ma przyrodzony sobie niższy byt. Dobro, szczęście oraz godność każdego istnienia polegają na okazywaniu posłuszeństwa wobec bytu wyższego oraz na podporządkowywaniu sobie bytów niższych”. Można by dodać: „we właściwym dla każdego zakresie”. Muzyka Beethovena słusznie budzi nasz zachwyt. Lecz i Beethoven musi słuchać policji. W świetle prawa nie zajmuje on wyższego miejsca w hierarchii niż zwykły pijak. Nie wolno nam jednak twierdzić, że ten sam pijak, waląc w klawisze, tworzy tak dobrą muzykę, jak Beethoven. Nie wszystkie rzeczy na świecie są równe.

Jednak wszystkie rzeczy biorą swą wartość z faktu, że istnieje związek pomiędzy nimi a rzeczą najlepszą, jaką jest Bóg. Oddawanie czci Bogu to po prostu utrzymywanie kontaktu z rzeczywistością, widzenie rzeczy takimi, jakimi są. Podobnie dostrzeżenie sensu w rzeczach, które nas otaczają to uświadomienie sobie miejsca, jakie zajmują one w boskiej hierarchii. Nie oznacza to, że Bóg obecny jest we wszystkim w sensie panteistycznym — to wykluczałoby istnienie hierarchii. Raczej oznacza to, że wszystkie rzeczy zwrócone są ku swemu Stwórcy, jeśli tylko właściwie im się przyjrzeć.

3. Rzeczy codzienne nabierają znaczenia o tyle, o ile korespondują z tym, co święte. W

dawnych czasach uważano to za rzecz naturalną. Władza ojca nad dziećmi brała się stąd, że istnieje Ojciec, który sprawuje władzę nad wszystkim. Ład społeczny miał być w założeniu odbiciem ładu Bożego.

Mało tego, uważano, że wszystko jest z sobą powiązane. Z tego właśnie powodu zwykle życie było pełne znaczeń. Uplywające pory roku przypominały o upływającym życiu człowieka. Nadejście wiosny przypominało, że zawsze rodzi się nowe życie. Orka, siewy oraz rodzenie owoców przypominało dawanie światu dzieci przez mężczyzn i kobiety. Dziewczyna obcinająca sobie włosy mogła nagle stwierdzić, że jej myśli ulatują ku młodemu mężczyźnie, który kosi na polu pszenicę. Natomiast myśli mężczyzny, koszącego na polu pszenicę, mogły przerodzić się w myśli o dziewczynie obcinającej sobie włosy. Było to poetyckie widzenie świata: wszystko było metaforą; wszystko znaczyło więcej niż znaczyło. Wszystko było wzajemnie powiązane i z sobą korespondowało. Gąsienica w swym kokonie czy ziarno zakopane w ziemi zdawały się zapowiadać jakąś większą metamorfozę tym wszystkim, którzy gotowi byli umrzeć dla samych siebie.

Nie wolno nam jednak przypuszczać, że ówcześni ludzie nie potrafili zrozumieć nowoczesnych poglądów. Rozumieli je na tyle dobrze, by wiedzieć, że nie są warte tego, by dla nich żyć. Nowoczesne poglądy wyrażają, oczywiście, słowa Szekspira: „Jutro i jutro, i jutro wlecze się drobnymi kroczkami...” Jeśli, krótko mówiąc, to nic nie znaczy i tamto nic nie znaczy, życie traci swoje znaczenie, czas staje się bezsensownym ciągiem powtarzających się dni. Lecz jeśli ta powszednia rzecz jest śladem istnienia we wszechświecie tamtego ważniejszego rytmu, to może nasz trud rzeczywiście ma jakiś sens.

4. *Sacrum* jest czymś wyraźnie wydzielonym. Nadaje sens życiu codziennemu, lecz nie jest tym samym, co życie codzienne. Wynika z tego, że to, co święte nie może być wykorzystywane do zaspokajania codziennych potrzeb. Nie wynajmuje się kościoła miejscowym sklepikarzom w dni powszednie. A święte obrzędy wymagają szczególnych zachowań. Nie bierze się ślubu kościelnego w bawełnianej koszulce. Kościół to nie ulica. Święty gaj to nie targ. Sakramentalne wino nie jest przeznaczone do picia na towarzyskich przyjęciach. To, co święte, jest niezwykle wyjątkowe, i cokolwiek wchodzi z tym w styczność, wyniesione zostaje ponad pospolitość.

Kiedy *sacrum* traci na wartości, wszystko traci na wartości. Dzieje się tak zawsze, gdy coś ma ściśle określone zastosowanie. Powiedzmy, że dostaliśmy rodową pamiątkę: pierścienek od matki lub zegarek kieszonkowy od ojca. Ma to być dla nas specjalny upominek. Jest to dany nam przywilej, lecz w pewnym sensie także obowiązek. Nie idziemy z tym do najbliższego lombardu tylko dlatego, że akurat potrzebujemy gotówki. Uczynienie czegoś

podobnego, nawet w ciężkich tarapatach, sprawia, że zaczynamy czuć się nieswojo. Zlekceważony zostaje nie tylko upominek; kiedy tak postępujemy, wszystko traci na wartości.

5. *Sacrum* wymaga ceremonii. Wynika to z punktu poprzedniego. Ponieważ *sacrum* nie jest czymś zwyczajnym, nie będziemy tego traktować w sposób zwyczajny. Nasze zachowanie powinno być zatem szczególne. Tak, jak Mojżesz musiał zdjąć sandały, zanim wszedł na świętą ziemię, tak i my czujemy, że należy czynić pewne gesty będące potwierdzeniem naszego respektu i czci. Zakładamy swe najlepsze ubranie, dostojnie się poruszamy, śpiewamy specjalne pieśni, modlimy się i wnosimy prośby.

Tak czy owak jest to nasza naturalna skłonność. To, co bardzo lubimy robić, co uważamy za ważne, chcemy robić w sposób uroczysty. Czynimy przygotowania, robimy to bez pośpiechu. Z rodzinnych obiadów robimy uroczystość, podczas gdy można by je urządzić w bardziej praktyczny sposób. Kiedy chcemy komuś wręczyć upominek, wybieramy właściwe miejsce i moment. Robimy z tego małą uroczystość. Istnieją specjalne rytuały pakowania i rozpakowywania prezentów, wypisywania i odczytywania bilecików. Ukończeniu studiów towarzyszy pompa i rozmach. Widzimy uroczyste wejście i wyjście, togi i frędzle, zwoje papieru i rytualny aplauz. Wszystko można by załatwić z mniejszym trudem za pośrednictwem poczty komputerowej. Jednak jakiś głęboki instynkt każe nam postąpić inaczej.

6. Kluczem do tego wszystkiego jest posłuszeństwo. Lewis twierdzi, że obchody oraz oprawa ziemskich uroczystości przypominają Wielki Taniec — jego wyobrażenie raju. Zgodnie z tym poglądem, rajską szczęśliwość najlepiej sobie wyobrazić jako pełen powagi i wyważonej radości taniec, w którym każdy bierze udział, każdy może się wykazać, a wszyscy podporządkowują się jego podstawowemu układowi. Dotyczy to, rzecz jasna, zwykłego tańca ludowego oraz tańca w szeregu. Taneczna swoboda i swawola podporządkowane są zasadom tańca, układowi unoszenia się i opadania, przesuwania się w przód i w tył, formom okazywania szacunku i grzeczności. Radość z tańca czerpią zatem ci, którzy gotowi są nauczyć się do niego kroków. Lewis sugerował wręcz, że bezceremonialny stosunek do życia to pewien rodzaj dumy. Pisał: „Współczesny zwyczaj robienia w sposób bezceremonialny tego, co wymaga ceremonii nie jest żadnym dowodem pokory. Świadczy raczej o tym, że obrazoburca nie potrafi się zapomnieć w rytuale...”

PSYCHOLOGIA A „SACRUM”

W tym miejscu możemy wrócić do sytuacji obecnej. Oczywiście nie trudno zauważyć, że zarysowując elementy cechujące sakralny porządek rzeczywistości, wyznaczyliśmy kurs

nieuchronnie prowadzący do kolizji z wartościami społeczeństwa psychologicznego. Żadna konstrukcja umysłowa nie przeciwstawi się *sacrum* lepiej niż ta, do której nas się dzisiaj zachęca. Wyobraźmy sobie chłopca otoczonego bogactwem, obsługiwane przez służących, któremu się schlebia i pobłaża — rozpieszczonego panicza. Spróbujmy go umieścić w normalnym domu, gdzie każdy ma swoje obowiązki, a nie tylko nie zdoła tego wszystkiego zaakceptować, ale i trudno mu to będzie zrozumieć. Nie jest do tego psychicznie przygotowany. Sytuacja tego dziecka jest podobna do naszej. Jesteśmy psychicznie nie przygotowani do tego, by uświadomić sobie lub przystać na zobowiązania wobec sfery *sacrum*. Brak nam odpowiednich warunków. Asertywność, zajmowanie się własną osobą itp. to nie najlepsze przygotowanie do wzięcia udziału w Tańcu.

TRZY NAWYKI MYŚLOWE

W zrozumieniu znaczenia *sacrum* przeszkadzają nam zwłaszcza trzy nawyki myślowe. Wspomniałem już o nich w innym kontekście: są to subiektywizm, redukcjonizm oraz naturalizm. Wprawdzie wszystkie one zachodzą na siebie, lecz spróbujmy je od siebie oddzielić, aby móc się przyjrzeć wywoływanym przez nie skutkom.

SUBIEKTYWIZM

Człowiek, który pozwolił sobie popaść w subiektywizm jest przekonany, że żadna idea lub rzecz nie jest bardziej wartościowa od jakiegokolwiek innej idei czy *rzeczy*. Jeśli podejmiemy spór z kimś takim, szybko się przekonamy, że nie ma on pojęcia, co jest bardziej a co mniej ważne, co jest lepsze a co gorsze. Przekonany jest o równości wszystkich poglądów, i to, co mówi Bóg, stawia na równi z opiniami wypowiedzianymi przez gwiazdy rocka.

Kolejną rzeczą, której nie może on zrozumieć to pojęcie wyjątkowości. W jego umyśle wszystko sprowadzone jest do tego samego poziomu. Spotykamy czasami ludzi, którzy w trakcie rozmowy na temat zakupów i podatków przechodzą, bez mrugnięcia lub zająknięcia, do tematu kazirodztwa i seksu oralnego. Nawet obecność dzieci lub młodzieży nie ma wpływu na to, co mówią. Wraz z umiejętnością rozróżniania tematów, utracili oni także zdolność odróżniania rozmowy prowadzonej z dorosłymi od rozmowy z młodzieżą.

Długotrwała psychoterapia wywiera czasami taki wpływ na ludzi. Telewizja zaś działa podobnie na całą kulturę. Uznano, że dosłownie wszystko nadaje się do pokazania. Nie ma *rzeczy*, która nie mogłaby znaleźć się na widoku publicznym lub stać się przedmiotem

publicznej dyskusji, ponieważ uważa się, że nie ma rzeczy posiadających jakiś wyjątkowy status. Jeśli ktoś się uskarża na ten stan rzeczy, słyszy, że w dzisiejszych czasach jesteśmy bardziej szczerzy lub że powinno się przedstawiać wszystkie punkty widzenia. Nie ma to, rzecz jasna, nic wspólnego ze szczerością, ma natomiast bardzo wiele wspólnego z czerpaniem zysków. Zyski jednak nie wyjaśniają wszystkiego. Ludzie zawsze byli chciwi, lecz w większości epok ludzie przeważnie rozumieli, że pewne *rzeczy* należą do innej sfery wartości. Nasze pokolenie już tego nie rozumie.

Trudno o lepszą ilustrację tego sposobu myślenia niż próba „uczynienia niedzieli dniem jak każdy inny”. Takie właśnie sformułowanie zawarte jest w ustawie, nad którą debatuje się obecnie w moim stanie. Tak się składa, że jest to jeden z tych stanów, które opierają się temu pomysłowi. Już dziś niedziele są mniej wyjątkowe, bardziej podobne do innych dni niż jeszcze kilka lat temu. Aby dostrzec zmianę, wystarczy tylko pomyśleć o ubraniu na niedzielę, niedzielnych obiadach, spacerach, wizytach i innych niedzielnych rytuałach, których przestrzegano jeszcze nie tak dawno temu. Zawsze znajdują się tacy, którzy będą chcieli zrobić z niedzieli normalny dzień pracy, a bez poczucia *sacrum* trudno znaleźć racjonalne argumenty, pozwalające im się przeciwstawić. Będą to oczywiście robić w imię ułatwienia życia innym — w interesie społecznym. Jednak postawa ta na sto różnych, subtelnych sposobów przenika nas wszystkich, wywierając swój wpływ. Niedziela przestaje się czymkolwiek różnić od soboty lub każdego innego dnia wolnego. Jej szczególny charakter i nastrój zaczną nieuchronnie zanikać. Dzieje się tak, ponieważ szczególny charakter niedzieli wynika nie z tego, że jest ona dniem wolnym od pracy, lecz z tego, że stanowi element boskiego cyklu.

Aby to dostrzec, wystarczy pomyśleć o wielu ludziach dysponujących wolnym czasem, którzy mimo to nie czerpią z życia żadnej przyjemności. Nie kończący się ciąg wolnych dni, których nic od siebie nie oddziela, i którym nic nie nadaje powagi, może stać się tak samo bezsensowny jak kierat nie kończących się dni pracy. Natomiast sakralna wizja świata pozwala nam stwierdzić, że powtarzające się dni tworzą nie repetycję, lecz rytm — jak rytm marsza. Oznacza to, że dochodzimy do jakiegoś miejsca, a nie, że tylko odmierzamy czas.

REDUKCJONIZM

W tym miejscu nawiązujemy do tradycyjnego poglądu, według którego właśnie to, co sakralne nadaje sens wszystkiemu innemu. Skutek stłumienia sakralnej wizji świata był taki, że życie, zamiast stać się bardziej pogodne i racjonalne, stało się bardziej absurdalne. Przypomnijmy sobie na moment, co powiedzieliśmy wcześniej na temat redukcjonizmu,

zwyczaju psychologów polegającego na mówieniu: „to tylko to”. Spójrzmy na behawioryzm, który mówi nam, że każde ludzkie zachowanie, jakkolwiek szlachetne by się wydawało, jest tylko łańcuchem odruchów warunkowych. Albo na psychologię freudowską, która twierdzi, że jesteśmy tylko układem psychicznych pomp, zaworów i drenów. Lub na psychologię fizjologiczną, według której ludzkie zachowanie to tylko impulsy elektryczne, przepływające przez synapsy.

Zwróćmy uwagę, że w każdym wypadku to, na którym kończymy wydaje się czymś znacznie mniejszym niż to, od którego wyszliśmy. Myślenie w kategoriach psychologicznych jest redukcjonistyczne w pełnym tego słowa znaczeniu. Redukuje, czyli pomniejsza. Rozdziera kurtynę, abyśmy mogli się przekonać, że Czarnoksiężnik jest tylko małym człowieczkiem. Podejście takie sprowadza się do stwierdzenia, że rzeczy nic w sobie nie kryją albo kryją bardzo niewiele. Jest to dokładne przeciwieństwo innego nawyku myślowego — wznoszenia się ku *sacrum*, dostrzegania w mniejszym obrazów większego oraz tendencji do powiększania wszystkiego.

Dawny punkt widzenia jest, jak powiedziałem, bardziej poetycki. Nie znaczy to jednak „oderwany od rzeczywistości”. Można powiedzieć, że poezja jest bardzo bliska rzeczywistości. My, ludzie nowocześni, chętnie przyznajemy, że staliśmy się wyobcowani wobec natury, wobec samych siebie, wobec dzieła naszych rąk. Jednakże jeśli patrzymy wstecz, ku czasom, kiedy ludzie wciąż byli w kontakcie z tymi rzeczami, stwierdzamy, że mimowolnie wyrażali się oni w sposób poetycki. *Iliada*, *Odyseja* oraz *Beowulf* były to śpiewane utwory poetyckie, ponieważ uważano, że śpiew i poezja dotykają samej istoty rzeczy. Potoczny zwrot, że coś „nie ma ładu ani składu” sugeruje, że rym i sens uważano za wzajemnie powiązane. W stosowaniu rymów tkwi pewien sens: przynoszą one rozpoznanie i rozwiązanie, oczekiwanie i nagrodę — regularne powtórzenia, które zdają się być uzupełnieniem lub odpowiedzią na pewną rzeczywistość, obecną w nas, jak i pewną rzeczywistość, obecną w świecie. Na przykład, najlepsze bajki dla dzieci zawsze mają hałaśliwy refren, dajmy na to: „małe świnki, małe świnki, wpuście mnie do środka”, a dzieci reagują prośbami o powtarzanie ich ciągle na nowo. Dorośli mają podobne potrzeby. Na przykład śpiew przy pracy dodaje ładu i składu temu, co w przeciwnym razie zdaje się nużącym i powtarzającym się zajęciem. Słowem, wydaje się, że rymy pieśni odzwierciedlają głębszy ład istniejący we Wszechświecie.

Z pewnością tkwi w tym jakaś tajemnica. Często popełniamy błąd polegający na zrównywaniu tego, co tajemnicze z tym, co jest pozbawione znaczenia. Wręcz przeciwnie, to właśnie odrzucenie tajemnicy i metafory często prowadzi do przekonania, że świat

pozbawiony jest sensu. Psychologiczny redukcjonizm, który ze swej natury przeciwny jest tajemnicy, odbiera życiu nie tylko poezję, lecz także racjonalne uzasadnienie. Próbując zrozumieć życie, pozbawia nas poczucia, że życie ma jakikolwiek sens. Możemy poznać ten mechanizm, gdy próbujemy wytłumaczyć dziecku jakieś zjawisko przyrodnicze w sposób zbyt dosłowny, co sprawia, że natychmiast przestaje się ono interesować tym, co mówimy. Zdaje się ono mówić: „Jeśli to wszystko, co się za tym kryje, to zostawmy już ten temat”. Przykładem nierozważnego zastosowania redukcjonizmu są elementarze używane w szkołach podstawowych. Zwykle pisane są one zespołowo, przez osoby, które nie dysponują żadną szerszą wizją, lecz jedynie wąskimi teoriami wychowawczymi (często o charakterze psychologicznym). Ich celem jest zredukowanie języka do jego najprostszycy elementów. Skutek jest jednak taki, że tekst przestaje pasjonować i wywoływać silne wrażenie. Dziecku, które czyta: „Ala ma Asa. As hasa. Tom to kot Oli. A to tato Oli” należy wybaczyć, jeśli czytanie nie budzi w nim entuzjazmu. Ostatni głośny krytyk takiego redukcjonizmu — Bruno Bettelheim — sam był psychologiem. Bettelheim miał całkowitą rację, mówiąc, że przyczyną słabej umiejętności czytania wśród dzieci należy szukać w bezsensownych tekstach, które dają im się do czytania. „Ala ma Asa. As hasa” zawiera rymy, lecz pozbawione jest rytmu; zatem nie ma w tym nic z poezji. Nie może to się równać z tekstem „małe świnki, małe świnki”. Wydaje mi się, że normalna reakcja dzieci na nowe książki (znużenie) dowodzi, że jeżeli pozbawiamy tekst tego typu rymów, pozbawiamy go równocześnie sensu.

Stanowisko redukcjonistyczne ma dalej idące konsekwencje. Kiedy ów klimat myślowy zaczyna dominować, bezcelowe jest wyłączenie spośród innych *rzeczy* tego, co ma szczególne znaczenie; pomimo że, jak widzieliśmy, wyłączenie to stanowi samą istotę *sacrum*. Po zburzeniu wszelkich hierarchii i sprowadzeniu wszystkiego do najmniejszego wspólnego mianownika pozostaje bardzo mało miejsca na uświadomienie sobie znaczenia tego, co święte.

Otóż jeśli porządek sakralny jest porządkiem prawdziwym, tego typu myślenie zamiesza nam tylko w głowie. I znów nasze nowoczesne metody nauczania dostarczają dobrych przykładów. Nie jest żadną tajemnicą, że szkoły publiczne są siedliskiem wandalizmu i przemocy, że dają schronienie młodzieży, która nie ma szacunku ani dla nauki, ani dla nauczycieli. Wydaje mi się, że przyczyna tkwi częściowo w tym, że szkoły te utraciły swój status miejsc szczególnych, miejsc wyłączonych. Dzisiejsze szkoły nie są może świętymi miejscami, jednak należy je sytuować ponad sferą *profanum*. Co do tego panowała do niedawna całkowita zgoda. O tym, że tak było, przypominają takie sformułowania jak „dostojne mury”, czy „świątynia nauki”. Jak stwierdził niedawno pewien pedagog, szkoła „to

nie przedłużenie ulicy, kina, koncertu rockowego lub placu zabaw".

Słowa te wydają mi się szczególnie interesujące, ponieważ wypowiedział je człowiek, który piętnaście lat wcześniej wspierał pionierski program mający na celu połączenie z sobą szkoły i ulicy, program, który — jak dziś sugeruje — zamiast nieść uczniom pomoc, sprowadził szkoły do poziomu tego wszystkiego, co je otacza. Szkoły, powiada on dziś, powinny być miejscami szczególnymi, w których obowiązują szczególne wymagania, takie jak noszenie szkolnego mundurka, ponieważ „nasz ubiór świadczy o naszym stosunku do danej sytuacji. A obowiązujący strój wskazuje, jaki ten stosunek powinien być”. Zauważa on, że symbole takie nie tylko odzwierciedlają nasze uczucia, lecz także je wywołują, tak jak „na przykład klęczenie w kościele jest wyrazem czci, ale i rodzi uczucie czci”.

Ów autor, Neil Postman, pisał niedawno o zaniku dzieciństwa. Twierdzi on, i bez wątpienia trzeba mu przyznać rację, że różnice i linie graniczne pomiędzy dziećmi a dorosłymi prawie przestały istnieć. Łatwo nam już przychodzi mówienie o przemianach społecznych, tu jednak mamy do czynienia z przemianą o pierwszorzędym znaczeniu. Nagle dzieci mówią i zachowują się w sposób, który jeszcze niedawno uważany byłby za niewłaściwy nawet dla dorosłych. Dorosły seks? Jak najbardziej, lecz wraz z nim cynizm dorosłych, przestępczość dorosłych, depresje dorosłych, alkoholizm i samobójstwa. Ogólnie rzecz biorąc, Postman obarcza winą za te zjawiska telewizję, lecz stwierdza jednoznacznie, że telewizja oddziałuje w ten sposób, ponieważ burzy takie rzeczy jak tajemnica, hierarchia, świętość.

NATURALIZM

Oczywiście, rzeczy te można ochronić tylko wówczas, gdy dobrze rozumiemy swoją rolę i stosownie do niej się zachowujemy. Tu dochodzimy do trzeciego nawyku myślowego, do którego zachęca psychologia: przywiązywania wagi do spontaniczności i naturalizmu. Słowa *naturalizm* można używać w odniesieniu do systemu filozoficznego, tutaj jednak chodzi mi o kierowanie się w swoim postępowaniu jedynie impulsem lub pożądaniem. Psychologiczny naturalizm obarcza winą za większość naszych bolączek proces socjalizacji. Stanowisku temu towarzyszy nieufność wobec ról społecznych.

Doskonale zdaję sobie sprawę z tego, że odgrywanie ról może prowadzić do sztuczności. Jednak czytając popularną literaturę psychologiczną, można odnieść wrażenie, że kończy się ono tylko na tym, iż odgrywanie ról to jedynie nieuczciwe i udawane zachowanie. Jest to nowy pogląd, nieznanym większości innych epok i kultur. Nie aprobują go nawet ludy najbardziej prymitywne. W społeczeństwach plemiennych mężczyznom i kobietom zależy nie

na tym, by być „naturalnym”, lecz by należycie odgrywać swoją rolę. O człowieku świadczy nie jego natura, lecz zachowanie stosowne do jego pozycji — do relacji zwierzchnictwa, podległości lub równości.

Mało tego, role są nieodzowne. Aby się o tym przekonać, wystarczy sobie wyobrazić, jak bez nich wyglądałby świat. Co by to było za społeczeństwo, w którym nauczyciele nie chcieliby uczyć, a policjanci pilnować przestrzegania prawa? Są ludzie, wśród nich kilku sławnych psychologów, którym taki świat bardzo by odpowiadał. Mnie się jednak wydaje, że dla większości z nas byłby on przyczyną poważnej troski. Słusznie się niepokoiimy, gdy ktoś nadużywa autorytetu swej roli, lecz w równym stopniu szokuje nas, kiedy przynależne role nie są respektowane. Niemal wszystkich bulwersuje widok rodziny, w której niezdolne dziecko rozstawia rodziców po kątach. Sama myśl o równości w rodzinie — pogląd, że, jak to ujął Lewis, matka jest „jedynie współobywatelem” — budzi poważny niepokój. Otóż wydaje mi się, że wszystkie nasze poglądy na temat ról i autorytetu łączą się z pojęciem hierarchii, a stąd także z *sacrum*. Wynika z tego, że całkowity laicyzm to najlepszy sposób, by wokół ról wywołać nieporozumienia; nieporozumienia, które powodują, że nauczyciele lub rodzice sprowadzają swe role wobec dzieci do poziomu kolegi lub rówieśnika. W tym kontekście nawet najprostszy kod postępowania, nakazujący na przykład okazywać szacunek starszym lub cześć swoim rodzicom, będzie czymś trudnym do pojęcia. Struktura zasadzająca się na tym kodzie przestała istnieć.

Uczyńmy krok dalej. Jestem przekonany, że jeśli przyjrzyście się własnym doświadczeniom, stwierdzicie, że role są nie tylko konieczne, ale i wyzwalające. Pozwalają nam osiągnąć to, czego być może nie osiągnęlibyśmy, gdyby wszystko miało być zależne wyłącznie od naszego stanu ducha. Na przykład, rola policjanta lub żołnierza pozwala mu pokonać swój naturalny strach i działać odważniej, niż gdyby był zwykłym obywatelem. Człowiekowi idącemu na czele parady, ubranemu w swój kostium, wolno kroczyć dumnie z ważną miną i robić koziołki wzdłuż ulicy, na co nie mógłby sobie pozwolić, gdyby szedł do biura. Role, jakich się od nas oczekuje w trakcie różnych ceremonii i uroczystości, pozwalają nam zachowywać się odświętnie i wytwornie, nawet jeśli nasz naturalny stan ducha nie przystaje do danej sytuacji.

Oczywiście, zdarza się, że nie potrafimy sprostać wymogom naszej roli. Wytrwanie w niej nie jest rzeczą łatwą. Jednak właściwym rozwiązaniem tego problemu nie jest pozbywanie się jej. Role ustanowiono przede wszystkim dlatego, że widziano w nich najlepszy sposób zabezpieczenia wolności przed arbitralną siłą. Ludzie dość wcześnie się zorientowali, dokąd prowadzi w pełni „naturalny” instynktualizm. Proszę zwrócić uwagę, że słowo „naturalny”

umieściłem w cudzysłowie; wydaje mi się, że oznaką prawdziwej naturalności jest pełna pokory gotowość zaakceptowania naszego miejsca w świętej hierarchii. Taki jest w każdym razie chrześcijański punkt widzenia. Bóg stworzył naszą naturę, a stworzył ją w taki sposób, że może ona osiągnąć swą pełnię wyłącznie wskutek działania siły nadprzyrodzonej. Różnica pomiędzy tym stanowiskiem a stanowiskiem współczesnym to różnica pomiędzy postrzeganiem świata jako pustego w środku a postrzeganiem go jako zaczarowanej pustki.

DWA MIASTA

Przypuszczam jednak, że prawie niemożliwe jest uświadomienie świeckiemu społeczeństwu, iż jego jedyna nadzieja na osiągnięcie szczęścia leży akurat w tym, czemu jest ono najbardziej przeciwne. Próbowałem wykazać, że nasza własna wyjątkowość uzależniona jest od naszego stosunku do absolutnej wyjątkowości Boga, oraz że świat pozbawiony świętości to świat pozbawiony znaczenia. Trudno jednak przekonać o tym mieszkańca świeckiego miasta, jeśli wszystko, co widzi wokół siebie, przekonuje go, że nic nie jest zaplanowane, nic nie jest wyjątkowe, wszystko się tylko w przygnębiający sposób powtarza.

Często tak właśnie wyglądają miasta z poziomu ulicy. Lecz jeśli ktoś leciał kiedyś samolotem w nocy i spoglądał z góry na wielką aglomerację, na miasta i miasteczka połączone z sobą niczym ogromna sieć klejnotów, to z pewnością nie mógł oprzeć się wrażeniu, że wszystko to ma w końcu jakiś sens i cel. Wręcz bardzo piękny cel.

Jeśli przeżyliśmy kiedyś coś takiego, powinno to nam uświadomić, że bardzo różnie można patrzeć na miasta, tak jak i w ogóle na wszystko. Nawet teraz, według relacji apostołów i świętych, jesteśmy częścią ogromnej, wysadzanej klejnotami sieci zwanej Miastem Bożym.

ROZDZIAŁ XI

Duch amerykański

Amerykanizacja chrześcijaństwa

Potrzeba równowagi: forma i wiara

Spontaniczność a wyjątkowość

Mam nadzieję, że po lekturze poprzedniego rozdziału nie odnieśliście wrażenia, iż psychologia to jedyna bariera pomiędzy nami a sakralnym porządkiem rzeczywistości. Również duch amerykański zawiera pewne elementy, które działają na jego szkodę.

Wiele cech współczesnej psychologii ma swe źródło właśnie w duchu amerykańskim. Wyobraźmy sobie raczej statecznego i trzymającego się etykiety Europejczyka, który przybywa na stałe do Ameryki i stopniowo przejmuje nasz swobodniejszy styl życia i naszą niedbałość. Coś podobnego stało się z psychologią. Kiedy trafiła z Europy do Ameryki, przejęła ducha niezależności i równości.

Rzecz w tym, że wiele elementów, których możemy się dopatrzeć w psychologii, to po prostu typowo amerykańskie postawy. Pamiętam, że gdy czytałem fragment biografii Carla Rogersa, uderzył mnie jej niezaprzeczalny amerykański charakter. W pisemnej rezygnacji zaadresowanej do psychologów studenckich na Uniwersytecie Wisconsin można przeczytać między innymi: „Jest we mnie silna domieszka ducha amerykańskiego. Naprawdę płynie we mnie krew dawnego mieszkańca pogranicza. Czuję dziś coś takiego, że nie mogę się doczekać, kiedy zarzucę na plecy tobołek i opuszczę swoją osadę. Wprost świerzbi mnie, by ruszyć w drogę! (...) Myśl o odkrywaniu dzikich obszarów... działa jak wino w mej krwi...”

W rzeczywistości niczym się to nie różni od *Pieśni ze szlaku* Walta Whitmana, napisanej mniej więcej sto lat temu, lub od postawy pierwszych pionierów. A gdy przyjrzymy się ideom, których pionierem był Rogers, czyż nie wygląda to tak, jak gdyby w swej koncepcji własnego „ja” posłużył się on po prostu pojęciem ducha pogranicza? W jego psychologii spotykamy się z taką samą niecierpliwością w stosunku do społeczeństwa i utrwalonych zwyczajów, jak u odzianego w skórzaną kamizelkę człowieka z gór, podążającego na zachód. Kiedykolwiek czytam Rogersa lub innych psychologów o podobnych zapatrywaniach, stają mi przed oczami śmiałkowie przecierający nowe szlaki poprzez nieodkryte obszary własnego „ja”: pionierzy osobowości szukający nieograniczonych wewnętrznych możliwości. Przeczytajcie Rogersa, a będziecie wiedzieli, co mam na myśli. Owa nadzieja, że pogranicze

jest wciąż otwarte, leży u podstaw wielu idei psychologii popularnej, w niemałym stopniu tłumacząc jej popularność.

DUCH AMERYKAŃSKI

Współczesna psychologia amerykańska nie zawiera zatem niczego tak strasznie radykalnego. Z podobnymi opiniami można się było zetknąć na przestrzeni całej amerykańskiej historii, co tłumaczy dlaczego nie powinno nas dziwić, że między duchem amerykańskim a duchem *sacrum* nie zawsze panuje harmonia. Pojęcia hierarchii i posłuszeństwa nie są dobrze przyjmowane przez ludzi, którzy wydarli swą wolność monarchii. Pierwsi Amerykanie lubili mawiać: „Nie mamy tutaj żadnego króla!”, „Nie depcz mnie!” lub „Jeden człowiek jest równie dobry jak drugi”.

Stanowisko to dominuje po dziś dzień. Równość wciąż jest głównym hasłem naszego programu. Widać, że nie ma w nim miejsca na takie pojęcie, jak „hierarchia wartości (...) obiektywnie istniejąca we wszechświecie”.

Tego typu idee i postawy są bardzo dwuznaczne. Okazały się one dla nas korzystne na sto różnych sposobów, nie wymagających tu wyjaśnień; równocześnie jednak mogą być dla nas przeszkodą uniemożliwiającą uświadomienie sobie wspaniałości tego, co znajduje się poza sferą spisanych na papierze konstytucji oraz kabin do głosowania. Człowiek zbyt pojęty duchem amerykańskim lub duchem psychologii przypomina kogoś, kto wchodzi do lasu z włączonym radiem. Nie jest on w stanie usłyszeć delikatnego odgłosu liści, szepczących nad jego głową, lub strumienia szemrzącego u jego stóp. Wszystko zostaje zagłuszone przez niesione przez niego radio. Człowiek ów naruszył to, co jest warunkiem uświadomienia sobie inności oraz różnorodności przyrody. To samo odnosi się do człowieka, który przecenia znaczenie równości; jego stan ducha nie sprzyja zrozumieniu *sacrum*, dlatego jeśli *sacrum* znajdzie się blisko niego, nie zdoła go zauważyć.

AMERYKANIZACJA CHRZEŚCIJAŃSTWA

Uczyńmy kolejny krok — obawiam się, że wchodzimy tu na dość cienki lód albo w gąszcz jeżyn. Jest to jednak krok, który nakazuje logika. Chodzi o to, że tak jak na chrześcijaństwo silnie oddziałuje psychologia, tak samo wpływa na nie duch amerykański. Taka była teza klasycznej już dzisiaj książki wydanej w połowie lat pięćdziesiątych, zatytułowanej

Protestant, Catholic, Jew (Protestant, katolik, żyd). Jej autor, Will Herberg, zauważył, że każde z trzech najważniejszych wyznań w Ameryce, jakiegokolwiek byłyby między nimi różnice, nabrało typowo amerykańskiego charakteru. Przystosowując się do Amerykańskiego Stylu Życia, chrześcijanie i żydzi nauczyli się również dostosowywać do niego swą wiarę.

Innymi słowy, jeśli jesteś metodystą, katolikiem albo żydem i jeśli stwierdzasz, że pomiędzy twoją wiarą religijną a wiarą w amerykańską wizję życia istnieje rozbieżność lub konflikt, najprawdopodobniej zbagatelizujesz te elementy swojej wiary, które nie pasują do nich obu, a nacisk położysz na elementy pasujące. Nie będziesz tego robić świadomie, jednak da się zauważyć ku temu silne dążenie. Po dziesięcioleciach asymilacji, twoja wiara będzie miała w sobie jakąś wyraźnie demokratyczną jakość. Będzie miała w sobie coś z niezależnego ducha amerykańskiego i z pełnej optymizmu amerykańskiej wiary w pozytywne myślenie, a może nawet coś z ducha amerykańskiej przedsiębiorczości.

POTRZEBA RÓWNOWAGI: FORMA I WIARA

Widać zatem wyraźnie, w jaki sposób amerykański chrześcijanin został przyciągnięty do Kościołów, które rezygnują z formy i struktury na rzecz spontaniczności i równości. Nie jest to zjawisko typowe jedynie dla protestantyzmu. Można spotkać katolików, którzy chcą odprawiać mszę w sposób nieformalny, przy kuchennym stole, lub odbywają charyzmatyczne spotkania modlitewne, które — jeśli chodzi o pozbawioną struktury spontaniczność — mogą konkurować z którymkolwiek Kościołem zielonoświątkowym. Naturalnie, nie chcemy przyglądać się tym zjawiskom w kategoriach czysto socjologicznych, po to, by dojść do wniosku, że wszystko to jest wynikiem wpływu ducha amerykańskiego. Świadczyłoby to o niedocenianiu wpływu Ducha Świętego. Chcę raczej mówić o równowadze, jaką muszą zachować chrześcijanie.

Jedną ze stałych pokus, na jakie narażone są wszystkie Kościoły chrześcijańskie, jest pogrążenie się w jałowym formalizmie, dlatego też jednym ze stałych wymogów życia chrześcijańskiego jest zwracanie uwagi na znaki dawane przez Ducha Bożego — cały czas przy tym pamiętając, że to wszechmogącemu Bogu oddajemy cześć i nie śmiemy zwracać się do Niego w sposób niedbały. Należy nieustannie opierać się pokusie konwencjonalizmu, a jednocześnie, nawet na moment, nie pozwolić sobie na przekonanie, że Bóg to istota, do której można podchodzić w duchu rozchętanego egalitaryzmu. Każda epoka i każde społeczeństwo ma jednak swoje zagrożenia, choć nie wydaje się, by to formalizm był dziś dla

nas bezpośrednim niebezpieczeństwem. Zagrożenie, jak mi się wydaje, polega na tym, że jeśli nie zachowamy ostrożności, to coraz bardziej będziemy dryfować ku takiej postawie wobec Boga, która przypomina trzymanie nóg na stole, jak gdybyśmy przesiadywali z Nim w rajskim pałacu, opowiadając sobie historyjki o życiu na Ziemi. Słowem, nawet chrześcijanie mogą zatracić pojęcie *sacrum*.

Nie wolno nam sądzić, że skoro jesteśmy chrześcijanami, to jesteśmy całkowicie uodpornieni na modne trendy. Rzecz w tym, że chrześcijanie często padają ofiarą tych samych trzech nawyków myślowych, które sprawiają, że społeczeństwo psychologiczne jako całość staje się niezdolne do uświadomienia sobie świętości Boga i Jego dzieła. Jak to wygląda w przypadku chrześcijan?

CHRZEŚCIJAŃSKI REDUKCJONIZM

Przyjrzyjmy się najpierw redukcjonizmowi. Bóg nie stworzył prostego świata, i nie obdarzył nas prostą religią. Teoria Wcielenia jest równie subtelna, jak teoria dotycząca protonów i elektronów, nawet jeszcze bardziej. Większość chrześcijan zdaje sobie z tego sprawę, dlatego stara się zachować całą wiarę w stanie nienaruszonym, wraz z jej wszystkimi trudnymi i tajemniczymi elementami, ponieważ to, co otrzymaliśmy jest przecież świętym Słowem Bożym, które należy przekazać dalej w takiej postaci, w jakiej zostało nam dane. Mimo to spotykamy chrześcijan, którzy chcą wiarę sprowadzić do kilku formułek, jak gdyby problem wiary był prosty niczym przepis na szarlotkę. Są tacy głosiciele Słowa, którzy posłanie Ewangelii zredukowali do ewangelii społecznej lub ewangelii sukcesu, inaczej ewangelii pozytywnego myślenia, albo też tacy, którzy sprowadzili Chrystusa do poziomu dobrego partnera w interesach.

Istnieje nawet takie niebezpieczeństwo, że zbyt skupimy się na Chrystusie jako naszym przyjacielu. Prawda, że Chrystus jest naszym bratem i przyjacielem, lecz jest to fakt, który powinien skłaniać nas do małomówności i nieśmiałości; popełniamy błąd sądząc, że nie jest On niczym więcej. W końcu, jeśli jest On tylko przyjacielem, nie może nas zbawić. Oczywiście, znacznie wygodniej jest myśleć o Chrystusie jako przyjacielu. Przekonacie się jednak, że kiedy człowiek sprowadza Chrystusa tylko do tej roli, może stracić z pola widzenia Jego najwyższą chwałę. Jego stosunek do Chrystusa zaczyna wówczas przypominać stosunek niektórych ludzi do sławnych osób, z którymi —jak im się wydaje— są w kontakcie. Większość z nas spotkała się z osobami, które mają w zwyczaju mówić rzeczy typu: „Pan

przemówił do mnie i kazał mi zrobić to czy tamto" lub „Pan chce, byś zrobił to albo tamto". Normalną reakcją na coś takiego jest pewne rozdrażnienie. Kim ich zdaniem jest Bóg? Skąd wzięła się w nich ta łatwa poufałość w stosunku do Niego? Czy myślą, że mają Go w kieszeni? Osobisty związek z Panem Jezusem —jak najbardziej. Lecz zachowajmy przy tym choć odrobinę pokory i nie trywializujmy tego pojęcia poprzez redukcję słowa osobisty do tego, co znaczy ono na co dzień. Wydaje mi się, że za każdym razem, kiedy mamy ochotę sprowadzić Boga do poziomu tylko odrobinę wyższego niż nasz własny, warto przypomnieć sobie pytanie, jakie Wszechmogący zadał Hiobowi, kiedy ten ośmielił się z Nim dyskutować: „Gdzieś był, gdy zakładałem ziemię?" Hiob, który uświadomił sobie, że nie było go wówczas nigdzie w pobliżu, od tej pory roztropnie zachowywał milczenie.

CHRZEŚCIJAŃSKI SUBIEKTYWIZM

Drugi nawyk, o którym mówiliśmy w poprzednim rozdziale to subiektywizm. Nasza krytyka psychologii skierowana była przeciwko nawykowi myślowemu, wedle którego „mogę wierzyć, w co mi się podoba". Będąc chrześcijanami, powinniśmy uważać, by nie przyjąć następującego stanowiska: „nikt oprócz Ducha Świętego nie będzie mi mówił, w co mam wierzyć". Są chrześcijanie, których w rzeczywistości bardziej zajmuje ochrona swej osobistej niezależności niż wsłuchiwanie się w Ducha Świętego. Można to ująć inaczej, mówiąc, że niektórzy chrześcijanie myślą Ducha Świętego z duchem amerykańskim; to znaczy myślą, że również w religii jest miejsce na równość i demokrację oraz na to, by wybrać się w drogę w poszukiwaniu nowych doznań, kiedy tylko duch ten będzie ich do tego skłaniał.

W gruncie rzeczy doznanie jest tutaj słowem kluczowym. Dla niektórych chrześcijan ma ono większe znaczenie niż Pismo święte. Sądzę, że powodem tego jest fakt, iż w naszym społeczeństwie czyjeś osobiste doznania nie podlegają krytyce ani osądowi. Jeśli mówię ci, że doznałem prawdziwego oświecenia, to kim ty właściwie jesteś, by twierdzić, że to nieprawda? Kwestionowanie wiarygodności wewnętrznych uczuć drugiej osoby wydaje się niedemokratyczne. Mimo to, zdając się jedynie na to kryterium, ryzykujemy, że uczynimy z religii zjawisko czysto subiektywne. Mam nadzieję, że dostrzecie tu analogię do myślenia na sposób świecki: są osoby, które wierzą w skuteczne działanie grup wspólnotowych, medytacji, czy narkotyków, ponieważ dostarczyły im one silnych przeżyć. Oczywiście nie ma z nimi jak polemizować. Będą po prostu odwoływać się do swoich doznań. Wiedzą, że są one prawdziwe, i tyle.

W przypadku tego typu osób można również zauważyć, że postawie tej zwykle towarzyszy inna, polegająca na przypisywaniu sobie czegoś w rodzaju charyzmatycznej zdolności wykraczania poza zwykłe ścieżki ludzkie. Nie dla nich powolne posuwanie się krok za krokiem w pochodzie pielgrzymów. Jeśli tylko uda im się znaleźć skrót prowadzący do świętej góry lub zdobyć próbkę rajskiego pokarmu, możemy być pewni, że skorzystają z nich i będą uważać, że jest to po prostu coś, co im się należy.

Osoby, o których mówimy uważają, że mają prawo czerpać tyle doznań, ile się tylko da. Dla niektórych staje się to jedynym celem w życiu. Gromadzą doznania, tak jak inni gromadzą antyki. Chrześcijanie nie są aż tak podatni na tę pokusę, mimo to pewna pokusa istnieje. Właściwą na nią odpowiedzią jest przypomnienie sobie, że nasz Pan powiedział: „Jeżeli Mnie miłujecie, będziecie zachowywać moje przykazania”, nie zaś „Jeżeli Mnie miłujecie, będziecie oddawać się wspaniałym doznaniom wewnętrznym”.

Jeśli zatem silnie odczuwacie obecność Boga w waszym życiu, wcale nie twierdzę, że chodzi tu o coś innego niż obecność Boga. Jeśli jednak okazuje się, że sami próbujecie wywołać te doznania lub jeśli dochodzicie do momentu, kiedy wam się wydaje, że zwyczajne sposoby zwracania się do Boga to marnowanie czasu, oznacza to, że nadszedł właściwy moment, aby się nad sobą zastanowić. Jeśli okazuje się, że nieustannie eksperymentujecie z tak niezwykłą pobożnością lub tak wyjątkowym zjawiskiem religijnym, musicie sobie zadać kilka pytań. Duch eksperymentatorski świetnie się nadaje do wielu rzeczy, jeśli jednak mamy się przyłączyć do wielkiego świętego tańca, musimy najpierw nauczyć się jego podstawowych kroków, zanim zaczniemy myśleć o solowych improwizacjach.

Nasza postawa musi tu być bardziej perspektywiczna. Św. Paweł uważał, że „cierpień terażniejszych nie można stawiać na równi z chwałą, która ma się w nas objawić”. Sądzę, że to samo można powiedzieć o naszych obecnych uczuciach religijnego podniecenia. Czekają nas coś, co je znacznie przerasta. Wydaje mi się jednak, że najlepszą do tego drogą jest pokorna cześć i uwielbienie, nie zaś poszukiwanie emocjonalnych przeżyć.

CHRZEŚCIJANIE I SPONTANICZNOŚĆ

W ten sposób przechodzimy do omówienia trzeciego nawyku myślowego — nieufności wobec ról i towarzyszącemu jej naciskowi, kładzionemu na spontaniczność. Jak zauważyliśmy, wielu psychologów lekceważąco podchodzi do odgrywania ról. Podobnie jednak czyni wielu chrześcijan. Duch nonkonformizmu był zawsze obecny w niektórych odłamach chrześcijaństwa. Jego godne podziwu oblicze przejawia się w odmowie

podporządkowania się wartościom doczesnym. Często jednak oznacza on również zwykle odrzucenie wszelkich form i etykiety. Najpopularniejszą „formą”, jaką ta nieformalna postawa przyjmuje, jest pozbawione wszelkiej struktury spotkanie modlitewne oraz improwizowana modlitwa. Można nawet spotkać chrześcijan, którzy nie odmawiają Modlitwy Pańskiej, gdyż jest ona zbyt formalna, a z pewnością spotkać można wielu takich, którzy modlitwę przed jedzeniem odmawiają za każdym razem inaczej, z uwagi na wielkie znaczenie, jakie przywiązują do spontaniczności.

Ponieważ spontaniczne emocje rodzą się bez wyraźnej zewnętrznej przyczyny, są one cenione jako dowód działania Ducha Świętego. Niewątpliwie, coś takiego często ma miejsce. Chciałbym jednak zauważyć, że jest to kolejny przypadek, kiedy wartości chrześcijańskie w podejrzanym sposób zbiegają się z wartościami kulturowymi. Nie znaczy to, że w Europie nie można by znaleźć sekt chrześcijańskich, które są nonkonformistyczne i w sposób spontaniczny dają wyraz swej gorliwości. Można — zarówno przed, jak i po Reformacji. Jednak w Ameryce ten rodzaj chrześcijaństwa stał się bardziej rozpowszechniony. Oto definicja spontaniczności, jaką można znaleźć w słowniku: „swobodny i naturalny w obejściu lub zachowaniu” — to niemalże definicja amerykańskiego charakteru. Pasuje ona do naszego wyobrażenia o sobie samych jako „zwykłych ludziach”. Otóż postawa taka nie razi w rozmowie sąsiadów przy płocie lub nawet na zebraniu mieszkańców miasteczka w Nowej Anglii, w końcu „nie mamy tu żadnego króla”. Nie możemy jednak pozwolić, by miała ona wpływ na cały nasz pogląd na świat, ponieważ w rzeczywistości mamy Króla w niebie, musimy zatem zadać sobie pytanie, czy jest to aby właściwy sposób zbliżania się do Niego.

SPONTANICZNOŚĆ A WYJĄTKOWOŚĆ

Jak widać, znowu wracam do tematu *sacrum*, a także do bardziej konkretnej uwagi, że egalitarne i nieformalne nawyki myślowe mogą podważyć sakralny porządek rzeczywistości. Chciałbym się tu zająć dwiema kwestiami.

Pierwsza to niebezpieczeństwo zapomnienia, że *sacrum* jest czymś szczególnym i oddzielnym od wszystkiego innego. Katolików i przestrzegających ceremoniału protestantów często się krytykuje za stosowanie szat liturgicznych, świec i skomplikowanych gestów. Lecz jakże inaczej mamy wskazać na wyjątkowość obecności Boga? Prawdą jest, że bez tej oprawy, towarzyszącej naszej pobożności, Bóg może się łatwo obejść. Ale my? Uroczysta forma ma nam, między innymi, przypominać o tym, że znajdujemy się w

obecności niezwykle tajemnic. Życie Kościoła to nie życie codzienne: nie jest to funkcjonowanie jak w dni powszednie. To świat *sacrum*, a nie *profanum*. Czyż nie ma zatem sensu zachowanie jego odrębności wobec świata *profanum*. Czy pastor lub ksiądz ma być w kościele ubrany tak, jak człowiek z ulicy? Jeśli tak, to czy chcielibyście żeby miał na sobie bermudy? Jeśli nie, to dlaczego? Czy wyjątkowość i powaga jego powołania nie wymagają pewnej etykiety? Nie zamierzam wdawać się tu w dyskusję na temat kapłaństwa wszystkich wiernych. Chcę jedynie zwrócić uwagę na zagrożenia wynikające z przypuszczenia, że oddawanie czci Bogu niczym się nie różni od innych czynności. Bo jeśli jest to prawdą, to po co robić wokół tego jakiegokolwiek zamieszanie?

Druga kwestia wiąże się z pierwszą. Jak wiemy, spontaniczne oddawanie kultu często sprowadza się do emocjonalizmu; wydaje się, że czasami wyłącznie do okazywania uczuć. Jest to bez wątpienia dokładne przeciwieństwo wyniosłego formalizmu, który można zaobserwować w niektórych Kościołach. A mimo to, czyż nie jest to na swój sposób pewna forma pochłonięcia własną osobą? Czy nie chodzi tu czasami o to, by — zamiast zapomnieć się w rytuale — usytuować się w samym centrum uwagi?

Tak się niestety składa, że dla niektórych osób nabożeństwo jest przede wszystkim środkiem służącym osobistej ekspresji i demonstrowaniu własnej indywidualności — a więc zachowaniom, które poddaliśmyby pewnie krytyce, gdybyśmy je dostrzegli w świeckiej grupie wspólnotowej. Jeśli skłonni jesteśmy bronić tego jako bardziej autentycznej formy kultu, to pamiętajmy, że „autentyczność” to także hasło lansowane przez filozofię wspólnotowości. Musimy się tu zastanowić, co naprawdę znaczy słowo „autentyczny”.

Czy człowiek jest najbardziej autentyczny wówczas, gdy daje upust swoim emocjom? Czy wówczas, gdy jest pijany i wyraża się bez skrępowania i umiaru? Czy nie jest raczej tak, że gdy myślimy o podstawowych przymiotach osobistych naszego przyjaciela lub krewnego, myślimy raczej o tych jego reakcjach, które są przewidywalne, zwyczajowe, głęboko zakorzenione w jego naturze, niż o tych zewnętrznych elementach jego osobowości, które narażone są na gwałtowne ataki płaczu lub gadatliwości? Podobnie Pana Boga bardziej interesują podstawowe cechy charakteru, z którymi człowiek przychodzi do kościoła niż jego aktualny stan emocjonalny. Czy zatem nie powinniśmy dążyć ku takiej formie kultu, która jest również stała, przewidywalna i niezależna od chwiejnych nastrojów jednostki? W centrum uwagi powinno się znaleźć to, co Chrystus uczynił dla nas, nie zaś to, co my robimy dla Niego.

Spotkania modlitewne lub święte obrzędy potrafią wywierać ogromny wpływ na nasze emocje, jeśli jednak stanie się to dla nas czymś najważniejszym, nie zrozumiemy istoty

rzeczy. *Sacrum* musi mieć obiektywny i szczególny charakter, niezależny od naszej zdolności pobudzania się czy inwencji twórczej pastora. Nie jesteśmy jeszcze w raju i nie mamy przed oczami oblicza Boga niczym aniołowie. Oddając Mu cześć, wciąż potrzebujemy wszelkiego dostępnego wsparcia. Tak jest w przypadku wszystkich najważniejszych wydarzeń, w których człowiek bierze udział. Niemądre są próby stawienia im czoła poprzez odwoływanie się jedynie do naszych emocji. Przy ślubach, pogrzebach i innych ważnych uroczystościach słusznie zdajemy się na pomoc zwyczajów i obrzędów, i to nie dlatego, że jesteśmy chłodnymi formalistami, lecz dlatego, że jesteśmy tylko ludźmi, którzy stają w obliczu wielkich tajemnic.

KOŁA WOZU I LITURGIA

Jeśli wszystko to brzmi zbyt przesadnie (lub wydaje się zbyt podkreślać znaczenie kościelnego ceremoniału), zastanówmy się nad zagadnieniem praktycznym, takim jak zbiorowy śpiew. Oto sytuacja, kiedy pogrążamy się w rytuale — nie uczestniczy w tym tylko jedna osoba — a mimo to czujemy emocjonalne uniesienie. Podporządkowując się formie (słowom, melodii), możemy doświadczać intensywności uczuć, jakiej w przeciwnym razie byśmy pewnie nie doświadczali. A nasza modlitwa zostaje z tego powodu zwielowrotniona. Spontaniczność — która, jak przypuszczam, w tym wypadku oznaczałaby, że każdy śpiewa wybraną przez siebie pieśń lub nuci ulubioną piosenkę z listy przebojów — zupełnie by ją przekreśliła. Demokracji stałoby się zadość, ale byłby to błazeński sposób odprawiania liturgii.

Raj to miejsce, w którym panuje prawdziwa wolność, ale nie demokracja. Chodzenie własnymi ścieżkami nie jest najważniejszą z praktykowanych tam cnót. I choć posiadanie ducha amerykańskiego nie zawsze jest rzeczą złą, to nie ten duch tam dominuje.

Każdy, kto wychował się w Ameryce, był od urodzenia osvajany z widokiem kół wozu jadącego na zachód, dźwiękiem gwizdającego parowozu oraz pieśniami o kowbojach, podążających za swą włóczęgowską gwiazdą. Jednocześnie pokutuje w nas przekonanie, że jeśli ktoś nie krzyczy lub się nie uśmiecha, nie jest z nami szczery. Tylko nielicznym udało się całkowicie uniknąć tego wpływu. Idea spontaniczności pogranicza wciąż nam gdzieś kołacze po głowach i zrećnie przywdziewa maskę chrześcijaństwa. Naszym zadaniem jako chrześcijan jest dopilnowanie, by tak się nie działo.

ROZDZIAŁ XII
Świeckie pokusy
Laicyzacja chrześcijan
Los Angeles i Loudun
Wiara czy uczucia?

Z tego, co powiedzieliśmy dotychczas wynika, że chrześcijanie muszą uważać, by nie mylić swej wiary z ideami typowymi zarówno dla psychologii, jak i określonej kultury. Zastanówmy się, jakie konsekwencje dla chrześcijaństwa może mieć dopuszczenie do takiej pomyłki. Najpierw jednak powinienem wyjaśnić ewentualne nieporozumienie.

Poddałem krytyce pionierską postawę chrześcijan, tymczasem kilka rozdziałów wcześniej mówiłem o chrześcijanach jako wędrowcach, którzy w każdej chwili muszą być gotowi zarzucić tobolek na plecy. Pewnie macie ochotę zapytać: „Na czym więc polega różnica?” Różnica tkwi w samych tych stanowiskach. Albo jesteśmy jak ludzie pogranicza i mamy Boga za prezydenta, który, będąc zwolennikiem leseferyzmu, pozostawił nam swobodę działania w odkrywaniu i otwieraniu niezbadanych obszarów religii, albo jesteśmy jak pielgrzymi z książki Johna Bunyana, a Bóg jest zarówno celem naszej wędrówki, jak i naszym przewodnikiem. Różnica jest taka, że w pierwszym przypadku możemy równie dobrze oddalać się od Boga. Postawa ta nie sprzyja okazywaniu czci. I podczas, gdy może z pewną dumą mówimy o lekceważącym duchu amerykańskim, powinniśmy pamiętać, że lekceważący duch chrześcijański to sprzeczność sama w sobie.

LAICYZACJA CHRZEŚCIJAN

Z praktycznego punktu widzenia, lekceważenie *sacrum*, wynikające czy to z nadmiaru psychologii, czy nadmiaru amerykańskiego ducha jest o tyle istotne, że chodzi tu o coraz większe upodabnianie chrześcijaństwa do jego świeckiego otoczenia. Czy to brzmi dziwnie? Jesteśmy przyzwyczajeni do niedwuznacznych potępień laicyzmu ze strony chrześcijan; czyż nie oznaczałoby to, że dysponują przeciwko niemu skuteczną bronią? Odpowiedź brzmi: tak, jeśli przez laicyzm rozumiemy jedynie orzeczenia sądowe, sprzeciwiające się praktykom religijnym lub propagowanie wątpliwych wartości w telewizji. Laicyzm to jednak coś więcej. Przede wszystkim oznacza on przykładanie do wszystkiego raczej kryteriów świeckich lub

doczesnych niż sakralnych. Pod tym względem różnica pomiędzy umysłem chrześcijańskim a świeckim będzie się często wydawała niewielka.

Problem ten można zobrazować z jednej strony przy pomocy kaznodziejów, którzy przedstawiają chrześcijaństwo jako klucz do zdrowia fizycznego lub do sukcesu w życiu doczesnym. Nie ma nic złego w tym, że ktoś chce odnosić sukcesy lub cieszyć się zdrowiem, jednak kryteria te powinno się traktować przede wszystkim jako świeckie. Z drugiej strony, nie jest to tylko problem chrześcijan myślących w sposób konserwatywny. Liberalny chrześcijanin, któremu leży na sercu głównie sprawiedliwość społeczna lub wyzwolenie krajów Trzeciego Świata, również stosuje kryteria o charakterze doczesnym — i są to niemalże te same kryteria, a mianowicie postęp materialny oraz społeczny. Zazwyczaj i lewa, i prawa strona obiecuje dobremu chrześcijaninowi nagrodę, jaką jest doczesne samospełnienie. Należy również odnotować, że u obydwu można zaobserwować typowo amerykańską niecierpliwość w oczekiwaniu na rezultaty, zwłaszcza na rezultaty o charakterze globalnym.

Praktyka, polegająca na stosowaniu świeckich metod do osiągania celów wiecznych, jest mniej groźna niż stosowanie świeckich kryteriów, lecz mimo to potencjalnie szkodliwa. Istnieje na przykład niepokojące podobieństwo pomiędzy metodami stosowanymi przez telewizyjnych kaznodziejów a tymi, które stosuje się w zwykłych *talk shows* lub turniejach telewizyjnych. Mamy tu numery telefonów, pod które można bezpłatnie zadzwonić, specjalne taśmy, które zostaną nam natychmiast przysłane, głosy poparcia ze strony sportowców i businessmanów, piosenkarzy w stylu Las Vegas, których piosenki różnią się od piosenek świeckich jedynie tekstem. Mówi się, że jest to potrzebne. Słyszymy, że „Musimy być na czasie” lub „Musimy trafić do młodych ludzi”. Najbardziej przekonujące tłumaczenie to: „Jest to taktyka, która się sprawdza”.

Może się wydawać, że przesadzam. Ktoś zaprotestuje mówiąc, że przecież w gitarach, *talk shows*, śpiewakach w stylu Las Vegas nie ma nic złego. Rzeczy te stały się normalnym składnikiem naszego życia codziennego. Lecz o to właśnie chodzi. Są one częścią zwykłego świata (lub zwykłej rozrywki), więc jeśli w ogóle będziemy chcieli z nich korzystać, to tylko w niewielkim stopniu. Jeśli z tym przesadzimy, szybko stracimy z pola widzenia ważną i świętą rzecz, jaką jest wiara chrześcijańska.

CIĄGLE TO SAMO CZY COS INNEGO?

O czymś jeszcze musimy pamiętać. Ludzie zwracają się ku wierze chrześcijańskiej przede wszystkim dlatego, że szukają czegoś więcej niż tylko tego, co ma do zaproponowania świat laicki; dalsze dawanie im tego samego to wyświadczenie niedźwiedziej przysługi.

Jeśli chodzi o argument mówiący o trafianiu do młodych ludzi poprzez bycie na czasie — cóż, metody tej już próbowano i zakończyło się to wielkim niepowodzeniem. Kiedy protestanci i liberalnie nastawieni katolicy nauczyciele próbowali być na czasie, udało im się jedynie przyspieszyć odchodzenie młodzieży od Kościoła. Wydawcy pewnego podręcznika katolickiego byli na czasie, zamieszczając w nim trzy strony porad zaczerpniętych z książki Carla Rogersa *On Becoming Partners* (O stawaniu się partnerami). Posłużyły one jako punkt wyjścia do rozdziału poświęconego małżeństwu. Równie na czasie było zaprezentowanie odcinka popularnego telewizyjnego *show* w ramach innego cyklu na ten sam temat. Na czasie jest też, jak przypuszczam, zamieszczanie w chrześcijańskich książkach quizów psychologicznych, prowadzenie w szkołkach niedzielnych klubów dyskusyjnych, w których stosuje się model wspólnotowy lub metodę polegającą na porządkowaniu wartości, oraz uczenie „umiejętności podejmowania decyzji”. Wszystko to jest nowoczesne i zgodne z obowiązującymi trendami, lecz cóż to ma wspólnego z chrześcijaństwem, które jest ponadczasowe? Co więcej, ton tego jest zupełnie niewłaściwy: jest zbyt poufały i świecki, zbyt niedbały i lekceważący. Nie jest to ton sakralny.

Wreszcie, takie podejście się nie sprawdza. Wszystko wskazuje na to, że jedynym skutkiem prób modernizacji jest osłabienie wiary członków Kościoła. Próby te nie owocują też pozyskaniem nowych członków. Jeśli kończy się tylko na tym, że mówimy światu to, co już od dawna wie, to nie będzie mu się dłużej chciało nas słuchać.

LOS ANGELES I LOUDUN

Z klasycznym przykładem tego niepoprawnego pragnienia bycia na czasie mieliśmy do czynienia w Los Angeles w 1967 roku, kiedy Carla Rogersa oraz jego kolegów z Western Behavioral Science Institute poproszono o eksperymentalne wprowadzenie „edukacyjnych innowacji” do dużej sieci szkół zatrudniających zakonnice. Efektem był intensywny program zajęć w ramach grup wspólnotowych, trwający ponad dwa lata. W punkcie wyjścia był on jedną z owych prób podejmowanych w dobrej wierze, o których mówiliśmy wcześniej, jednak końcowy rezultat przypominał skutki zaproszenia diabła do klasztoru urszulanek w Loudun. Na początku eksperymentu sieć zatrudniała sześćset zakonnice w pięćdziesięciu dziewięciu szkołach: jednym college'u, ośmiu szkołach średnich oraz pięćdziesięciu szkołach

podstawowych. Według Williama Coulsona, jednego z kierujących przedsięwzięciem, rok po zakończeniu eksperymentu „istniały dwie szkoły i nie pozostała żadna zakonnica”. Zakonnice zerwały z Kościołem katolickim i założyły zakon świecki. Tam z kolei wiele z nich całkowicie porzuciło życie religijne.

Chociaż na wydarzenia prowadzące do ich odejścia miało wpływ kilka czynników, między innymi konserwatyzm archidiecezji Los Angeles oraz narastająca fala feminizmu w niektórych zakonach katolickich, nie ulega kwestii, że to właśnie wpływ Rogersa odegrał tu znaczącą, jeśli nie decydującą rolę. Coulson, w którym rezultat przedsięwzięcia zdaje się rodzić mieszane uczucia, całą zasługę (lub winę) przypisuje grupie Rogersa. „Coś nam się udało zrobić”, zauważył. Zapoznawszy się ze stenogramami fragmentów sesji wspólnotowych, odnoszę wrażenie, że Rogers zdołał doprowadzić do czegoś w rodzaju nawrócenia. Wiele zakonnice wyznało, że nigdy jeszcze nie czuły się tak bardzo uduchowione. Ponieważ ja sam dałem się niejako nawrócić na wiarę psychologii humanistycznej, jedynie czytając Rogersa, bez trudu potrafię sobie wyobrazić, jak wielką siłę oddziaływania musiał mieć osobisty kontakt trwający dwa lata.

MOJŻESZ I „JA-IZM”

Nie wspominałbym o tym zdarzeniu, gdyby nie to, że Kościół katolicki podejmuje obecnie kroki, mające na celu naprawienie szkód spowodowanych przez laicyzację w ciągu ostatnich dwudziestu lat. Nie wspominałbym o nim również, gdybym nie sądził, że dotyczy on Kościoła w ogóle. Czytelnicy będący ewangelikami sądzą pewnie, że historia ta nie odnosi się do nich. Jeśli tak, to powinni jeszcze raz się nad tym zastanowić, ponieważ dokładnie takie same teologiczne i psychologiczne eksperymenty, jakim dziesięć i piętnaście lat temu poddawali się katolicy, wystawiają dziś na próbę Kościół ewangelicki.

Jakiś czas temu, będąc w chrześcijańskiej księgarni, sięgnąłem po książeczkę z ewangelickiej serii „Studia Biblijne dla Młodzieży”. W pierwszym rozdziale pojawia się pytanie: „Jak sądzisz, czy Mojżesz miał korzystny czy niekorzystny wizerunek własny?” Po czym następuje kilka kolejnych pytań dotyczących wizerunku własnego Mojżesza oraz wizerunku własnego czytelnika.

Czytający to chłopiec lub dziewczyna nie utraci z tego powodu wiary. Odniesie jednak wrażenie, że celem życia Mojżesza jest przede wszystkim nabranie poczucia własnej wartości. (Z pewnego katolickiego tekstu dla szkół wynika, że jedynym powodem nawrócenia

św. Pawła była chęć obdarzenia go poczuciem własnej wartości oraz samowiedzą.)

W dalszej części książeczki, po zapoznaniu się ze skalą ocen i interpretacji ćwiczenia, uczeń zostaje poproszony o wyrażenie swych opinii na temat kilku kwestii doktrynalnych, między innymi takich: „Wierzę, że Jezus umarł i powstał z martwych” kontra „Nie wierzę, że po swojej śmierci Jezus powrócił do życia”. Uczeń wskazuje, w co wierzy, stawiając znaczek „x” na skali rozciągającej się pomiędzy dwiema opcjami. W innym wypadku należy wybrać pomiędzy „Wierzę, że Jezus to Syn Boży” a „Wierzę, że Jezus był poczciwym człowiekiem, wiodącym poczciwe życie”.

Co o tym sądzić? Bez wątpienia autorzy są głęboko wierzącymi chrześcijanami. Jednocześnie jednak z wszystkich sił próbują uwzględnić psychologiczny punkt widzenia. W rezultacie książka przemawia dwoma głosami: prezentacji tematyki chrześcijańskiej towarzyszy tematyka lub technika psychologiczna, która tę pierwszą tylko niweczy. Pomysł przedstawiania prawd wiary jako kwestii wyboru wyraziście ujawnia wpływ psychologii humanistycznej. Ponieważ psychologowie humanistyczni są przekonani, że prawda jest osobistym wytworem człowieka, zmuszeni są z tej techniki ciągle korzystać. Nie pozostaje im nic innego, jak tylko zachęcać uczniów do wybierania swych własnych prawd i wartości. Nie jest to jednak chrześcijański punkt widzenia w kwestii prawdy. Techniki te, jeśli się je stosuje w chrześcijańskiej edukacji, w subtelny sposób wmawiają młodym ludziom, że wiara to kwestia osobistej opinii.

Autorzy ci nie są, niestety, świadomi, że nie da się pogodzić obu tych stanowisk. Zależy im jedynie na tym, by „trafić” do uczniów. Jednak to, co faktycznie trafia do ucznia jest czymś zupełnie innym niż sądzą.

Gdzieś głębiej, skumulowane oddziaływanie tej książeczki i jej podobnych, polega na wymazywaniu z umysłu ucznia wszystkiego, co nadprzyrodzone. Poruszyłem niedawno ten problem w trochę innym kontekście, a to, co tam powiedziałem, zdaje się pasować i tutaj: „Ciągłe wspomnianie o braku komunikacji, podejmowaniu ryzyka, zaangażowaniu, podejmowaniu decyzji, byciu osobą, związkach ja-ty, nawiązywaniu kontaktu, odsłanianiu samego siebie, świadomości i asertywności — ma oznaczać, że wszystkie głębokie tajemnice wiary da się wyjaśnić przy pomocy świeckich, psychologicznych kategorii. Mało tego, nie ma sensu mówienie, że istnieją jakiegokolwiek głębokie tajemnice — że mogą istnieć tak niesamowite i niezgłębione elementy wiary, że znajdują się one daleko poza zasięgiem nauk społecznych”.

Należy jednak zauważyć, że niezależnie od tego, w jakim stopniu naukom społecznym udało się zamazać prawdziwą naturę wiary, ma to związek nie tyle z siłą ich argumentów, co

z ich oddziaływaniem emocjonalnym. Wzrost popularności psychologii kosztem życia chrześcijańskiego wynika przede wszystkim ze zdolności zaoferowania przez psychologię doznań emocjonalnych, na tyle bliskich przeżywaniu wiary, że są one brane za samą wiarę. Ponieważ ewangelicy oraz członkowie ruchu charyzmatycznego kładą tak wielki nacisk na przeżywanie wiary, są oni szczególnie podatni na owe imitacje. Ten element rzeczywistości, który chrześcijanin uważa za najbardziej atrakcyjny, często wydaje się podobny do samego chrześcijaństwa. Dużo się tam mówi o braterstwie, o miłości i o duchu. Brzmi dobrze. Dobrze się z tym czujemy. Warto sobie jednak przypomnieć w obliczu takiej pokusy, że *sacrum* może tak samo utonąć w studni ciepłych uczuć, jak uschnąć na świeckiej pustyni.

WIARA CZY UCZUCIA?

Kiedy znaczenie naszej wiary redukujemy do uczuć, jakie ona w nas rodzi, powracamy znowu do kryterium świeckiego, czyli psychologicznego. Z pewnością nie jest to standard, o jaki chodzi chrześcijanom, ponieważ wśród wielu rzeczy nie bierze on pod uwagę czarnej nocy naszej duszy — tych mrocznych, jałowych okresów wiary, które nawiedzają wielu chrześcijan (chciałoby się rzec — najlepszych chrześcijan) i trwają całymi miesiącami, a nawet latami. Święci i mistycy poświadczają, że jest to dla nich normalne przeżycie, a mimo to, jeśli zastosować kryterium bycia zadowolonym z siebie, jest to pewne odchylenie. Sądzę, że osoba rozsądna będzie zmuszona odrzucić to kryterium, albowiem zaakceptowanie go oznacza nie tylko odrzucenie wielowiekowych doświadczeń dobrych chrześcijan, lecz także odrzucenie doświadczenia Chrystusa, który wisząc na krzyżu przeżył nieobecność swego Ojca. Mamy wierzyć w Boga nie tylko wtedy, gdy czujemy Jego obecność. Prawdziwą próbą dla naszej wiary jest moment, gdy w ogóle jej nie odczuwamy. Szkocki mistyk, George MacDonald, którego C. S. Lewis uważał za swego duchowego ojca, pisał na ten temat: „Ten człowiek jest doskonały w wierze, który będąc całkowicie pozbawionym uczuć i pragnień, żarliwości i dążeń, czując ciężar ponurych myśli, niepowodzeń, zaniedbań i słabej pamięci — potrafi podejść do Boga i powiedzieć Mu «Tyś mą ucieczką»”.

Potrafię zrozumieć, że nawet najlepszy chrześcijanin przeżywa takie chwile — tak jak przeżywają je nawet najlepsze małżeństwa. Są jeszcze inne *rzeczy*, które pomagają nam przetrwać okres, kiedy emocje są nieobecne: poczucie obowiązku, oddanie, lojalność i wytrwałość. Miłość musi dojrzeć. Nie może opierać się wyłącznie na uczuciach, zaś owe jałowe okresy często są tym, co przenosi ją wyżej, na bardziej stały grunt. Czasami wydaje mi się, że z początku Bóg podchodzi do nas tak, jak gdyby starał się o naszą rękę. Nasze pierwsze wrażenie może przypominać zadurzenie lub kielkującą miłość. To emocjonalna karuzela.

Chyba jednak nie mamy racji, oczekując, że dreszcz emocji będzie trwał wiecznie, tak jak nie mielibyśmy racji, oczekując, że długoletnie małżeństwo będzie podtrzymywane romantycznymi uniesieniami małżonków z ich pierwszego spotkania.

ROZDZIAŁ XIII

Odpowiedź na cierpienie

Czy cierpienie idzie na marne?

Dolewanie oliwy do ognia

Błędne poglądy chrześcijan

Tematem tego rozdziału jest ból. Jeśli jesteście tacy, jak ja, chcecie go uniknąć. Ale co robić, jeśli tak czy owak ból się pojawia? Jak wytłumaczyć to, że ludzie umierają pomimo usilnych prób ucieczki przed śmiercią?

Oczywiście nie twierdzę, że powinniśmy szukać bólu. Zakładam, że wszyscy chcemy, aby było go coraz mniej, a nie coraz więcej. Nie twierdzę też, że za pomocą metod stosowanych przez psychologię, nie da się łagodzić bólu. Czasami się da. Jednak prawdziwą próbą dla danej filozofii lub sposobu życia jest nie to, czy potrafią one łagodzić ból, lecz to, co mówią na temat bólu, którego nie potrafią łagodzić. Właśnie tutaj, jak sądzę, zawodzimy się na psychologii, a oparcie znajdujemy w chrześcijaństwie, ponieważ z punktu widzenia psychologii cierpienie pozbawione jest jakiegokolwiek sensu, gdy tymczasem z chrześcijańskiego punktu widzenia znaczy ono bardzo wiele.

Otóż jeśli pozbawiamy kogoś poczucia, że jego cierpienie ma sens, jedynie pogłębiamy jego ból. Trudniej znieść nieme, bezsensowne cierpienie niż cierpienie, które zdaje się mieć jakiś cel. Rany odniesione wskutek nieostrożności są bardziej dotkliwe niż rany odniesione w trakcie akcji ratunkowej, zakończonej powodzeniem. Przypomnijcie sobie tylko, jak się czuliście, kiedy wskutek nieuwagi uderzyliście się młotkiem w palec. Z kolei zastanówcie się, co byście czuli, gdybyście w podobny sposób skaleczyli się podczas wyważania drzwi, aby uwolnić dziecko z płonącego budynku. W pierwszym przypadku będziecie pewnie złorzeczyć na swój los, a jeśli jesteście tacy, jak ja, wasz umysł wypełniać będą czarne i gorzkie myśli na temat absurdalnej głupoty życia. W drugim przypadku prawdopodobnie zbagatelizujecie swój ból. Powiecie: „W gruncie rzeczy to nic takiego” lub coś w tym rodzaju, ponieważ w swoim bólu dostrzeżecie konieczny składnik dobrego uczynku.

Ogólnie rzecz biorąc, psychologia siłą *rzeczy* przyjmuje tę pierwszą postawę wobec bólu. Niezależnie od tego, jak delikatnie potraktowałaby nasz przypadek, zawsze będzie istnieć sugestia, że nasz ból jest nie tylko czymś niefortunnym, lecz także bezużytecznym; ani my, ani nikt inny nie ma z niego najmniejszego pożytku. Na dodatek każe nam się wierzyć, że

cierpienie to błąd, którego można uniknąć, jeśli postępuje się racjonalnie. „Jaka szkoda, że skaleczyłeś sobie palec — mówią psychologowie. — To była niedbałość, twoja albo twoich rodziców, że nie nauczyli cię prawidłowo wbijać gwoździ. Lecz kiedy staniesz się w pełni świadomy i sam się będziesz urzeczywistniać, przekonasz się, że nic takiego już ci się nie przytrafi. Zobaczmy, może tak nam się uda zorganizować twoje życie, abyś mógł uniknąć podobnych błędów”.

Wszystko to oczywiście oznacza, że nasze poprzednie cierpienia nie miały żadnej wartości. Jediną dobrą rzeczą, jaka z nich wynikła jest pewnie to, że zaprowadziły nas do gabinetu psychologa.

CZY CIERPIENIE IDZIE NA MARNE?

Chrześcijaństwo z kolei głosi, że cierpienie może prowadzić do zbawienia. Nie każde cierpienie, lecz takie, które łączy się z cierpieniem Chrystusa. Nie oznacza to, że Kościół każe nam formalnie deklarować nasze intencje za każdym razem, gdy odczuwamy ból. Bogu wystarcza jedynie nikła nadzieja lub chęć, by z naszego nieszczęścia wynikło choć trochę dobra. W efekcie otrzymujemy postawę wobec bólu całkiem odmienną od tej, którą proponuje psychologia. Jeśli wydaje nam się, że nasz ból jest pozbawiony sensu — podobnie jak w przypadku stłuczonego przez nieuwagę palca — to chrześcijaństwo odpowiada: „Skąd pewność? Skąd ta pewność, że nie brałeś udziału w jakiejś akcji ratunkowej?”

Niektórzy chrześcijanie, mający mniej radykalny pogląd w tej sprawie, mówią, że jedynym celem naszych nieszczęść jest wprowadzenie nas do Kościoła i nakłonienie do lektury Biblii — innymi słowy, skłonienie nas do opamiętania. Tkwi tu jednak pewien problem, albowiem nawet po opamiętaniu się, chrześcijanie mogą nadal odczuwać ból —jaki to zatem ma sens, skoro ból spełnił już swoje zadanie? Jeśli nie chcemy powiedzieć, że Bóg marnotrawi ludzkie cierpienie, musimy, jak sędzę, przyjąć taką oto ewentualność, że naszemu cierpieniu towarzyszy jakieś bardzo ważne zadanie. Trudno sobie wyobrazić, aby Bóg, który tak bardzo wycierpiał jako człowiek, nie widział w ludzkim cierpieniu czegoś więcej niż tylko środek zaradczy lub zachętę do tego, byśmy — że się tak wyrażę — wstąpili do Jego gabinetu.

Teolodzy toczą w tej sprawie spór, którego ja nie jestem w stanie rozstrzygnąć. Wydaje mi się jednak, że wszyscy najwybitniejsi myśliciele chrześcijańscy zawsze sugerowali, iż Chrystusowy akt odkupienia na krzyżu był wprawdzie wystarczający dla wszystkich ludzi, to jednak Bóg niejako pozwala nam w tym akcie uczestniczyć poprzez nasze własne cierpienie. Jest to, rzecz jasna, tajemnica wiary, a nie coś oczywistego. Lecz taki jest niewątpliwie sens

przykazania Chrystusa, który każe nam wziąć swój krzyż i pójść za Nim. Jeśli zaś chodzi o słowa Chrystusa: „Nikt nie ma większej miłości od tej, gdy ktoś życie swoje oddaje za przyjaciół swoich”, to czy mogą one coś dla nas znaczyć, skoro nie przyjmujemy, że mamy się łączyć w Jego dziele? Nie mamy zbyt wielu okazji do tego, by faktycznie oddać swe życie za bliźniego. Pan nasz miał przypuszczalnie na myśli również codzienne poświęcanie naszego własnego dobra dla dobra bliźniego. I prawdopodobnie nie chodziło Mu o to, byśmy oddali swe życie po to tylko, aby inni mogli z tego faktu czerpać korzyści materialne lub zadowolenie psychiczne. Po Jego śmierci Jego przyjaciółom z całą pewnością nie powodziło się lepiej pod względem materialnym. Mało tego, ich cierpienia dopiero miały się zacząć.

Wydaje się zatem, że nasze cierpienia mogą, poprzez Chrystusa, przyczyniać się do duchowego dobra nie tylko nas samych, ale i innych. Charles Williams nazwał to „doktryną zastępowania”: to znaczy ja oddaję swoje życie za twoje, wzajemnie dźwigamy nasze brzemiona, a nawet dźwigamy je, w ogóle o tym nie wiedząc lub mając tylko mgliste pojęcie. Chrześcijanie wierzą, że są częścią mistycznego ciała, którego każda część przyczynia się do dobra wszystkich pozostałych części. Ponieważ jednak jest to ciało mistyczne, nie spodziewajmy się, że dostrzeżemy wszystkie jego wiązadła i tkanki łączne.

Taka jest chrześcijańska odpowiedź na cierpienie. Czy chcecie być potrzebni na tym świecie? Cóż, może już jesteście. Może w chwili naiwności i młodzieńczego zapędu poprosiliście Boga, by wykorzystał was w jakimś dobrym celu? Może Bóg trzyma was za słowo — choć posługuje się wami w sposób, jakiego w ogóle nie braliście pod uwagę. Może jest ktoś taki, komu bardzo chcielibyście pomóc — przyjaciel lub krewny, będący w sidłach jakiejś okropnej sytuacji albo własnej godnej pożałowania nienawiści lub małostkowości. Może próbowaliście mu pomóc, lecz ponieśliście sromotną klęskę. Kto wam jednak powiedział, że to będzie takie łatwe? Możliwe, że nie tak to należy robić. Może rozczarowania, jakie musicie przeżywać oraz smutki, jakie musicie znosić — choć zdają się nie mieć związku z sytuacją tej osoby — bardziej jej pomagają niż wasze starania. Oczywiście wszystko to wydaje się nie do pojęcia, lecz tego właśnie można by oczekiwać od Boga, który staje się człowiekiem i oddaje swe życie na krzyżu. „Syn Boży — pisał George MacDonald — umarł w cierpieniu nie po to, by ludzie nie musieli cierpieć, lecz po to, by ich cierpienia mogły być podobne do Jego cierpień”. Przekonanie takie wymaga wiary, jednak bez niego cierpienie w ogóle nie ma sensu.

URODZENI ZBYT WCZEŚNIE?

O czymś jeszcze trzeba tu powiedzieć. W zestawieniu z humanizmem chrześcijaństwo często jest przedstawiane w niekorzystnym świetle, ponieważ humaniści przejawiają ponoć większą troskę o człowieka. Mówi się, że humaniści bardziej zależy na sprawiedliwości i łagodzeniu cierpienia niż chrześcijaninowi, który, jak słyszymy, machnął ręką na otaczający go świat. Twierdzenie to ignoruje oczywisty fakt, jakim jest masowe realizowanie w praktyce idei chrześcijańskiego miłosierdzia — w szkołach, sierocińcach, szpitalach oraz hospicjach. Jednak nie wytrzymuje ono krytyki nawet na płaszczyźnie teoretycznej. Z ostatnich kilku stron powinno jasno wynikać, że stosunek chrześcijan do cierpienia jest o wiele bardziej humanistyczny niż stosunek samych humanistów. W rzeczywistości to właśnie stanowisko humanistów oznacza machnięcie ręką na świat, ponieważ nie mówi ono absolutnie nic na temat nieszczęść, jakie spotykały ludzi w przeszłości. Załóżmy, że naukowy humanizm stworzy pewnego dnia świat pozbawiony cierpienia — co z tego wynika dla miliardów ludzi, którzy spędzili życie w niedoli? Co z tego wynika dla tych, którzy na całym świecie umierają właśnie w nędzy i osamotnieniu? Czysty humanizm ma do powiedzenia większości żywych i umarłych tylko to: „Niestety, urodziliście się zbyt wcześnie” oraz „To okropne, że musicie cierpieć”.

Z drugiej strony chrześcijanie nie zamierzają pogodzić się z porządkiem, w ramach którego większość ludzkiego trudu nic nie znaczy i do niczego nie prowadzi. Wierzą oni raczej, że Bóg pamięta o każdej łzie. Harry Blamires wyraził to o wiele lepiej niż ja:

Jeżeli to życie to jest wszystko, człowiek sumienia odrzuca je jako jeden wielki przejaw niesprawiedliwości, jedną wielką manifestację absurdu, jeśli nie zła. Jeżeli to, co przeżywamy pomiędzy narodzinami a śmiercią składa się na całość świadomości człowieka, to w wielu wypadkach całą tę świadomość tworzą w połowie niezawinione nieszczęścia, w połowie niezasłużony ból. Czy kogoś zadowala układ, w którym takie jest właśnie ostatnie słowo w sprawie choćby jednego człowieka? Czy ktoś chce się cieszyć jedzeniem, muzyką lub towarzystwem przyjaciół w ramach układu, który w sposób arbitralny decyduje o tym, że na świadomość bliźnich mieszkających po drugiej stronie ulicy lub na drugim końcu świata, będzie się w całości składać doświadczony przez nich niedostatek, cierpienie i ból?

Dochodzi on do wniosku, że dobry człowiek chce widzieć na świecie o wiele więcej sprawiedliwości niż to przewiduje porządek humanistyczny.

CZY CIERPIENIA MOŻNA UNIKNAĆ?

Kilka razy posłużyłem się w tej książce argumentem, że chrześcijańska interpretacja

świata, z wszystkimi jej tajemnicami, jest najwierniejszym opisem sposobu doświadczania życia. Uważam, że tak samo jest w przypadku cierpienia. Chrześcijaństwo utrzymuje, że cierpienie jest koniecznym elementem zbawienia. Ponieważ jest ono nam potrzebne, wynika z tego, że niezależnie od tego, jak ludzie zorganizują sobie życie, nie będą w stanie go uniknąć. Wydaje mi się, że jest to dość wierny opis naszego doświadczenia. Nasze drobiazgowy plany uniknięcia Scylli zwykle prowadzą nas prosto ku Charybdzie.

Psychologia, jak widzieliśmy, inaczej opisuje rzeczywistość. Cierpienie, powiada, to głupi błąd, co więcej — błąd, którego można uniknąć. Bez względu na to, czy udamy się do psychologa humanistycznego, do behawiorysty, czy też do takiego, który stosuje terapię racjonalno-emotywną, wszędzie usłyszymy tę bardzo silną sugestię, że możemy zacząć panować nad swoim życiem i poradzić sobie z kłopotami. Oczywiście do pewnego stopnia możemy. Nie jesteśmy zupełnie bezradni. Najważniejsze pytanie brzmi: „Do jakiego stopnia?” Wydaje mi się, że odpowiedź, jakiej udzielają psychologowie jest często nierealistyczna i raczej nie przypomina naszych życiowych doświadczeń, polegających na nieustannych wzlotach i upadkach. Gdyby przez „panowanie” rozumieli oni „panowanie nad swą postawą”, nie byłoby to jeszcze takie złe. Jednak przez „panowanie” często rozumieją oni „panowanie nad swoim losem”. To zaś, jak sądzę, nie jest opisem tego, jakie życie jest, lecz utopijnym opisem tego, jakie naszym zdaniem być powinno.

Wśród psychologów istnieje pod tym względem jeden wyjątek — psychologowie egzystencjalni. Najlepszym przykładem jest tutaj austriacki psychiatra, Viktor Frankl. Podkreśla on, że każdego z nas może spotkać los, którego nie będziemy już mogli zmienić, zatem w takiej sytuacji najważniejszą rzeczą jest to, jak się do niego ustosunkujemy. Znakomita książka Frankla, *Człowiek w poszukiwaniu sensu*, w gruncie rzeczy mówi o odnajdywaniu sensu w cierpieniu. Należy jednak być świadomym, że Frankl wywiódł swe idee nie tyle z psychologii, co z własnych przeżyć w hitlerowskim obozie koncentracyjnym oraz własnych kontaktów z judaizmem oraz chrześcijaństwem.

Poza tym jest on Europejczykiem. W Ameryce pojęcie losu, którego nie można zmienić, do nikogo nie przemawia. Zamiast tego mamy pojęcie, które jest równie amerykańskie jak coca cola — pozytywne myślenie. Stanowi ono standardowy przepis na większość tanich poradników i książek psychologicznych, które docierają do masowego czytelnika. Zgodnie z tym punktem widzenia, odpowiednia dawka pozytywnego myślenia pozwoli nam panować nad tym, co się dzieje. To, czy spotyka nas nieszczęście, czy nie, zależy wyłącznie od nas samych. Krótko mówiąc, wszystko znajduje się w naszej głowie.

To całkiem zrozumiałe, że postawa taka może stać się powszechna jedynie w atmosferze

subiektywizmu. Odmawia ona wszelkiego realnego znaczenia faktom obiektywnym, które mają miejsce poza naszym umysłem. Dziwne, że mimo to jest ona szeroko akceptowana. Dosłownie kilka tygodni temu spierałem się w tej sprawie z młodym człowiekiem, który utrzymywał, że niemal całkowicie panujemy nad swym życiem. Na ironię zakrawa fakt, że krótko przedtem stracił on pracę, doszczętnie zniszczył swój samochód, ponieważ zawiodły hamulce, a tydzień po naszej rozmowie kazano mu się wyprowadzić z mieszkania.

Odwrotną stroną pozytywnego myślenia jest przekonanie, że do faktów negatywnych dochodzi z powodu naszego czarnowidztwa. I znów, czasami rzeczywiście tak jest; lecz równie często nasze czarnowidztwo jest wynikiem wcześniejszych nieszczęść, nie zaś ich przyczyną. Nie zawsze wszystko jest w naszej głowie. Do złych rzeczy naprawdę czasami dochodzi, i to w bardzo konkretny i niekontrolowany sposób.

CIAŁO, KTÓRE ZNIKNEŁO

Każdy z nas widział niejeden film kryminalny, którego bohater, zwykle młoda kobieta, jest świadkiem morderstwa lub odkrywa czyjeś zwłoki. Podczas gdy sprowadza ona pomoc, ciało zostaje usunięte. Ściągnięci przez nią policjanci nie chcą jej uwierzyć. Ona się upiera: „Ależ ono było dokładnie tutaj. Widziałam je!” Policjanci wciąż nie dają jej wiary. „Proszę pani — powiada jeden z detektywów — czasami umysł płata nam figle. Wcale nie uważam, że pani kłamie. Uważam, że jest pani przekonana, że widziała pani czyjeś zwłoki”.

My, widzownia, trzymamy oczywiście stronę dziewczyny, która, będąc jedynym świadkiem zbrodni, sama jest w niebezpieczeństwie; i przerażeni jesteśmy głupotą i protekcyjnym tonem policjantów, którym bardziej zdaje się zależeć na ochronie jej uczuć niż na zbadaniu faktów związanych z zabójstwem. Wiemy, że ona ma rację, a oni się mylą. Wiemy, że gdzieś tam znajduje się prawdziwe ciało, i że to ono jest przyczyną jej niepokoju.

Teraz zmodyfikujmy nieco tę sytuację i umieścimy młodą kobietę w gabinecie psychologa. Powiedzmy, że dokuczają jej poczucie samotności. Wydaje jej się, że po prostu ma pecha. Nigdy nie znalazła odpowiedniego mężczyzny. Powtarza się historia z ciałem, które zniknęło. Czy wszystko jednak jest rzeczywiście takie proste? Psycholog jest uprzejmy, lecz nie daje jej wiary: „Pani problemem nie jest to, że nie potrafi pani sobie nikogo znaleźć. Problemem jest pani postawa. Za mało pani wierzy w siebie”.

W tym momencie kobieta może nieśmiało zaprotestować, mówiąc, że zawsze w siebie wierzyła, lecz po pewnym czasie dała o sobie znać samotność. Lecz psycholog jest górą: „Wierzę, że jest pani przekonana, iż potrzebuje pani partnera, ale tak naprawdę potrzebuje

pani wiary w siebie. Jeśli będzie ją pani miała, szybko pani zwróci na siebie uwagę innych". Czy widzicie, jak inna jest nasza reakcja, kiedy uczyniliśmy z tego problem psychologiczny? Niezależnie od tego, jak bardzo byśmy sympatyzowali z bohaterką filmu, która upiera się, że ciało, które zniknęło, naprawdę istnieje, jesteśmy nieco podejrzliwi wobec pacjentki, która nie umie sobie znaleźć męża. Nie sprzyjamy jej tak samo, jak dziewczynie, będącej w niebezpieczeństwie. Sądymy raczej, że sama jest sobie winna. Ma zły stosunek do życia. Nie praktykowała pozytywnego myślenia.

DOLEWANIE OLIWY DO OGNIA

Przyjęcie pozytywnego nastawienia myślowego czasem coś zmienia, czasem nie. Jeśli niczego nie zmienia, i jeśli uwierzyliśmy, że przyczyną naszego kłopotu jest brak kompetencji, rodzi to dwojakie konsekwencje. Po pierwsze, nasze cierpienie zostaje strywializowane. Choć niektóre kłopoty wynikają z naszej głupoty lub egoizmu, wiele z nich spowodowanych jest tym, że próbowaliśmy zrobić coś wartościowego, na przykład założyć rodzinę i ją utrzymać. Większość z nas ciężko pracuje i poświęca się dla różnych ludzi lub spraw, czasem czyniąc to kosztem nas samych. Możemy narażać się na cierpienie przez wzgląd na dziecko, na rodziców, a nawet przez wzgląd na Boga. Czasami padamy na twarz z przemęczenia, dezorientowani i zniechęceni, ponieważ nasze wysiłki spełzły na niczym. Krótko mówiąc, nie wszystkie nasze problemy są przypadkami klinicznymi; czasem po prostu świadczą o tym, że jesteśmy ludźmi.

Psychologia każe nam jednak zreinterpretować trudną sytuację raczej jako chorobę niż duchowe zmaganie. Prawdziwe ludzkie problemy zostają strywializowane poprzez sprowadzenie ich do poziomu patologii; w ten sposób nasze codzienne zmagania pozbawione zostają godności i znaczenia. Natomiast sugestie, jakoby nasze problemy dało się rozwiązać przy pomocy tej lub innej prostej metody, może się tylko przyczynić do ich jeszcze większego zbagatelizowania.

Nieźle to ujął Paul Vitz:

Co mówimy starszemu pracownikowi, który stracił pracę, i którego umiejętności nie są już nikomu potrzebne? Co mówimy kobiecie, której starzejące się ciało kryje rozpaczliwą samotność, i która ma za sobą wiele nieudanych związków? Czy radzimy takim ludziom, by stali się bardziej autonomiczni i niezależni? Czy mówimy im „urzeczywistnijcie się w twórczym działaniu”? Dla ludzi znajdujących się w podobnej sytuacji tego typu porady brzmią nie tylko niestosownie, brzmią wręcz obraźliwie .

Drugą konsekwencją jest pogłębienie poczucia braku wartości. Przypuśćmy, że po pięcioletniej psychoterapii nadal nie dajemy sobie rady w życiu. Próbowaliśmy tej i tamtej techniki; przeczytaliśmy rozmaite poradniki. I może na jakiś czas rzeczywiście nastąpiła poprawa. Po czym, kiedy już nam się wydawało, że życie zaczyna nam się jakoś układać, stało się coś nieoczekiwanego i wszystko znowu rozsypało się na kawałki. Czyja to wina?

Możecie być pewni, że wasz psychoterapeuta nie weźmie jej na siebie. On wie, że z jego teoriami i technikami jest wszystko w porządku. Mało tego, prawdopodobnie zaczynacie go irytować. Niewielu psychologów to rzeczywiście powie, jednak prawdą jest, że tracą oni cierpliwość z klientami, którzy zdają się nie robić postępów lub którzy w kółko popełniają te same błędy. Z ich punktu widzenia irytacja ta jest całkiem zrozumiała, albowiem na ogół nie wierzą oni w grzech pierworodny, i na ogół ich teorie nie pozwalają im uwierzyć, że sytuacja człowieka jest aż tak rozpaczliwa, jak to mówi chrześcijaństwo.

A więc tak. Ponoć dysponujemy ogromnym potencjałem pozwalającym nam odnieść sukces. Rezultatem tego nie jest jednak mniejsze poczucie winy. Ponieważ nikomu nie przychodzi do głowy, by zakwestionować zasadniczo bezproblemowy scenariusz, jaki nam proponuje psychologia, nieuchronnie nasuwa się wniosek, że wina leży po naszej stronie, tymczasem pozornie absurdalna udręka naszego życia wywołuje w nas tylko większe zgorzknienie.

Chrześcijański punkt widzenia, wręcz przeciwnie — nie proponuje utopijnej wizji tego, jakie mogłoby być nasze życie, lecz w konkretny sposób wyjaśnia, dlaczego jest ono takie, jakie jest. Dlatego właśnie Chesterton mógł powiedzieć, że teoria grzechu pierworodnego to najbardziej radosna idea, z jaką się zetknął. Jeśli przyjmuje się chrześcijański punkt widzenia, a grzech, niepowodzenia i niedociągnięcia akceptuje się jako los wspólny całej upadłej rasie, nie zaś jako czyjeś osobiste braki, ciężar winy staje się przez to bardziej znośny i zrozumiały.

Nie możemy jednak poprzestać tylko na tym.

BŁĘDNE POGLĄDY CHRZEŚCIJAN

Rozpoczęliśmy tę książkę z zamiarem oddzielenia poglądów chrześcijańskich od tych, które proponuje psychologia. Oznacza to, że jeśli chcemy poddać krytyce pewne opinie, formułowane przez psychologię, to równie krytycznie powinniśmy się odnieść do nich również wtedy, gdy występują one w chrześcijańskim przebraniu. Jeśli mamy być uczciwi, musimy przyznać, że również wielu chrześcijan wierzy głęboko w pozytywne myślenie. W

końcu to chrześcijański duchowny ukuł termin „potęga pozytywnego myślenia”. Ktoś może zaprotestować, mówiąc, że w przypadku chrześcijan to jednak nie to samo. W gruncie rzeczy jednak często chodzi o to samo, jest to raczej wiara w siebie niż w Boga.

Na przykład filozofia Normana Vincenta Peale'a jest niebezpiecznie bliska religii pod względem samej siły wiary. Przedmiot wiary zdaje się mieć drugorzędne znaczenie. Chociaż Peale chce, byśmy wierzyli w Boga, odnosi się wrażenie, że przede wszystkim interesuje go wiara jako mechanizm psychologiczny, zapewniający nam udane życie. Kładzie też wyjątkowy nacisk na wiarę w siebie. Takie samo jest stanowisko niektórych telewizyjnych kaznodziejów. Jedni mówią o sile wiary, inni o „myśleniu w kategoriach możliwości”, i niemal zawsze mówią o materialnym dobrobycie. Chodzi o to, że stanowisko takie jest wyjątkowo podobne do stanowiska psychologii popularnej; wiara jest pragmatyczna, pewne przekonania są przydatne w wywoływaniu pozytywnych stanów myślowych, a pozytywne stany myślowe zwiększają dobrobyt. Wiercie i bogaćcie się albo wiercie i pozbańdźcie się kłopotów — coś w tym rodzaju.

Nawet gdy pozytywnie myślący chrześcijanin pokłada swą wiarę w Bogu, jest to niejednokrotnie wiara bardzo zarozumiała. Od niektórych chrześcijan możemy usłyszeć, że „od Chrystusa coś nam się należy”, co ma oznaczać, że Bóg ma obowiązek w pełni zadowalająco odpowiedzieć na nasze modlitwy, jak gdyby był On firmą ubezpieczeniową, w której składamy roszczenie o odszkodowanie. Otóż stanowisko to może być zgodne z Biblią w tym sensie, że w Biblii da się znaleźć jeden lub dwa wersety na jego poparcie, lecz jeśli przyjrzymy się pełnemu i oczywistemu w swej wymowie świadectwu Pisma świętego, okaże się, że postawa taka zgodna z Biblią nie jest. Postacie występujące w Biblii to z reguły osoby, które nie odniosły w życiu sukcesu — zwłaszcza sukcesu w życiu doczesnym. David Myers pisze: „Kiedy wsłuchujemy się w słowa Jego uczniów, nie słyszymy olśniewających świadectw, mówiących o tym «jak przezwyciężyłem gniew, egoizm i zwątpienie»”. Słyszymy raczej o ciągłej pokusie, schodzeniu na złą drogę i bezustannych zmaganiach.

Nie twierdę, że Bóg nie czyni cudów. Nie przeczę też, że w niektórych sytuacjach obsypuje nas doczesnymi błogosławieństwami. Od czasu do czasu może nas czymś takim obdarzyć — „abyście uwierzyli” — lub z jakiegoś innego, sobie tylko znanego powodu. To już jednak zależy od Boga. On zaś jest Bogiem Abrahama, Izaaka i Jakuba, a nie „jednoręki bandyta”.

Problem, który się tutaj pojawia jest tym samym problemem, jaki dotyka ofiary psychologii popularnej. Przypuśćmy, że mimo iż pokładamy wiarę w Panu, wciąż cierpimy na artretyzm lub na raka. Co wtedy? Czy oznacza to, że nie modliliśmy się wystarczająco gorą-

co? Czy oznacza to, że coś jest nie w porządku z naszą wiarą? Wreszcie, czy nie jest to pewna forma pelagianizmu, zgodnie z którym Boga da się kupić, jeśli tylko będziemy potrafili opłacić to dostatecznym wysiłkiem własnym? Z pewnością pamiętacie, że to tę właśnie postawę najsilniej atakowali zwolennicy reformacji. Z chrześcijańskiego punktu widzenia najważniejsze są nie nasze wysiłki, nasze umiejętności, czy nawet nasza wiara. Najważniejsza jest nasza wiara w Boga.

ODDAWANIE SPRAWIEDLIWOŚCI TRAGEDII

Końcowa uwaga. Nawet gdy faktycznie pozbedziemy się jakiegoś problemu, zwykle na jego miejscu pojawia się następny. W końcu się okazuje, że niektóre problemy są nierozwiązywalne. Nie chcą zniknąć. Psychologowie bardzo niechętnie przyjmują ten fakt do wiadomości, ponieważ nie potrafią oni w tej sytuacji zaproponować niczego na pocieszenie. Stąd w podręcznikach do psychologii popularnej kładzie się tak wielki nacisk na to, by zwyciężać, ponieważ tylko zwycięzca ma okazję do świętowania. Jeśli przegrywamy — jeśli nie potrafimy pokonać swych problemów — przegrywamy zupełnie, na całej linii. Wynika z tego, że musimy starać się zwyciężać za wszelką cenę. Pogląd, że przegrani tego świata mogliby cokolwiek świętować, jest dla umysłu psychologicznego czymś niepojętym. A mimo to istnieje inna tradycja, która pozwala się weselić nawet tym ludziom, którzy przegrali. Z innego, prawdziwie chrześcijańskiego punktu widzenia powód do radości istnieje nawet wówczas, gdy nie umiemy sobie poradzić z naszymi problemami.

Jest tak, jak sądzę dlatego, że chrześcijaństwo oddaje sprawiedliwość tragedii. Może się to wydawać paradoksalne, lecz kiedy trywializujemy cierpienie, trywializujemy tym samym przeżywane szczęście. Tam, gdzie do cierpienia podchodzi się jak do błędu, ci, którzy doznają cierpienia, nigdy nie są zadowoleni z własnego życia. Zaś tam, gdzie przeważa chrześcijański punkt widzenia, nawet najbiedniejsi z biednych mogą się czasami radować.

Świadczy o tym wesołość otaczająca Boże Narodzenie oraz inne święta. Ożywa wówczas najbiedniejsza dzielnica najbiedniejszego miasta w najbiedniejszym kraju. Może bardziej tak było w przeszłości — zanim biedni wraz z wszystkimi innymi dowiedzieli się, że celem życia jest zaspokojenie się w sensie materialnym. Owe tętniące życiem uroczystości może były i są okazją zarówno do dzikich harców, jak i do świętości, do pijaństwa i do pobożności. Wydaje się jednak, że wszystko to jest możliwe wyłącznie dzięki wierze religijnej, której istotą jest uznanie istnienia ciemności znacznie ciemniejszej i chwały znacznie jaśniejszej niż cokolwiek, co nam do tej pory objawiło społeczeństwo psychologiczne.

COŚ, CO MOŻNA ŚWIĘTOWAĆ

August Comte, którego powszechnie uważa się za twórcę religii humanizmu, zamierzał ustanowić nowe humanistyczne dni świąteczne, mające zastąpić święta chrześcijańskie, które, czego był pewien, miały z czasem zaniknąć. Chesterton, wielki angielski apologeta, wyrażał rozczarowanie, że żadne takie święto nie chce nastać. Mówił, że będzie zadowolony, jeśli pojawi się pretekst do obchodzenia kolejnej okazji, i że „łatwo mogę sobie wyobrazić, jak z największym entuzjazmem rozpalam ognisko w Dniu Darwina”. Jednak starania Comte'a i jego zwolenników skończyły się, rzecz jasna, fiaskiem. „Nie ustawili — beształ ich Chesterton — choćby jednego trofeum lub sztandaru, na którym mogłaby się skupić nasza radość. Nie znaleźli żadnego nazwiska, ani żadnego nowego powodu do tego, by się weselić.” Jak zauważył, nikt „nie wywiesza skarpety w wigilię urodzin Victora Hugo”, ani „nie śpiewa pod naszymi drzwiami na śniegu kolęd opisujących niemowlęctwo Ibsena”.

Gdyby Chesterton żył dzisiaj, myślę, że wyraziłby takie samo rozczarowanie religią psychologii. Niezależnie od jej zalet i pomimo twierdzeń o doprowadzeniu do wyzwolenia psychicznego, psychologii jakoś nie udaje się pobudzić nas do ujawnienia naszego świątecznego nastroju. Ciągnąc analogię Chestertona, można by powiedzieć, że nie wymieniamy upominków ani kartek z życzeniami z okazji urodzin doktora Freuda, ani nie tańczymy w koło z okazji rocznicy odkrycia przez niego podświadomości. Nie urządzamy uroczystych procesji, ani nie śpiewamy pieśni z okazji Dnia Junga, choć Jungowi by się to z pewnością podobało. Na myśl o Pawłowie nie zaczynamy iść sprężystym krokiem, nie rzucamy też serpentyn, ani nie strzelamy z petard dla uczczenia Dnia Bodźca i Reakcji. Nie jemy piezzonego indyka i nie pijemy ponczu w Święto Abrahama Masłowa; nie szukamy też i nie malujemy jajek w Dniu Ludzkich Możliwości.

Pomimo wiary w teologię psychologii, nie mamy zbyt wielu powodów do radowania się nią. Nie robimy tego dziś, i można chyba spokojnie powiedzieć, że w ciągu najbliższych dwóch tysięcy lat nic się pod tym względem nie zmieni.

ROZDZIAŁ XIV

Jak dzieci

Kolejna imitacja chrześcijaństwa

Wspomnienia z raju?

Baldachim ładu

W naszym społeczeństwie zapanował zwyczaj osądzania poglądów nie na podstawie ich treści merytorycznej, lecz na podstawie odczuć, jakie w nas budzą. Na prezydenta wybieramy kogoś nie dlatego, że w pełni pojęliśmy omawiane sprawy, lecz dlatego, że w przypadku jednego kandydata uderza nas jego współczucie, w przypadku innego —Jego uczciwość. Tu tkwi jeden z głównych powodów popularności psychologii. Potrafi ona wzbudzić w nas właściwe odczucia, zdaje się być po słusznej stronie.

KOLEJNA IMITACJA CHRZEŚCIJAŃSTWA

Dotyczy to zwłaszcza poglądów formułowanych przez psychologię na temat dzieci. Wydaje się, że poglądy te uderzają we właściwą strunę — w każdym razie właściwą w przypadku chrześcijan. W literaturze oraz myśli psychologicznej pobrzmiwa echo Chrystusowego napomnienia, byśmy stali się jak dzieci — nie wyrażonego, rzecz jasna, w tylu słowach, lecz sugerującego, że dzieci mają w sobie coś wyjątkowego i cudownego, i że dorośli mogą się od nich nauczyć wielu wartościowych rzeczy. Istnieją zatem dwa punkty zbieżne: dzieci posiadają w wyjątkowym nasileniu pewne zalety; poglądy na temat dzieci, jeśli się je właściwie rozumie, to poglądy na temat tego, jacy powinni być dorośli. Te pozorne podobieństwa tylko pogłębiają dezorientację chrześcijan w sprawie psychologii. Ja jednak twierdzę, że jeśli chodzi o poglądy, podobieństwa są w gruncie rzeczy nieliczne; występują one jedynie w sferze emocjonalnej. To, że stojący obok nas w księgarni człowiek akurat kupuje *Kubusia Puchatka*, *Piotrusia Pana* oraz wypchane jednorożce nie daje nam podstaw do przypuszczenia, że jego poglądy na temat dzieci są zbieżne z naszymi. Serce ma może tam gdzie trzeba, nie oznacza to jednak, że to samo można powiedzieć o jego głowie. A jeśli głowa nie jest na właściwym miejscu, można się założyć, że wkrótce to samo stanie się z jego sercem. Oto dlaczego w religii chrześcijańskiej tak duży nacisk kładzie się na doktrynę — stanowi ona przeciwwagę dla błędnych uczuć.

Kiedy psychologia błądzi, jest to zwykle kwestia złego umiejscowienia głowy, nie serca. W każdym razie w tak ważnej sprawie, jak rozumienie i wychowywanie dzieci nie wystarczy kierować się uczuciami. To, że wyjątkowo uwielbiamy dzieci, nie oznacza jeszcze, że wyniknie z tego dla nich cokolwiek dobrego. Jeśli nie kierujemy się rozsądnymi poglądami, możemy nawet wyrządzić im krzywdę. Trzeba więc wiedzieć, o co chodzi psychologom, kiedy stawiają nam dzieci za przykład do naśladowania. Przeważnie nie jest to to samo, o co chodzi chrześcijanom.

Prawdziwe pytanie, z jakim tu mamy do czynienia brzmi: Co sprawia, że dzieci są szczęśliwe? Najpierw oczywiście musimy przyjąć, że dzieci są rzeczywiście szczęśliwsze od dorosłych. Dzisiaj wydaje się to bardziej wątpliwe niż jeszcze nie tak dawno temu. Poza tym zawsze istnieją, budzące niepokój, wyjątki od tej reguły; wydaje mi się jednak, że wciąż możemy to traktować jako prawidłowość. Wystarczy się tylko zastanowić, kogo byśmy woleli pocieszać: przygnębione dziecko czy przygnębianą osobę dorosłą. Myśli dziecka łatwo skierować ku czemuś innemu, opowiadając mu jakąś historyjkę lub kupując mu loda. Jeśli to nie skutkuje, możemy je polaskotać. Z dorosłym sprawa nie jest taka prosta; jego przygnębienie jest zwykle głębsze i bardziej ponure. W każdym razie, jeśli zgadzamy się co do tego, że szczęście dziecka jest większe niż szczęście osoby dorosłej, to musimy następnie przyrzeć się różnicom, jakie istnieją pomiędzy psychologiczną a chrześcijańską interpretacją tego faktu. Można tu dokonać czterech rozróżnień.

CZTERY RÓŻNICE

1. Psychologiczne myślenie na temat dzieci w znacznej mierze odbywa się pod szyldem naturalizmu, według którego to, co spontaniczne i dobrowolne jest zawsze najlepsze. Zgodnie z tym punktem widzenia natura wszystko wie najlepiej, a niewinne dzieci, które ponoć żyją bliżej stanu natury, obdarzone są ową naturalną mądrością. Zatem aby żyć zdrowo i bez zahamowań, trzeba bardziej się upodobnić do dziecka. Przy okazji dużo mówi się o tym, że dzieci są niczym sadzonki lub pąki, które w naturalny sposób przemienia się w kwiaty, jeśli tylko dorośli nie będą przeszkadzać im w rozwoju. Zawarta jest w tym sugestia, że również człowiek dorosły jest gdzieś w głębi dzieckiem, któremu nie pozwolono się ujawnić, a z którym mądry dorosły będzie chciał na nowo nawiązać kontakt.

Z kolei stanowisko chrześcijańskie jest takie, że właśnie te małe kwiatki polne wymagają pielęgnacji. Nie wystarczy po prostu pozwolić im rosnąć. Dobry ogrodnik nie będzie stał beczynnym, patrząc jak ogród niszczą chwasty i owady, a dobry rodzic nie pozwoli dziecku

rządzić się w swoim pokoju. Różnica pomiędzy tymi stanowiskami jest naprawdę znaczna. Pierwsze cechuje wiara w naturę ludzką, której większość ludzi nie jest skłonna uznać za część samej natury. Drugie zakłada, że dzieci, podobnie jak wszyscy ludzie, są istotami upadłymi: niektóre ich odruchy są zdrowe, dlatego należy je pielęgnować; do innych, niezdrowych odruchów, należy dzieci zniechęcać. Jeśli od dzieci można się czegoś nauczyć, to na pewno nie jest to naturalizm.

2. Kolejnym przypuszczeniem charakteryzującym myślenie psychologiczne jest to, że dziecko jest szczęśliwsze, ponieważ cieszy się większą wolnością. Znaczy to, że może się swobodnie wypowiadać — nie musi udawać, że mu smakuje sok, do czego zmuszona jest osoba dorosła, zaproszona na obiad; nie musi przestrzegać konwenansów — jeśli rozmowa dorosłych zaczyna być nużąca, może w każdej chwili zająć się swoją plastikową ciężarówką; jest wolne od zmartwień i odpowiedzialności — nie musi płacić rachunków ani gotować obiadów. Przesłanie dla dorosłych? Ma się rozumieć, wyzwólcie się.

Z tym, że — i tu dochodzi do głosu chrześcijański punkt widzenia — gdy dorośli zaczynają postępować zgodnie z owym przesłaniem, to właśnie dzieci płacą najwyższą cenę. Aby to sobie uświadomić, wystarczy chwilę pomyśleć. Kiedy rodzice zaczynają flirtować z wolnością, fakt ten wywiera olbrzymi wpływ na szczęście dziecka. Dokładnie w tym momencie, gdy ojciec lub matka ogłasza swą wolność od rodziny, wolność dziecka zostaje zredukowana niemalże do zera. Mam tu na myśli wolność od niepewności, od wątpliwości, od lęku. Prawda jest taka, że szczęście dziecka ma o wiele mniejszy związek z jego dość ograniczoną w końcu wolnością niż z poczuciem przynależności do pewnego bezpiecznego i uporządkowanego układu. Może się ono bawić w rycerzy lub kowboi, ponieważ bramy jego zamku lub fortu pilnowane są przez silnych strażników. Może dawać upust swojej fantazji, ponieważ ma przy sobie parę potężnych dzinnów, którzy trzy razy dziennie wyczarowują dla niego posiłki. Jakkolwiek by się uskarżało z powodu przywilejów swego starszego brata lub głośno dziwiło dlaczego mu nie wolno przesiadywać do późna, tak jak jego rodzicom, dziewięćdziesiąt procent jego szczęścia bierze się z tego, że zajmuje ono swoje przytulne miejsce w przykrytej dachem i otoczonej czterema ścianami hierarchii. W ten sposób przechodzimy do omówienia kolejnego osobliwego przeoczenia w oferowanym przez psychologów opisie rzeczywistości.

3. U pewnego typu osób można niekiedy zauważyć pragnienie dziecięcej niewinności, połączone z całkowitą pogardą dla autorytetu. Liczni autorzy poradników zachęcają nas, abyśmy stali się bardziej dziecinni i ufni, równocześnie jednak nalegają, byśmy nie tolerowali czyichkolwiek ingerencji w nasze życie. Mamy być naiwni i prostoduszni, a jednocześnie

niezależni niczym kapitan okrętu. Z pewnością niemal każdy czytał tego typu rady lub zetknął się z osobami, które w nie wierzą. Musimy im bardzo cierpliwie przypominać, że dla własnej wygody zapomniały one o bardzo ważnym fakcie: że małe dzieci nie radzą sobie w życiu bez matki i ojca. Kto sądzi, że można się cieszyć wyjątkową wolnością człowieka dorosłego i wyjątkowym szczęściem dziecka, ten myli ze sobą dwa różne światy. Chodzi o rzecz następującą: sentymentalna paplanina popularnych psychologów i im podobnych na temat powrotu do dzieciństwa oparta jest na oczekiwaniach, których nie da się ze sobą pogodzić. Może nasuwa ona skojarzenia z chrześcijaństwem, lecz w istocie nie ma z nim wiele wspólnego — tak jak nie ma wiele wspólnego ze zdrowym rozsądkiem. Chcą być jak dzieci, lecz nie chcą ojca. To tak jakby poszli do restauracji i poprosili o zupę bez talerza.

A wszystko to pokazuje, że uczepili się pewnych ponętnych idei, lecz nie zwracają sobie głowy tym, by je przemyśleć. Z kolei chrześcijaństwo zmusza nas do przestrzegania pewnych realistycznych wymogów. Powiada ono, że na dłuższą metę istnieje tylko jeden sposób odzyskania dziecięcej ufności i szczęścia — trzeba mieć Ojca w niebie. Najczęściej występujący w Nowym Testamencie wizerunek Boga to Ojciec, a o nas mówi się najczęściej jako o Jego dzieciach. Może to tylko oznaczać, że Bóg wymaga od nas takiego samego posłuszeństwa, jakiego my wymagamy od swych dzieci, lecz oznacza to również, że tak jak nasze dzieci — z uwagi na wszystkie swoje potrzeby — uzależnione są od nas, tak samo my, z uwagi na własne potrzeby, możemy polegać na Bogu, naszym Ojcu. I tak, jak chcemy, by nasze dzieci ufały nam, tak samo my powinniśmy ufać Bogu. Nie jest to łatwe. Jak dziecko, które nie rozumie dlaczego ojciec musi przyłożyć do jego skaleczonego kolana piekący środek odkażający, możemy nie rozumieć wszystkiego, co dla naszego dobra robi nasz Bóg Ojciec. Jak każdy dobry ojciec, zacznie On robić swoje i udzieli nam pierwszej pomocy, pomimo naszych jęków i protestów, ale czy nie lepiej okazać Mu to zaufanie, które tak bardzo lubimy widzieć u własnych dzieci?

Niektórym trudno jest zrozumieć, jak zależność i posłuszeństwo mogą iść w parze z radością. Prawdopodobnie dali się oni zbałamucić przez zbyt liczne, tak popularne w amerykańskiej literaturze, historie o „niegrzecznym chłopcu”, który sprawia wrażenie, jakby świetnie się bawił. Powinni uważniej się przyjrzeć prawdziwym niegrzecznym chłopcom. W większości wypadków pod tym rumianym, szeroko uśmiechniętym obliczem, dostrzegą oni niepojawiane pragnienie wyolbrzymiania każdej sprawy ponad wszelkie proporcje tak długo, aż znajdą się ręce i serca, zdolne nad nim zapanować. W przeciwieństwie do tego, dziecko, które posiada prawdziwego ducha posłuszeństwa, cechuje stan beztroski, jaki jego lekkomyślnemu towarzyszowi rzadko kiedy udaje się osiągnąć. Pierwszemu przyjemność

sprawia nieposłuszeństwo, drugi cieszy się tym, co krytyk literacki, Roger Sale nazywa „głębszą rozkoszą bycia posłusznym”.

4. Nic tak dobrze nie oddaje różnicy pomiędzy chrześcijańskim a psychologicznym spojrzeniem na problem powrotu do dzieciństwa, jak poszczególne drogi, którymi każe nam się podążać. W przypadku psychologii jest to droga bycia dużym; w przypadku chrześcijaństwa — droga bycia małym. Wiele psychologicznych porad koncentruje się wokół sposobów wzmacniania naszego poczucia własnej wartości, podnoszenia własnej opinii o sobie i tak dalej. „Jesteś najważniejszym człowiekiem na świecie” — coś w tym rodzaju. Chrystus tymczasem kazał nam stać się jak dzieci.

Przeciętny człowiek łatwo zrozumie, na czym polega zaleta odzyskania łatwości, z jaką dziecko śmieje się i wpada w zachwyty — ale bycie małym? Jakie mogą być tego zalety? Chesterton udzielił kiedyś na to pytanie dobrej odpowiedzi, układając historyjkę o dwóch chłopcach, Piotrze i Pawle. Obydwu im obiecano, jak to w bajce, że zostaną spełnione ich życzenia, zatem Paweł zapragnął zostać olbrzymem, „który będzie mógł przemierzać całe kontynenty”. Tak też się stało. Tylko, że kiedy zbliżył się do Himalajów, nie wydały mu się one ciekawsze od miniaturowego alpinarium w przydomowym ogrodzie; zaś wodospad Niagara „był nie większy niż odkręcony kran w łazience”. Piotr, najwyraźniej ten mądrzejszy, wyraził życzenie przeciwne. Zapragnął być mały — „mniej więcej na pół cala wysoki”. Ponieważ chłopcy byli w ogrodzie przed domem, znalazł się teraz „na olbrzymiej równinie pokrytej wysoką, zieloną dżunglą, ponad którą wyrastały, w pewnej odległości od siebie, dziwne drzewa o koronach podobnych do słońca. (...) Mniej więcej w środku tej prerii wznosiła się góra o tak romantycznych i niewiarygodnych kształtach, a mimo to tak złowrogo wysoka i dominująca, że wyglądała niczym jakaś scena końca świata”. Piotr „wyruszył poprzez tę barwną równinę szukać przygód; do tej pory nie dotarł do jej końca”.

Fragment ten przypomina nam, że literatura mówiąca o byciu małym to zawsze literatura przygodowa: przypomnijmy sobie Guliwera wśród olbrzymów, *The Incredible Voyage* (Niewiarygodną podróż), i te zachwycające sceny z *The Once and Future King* (Niegdyśiejszego oraz przyszłego króla), w których Arturowi pozwolono obserwować życie oczami ryby lub owada. Kiedy patrzy się z właściwej perspektywy, „trawa jest wiecznym lasem zamieszkałym przez smoki” (znów Chesterton). Tą właściwą perspektywą jest oczywiście pokora. Pozwala nam ona dostrzec, jakie wszystko jest zachwycające.

ZACHWYT W TRAWIE

Jedynym naprawdę zdrowym elementem spojrzenia psychologów na dzieci jest to, że wielu z nich rzeczywiście dostrzega ten zachwyt i oddaje mu należną sprawiedliwość. Problem polega na tym, że mają oni trudności z jego wytłumaczeniem. Najlepsze wyjaśnienie, jakie im przychodzi do głowy, zasadza się na świeżości dziecięcych wrażeń. Zobaczmy, czy nam to nie pójdzie lepiej. A zacznijmy w miejscu, w którym byliśmy kilka zdań wcześniej — w trawie.

Jeden z wierszy Wordswortha zawiera słynny wers, w którym poeta mówi o „zachwycie w trawie”. Chodziło mu o zachwyt, który pamiętał z dzieciństwa. Myślę, że jeśli wysilimy umysł, uda nam się zrozumieć, do czego nawiązywał Wordsworth. Czy ktoś z was, będąc dzieckiem, leżał w wysokiej trawie i po prostu patrzył? Jeśli trawa jest wystarczająco wysoka, to gdzieś tam, w dole, rzeczywiście wygląda ona jak „wieczny las” Chestertona. Można sobie spoglądać pomiędzy źdźbła trawy, jak na leśne polanki i obserwować życie ukryte przed wzrokiem dorosłych. Są tam małe stworzenia leśne oraz polujące na nie duże zielone smoki. Czy to nie dziwne, że coś takiego mogło w ogóle istnieć? Cóż, może w waszym przypadku nie była to trawa. Może woleliście pozostawać w domu i odnajdowaliście swój zachwyt, leżąc (powiedzmy) na orientalnym dywaniku, gdzie mogliście wygodnie się usadowić na poziome kępek i włókien, i oczyma wyobraźni zapuszczać się w głąb tego egzotycznego i wzorzystego lasu. A może punktem wyjścia dla waszych marzeń był zestaw ceramicznych figurek lub szklany przycisk do papieru z zatopionymi w nim kwiatami, lub stare mahoniowe biurko z mosiężnymi uchwytami, schowkami i szufladami zamykanymi na klucz. Każda z tych rzeczy może otworzyć przed nami inny świat.

Lecz to nie wszystko. Wszystkie te zwykłe *rzeczy* (a pamiętajmy, że jesteśmy bardzo młodzi) otaczało... cóż, trudno powiedzieć dokładnie, co to było. Wordsworth wspominał o łąkach i gajach „zdobnych w cudowne światło”. Inni mówili o jakiejś aurze otaczającej rozmaite przedmioty. Wystarczy powiedzieć, że w oczach małego dziecka nawet rzeczy materialne mogą być żywe lub posiadać jakiegoś ducha. Jeśli się bardzo postaram, jestem w stanie przypomnieć sobie z najwcześniejszego dzieciństwa pewien dom (a może był to tylko obraz domu), którego jedna ściana wyrastała ponad wodą; piaskowiec na poziomie wody porośnięty był mchem. Dom ten był dla mnie czymś mitycznym, czymś, co wydawało się żyć i oddychać; nie tylko ten mech, ale cały dom zdawał się być nasiąknięty czymś, co mogę tylko nazwać „płynnym znaczeniem”. Trzeba wspomnieć o jeszcze jednej rzeczy: wydawało się, że miejsce to sięga w niezmiernie odległą przeszłość — które to pojęcie w ogóle nie powinno mi być w tym wieku znane. Co więcej, wydawało mi się, że już je kiedyś widziałem — bardzo dawno temu.

WSPOMNIENIA Z RAJU?

Jedną z osobliwości cechujących ten rodzaj przeżycia, o którym tu mówimy, jest to, że jakkolwiek byłoby ono dziwne, zawsze mu towarzyszy uczucie, że coś się rozpoznaje, że przeżywa się *deja vu*, że kiedyś już się tu było. Na przykład, uważna lektura poezji Wordswortha zdaje się wskazywać, że to, co poeta sobie przypomina, samo w sobie jest przypominaniem — wspomnieniem wspomnienia. Nie wspomina on jedynie swoich dziecięcych kontaktów z naturą, lecz coś, co jest jeszcze dalej, ponad albo poza naturą. Widzimy to również u Lewisa, opisującego zapamiętane przeżycie z lat chłopięcych, które wywołało wspomnienie szczęścia „z głębi nie lat, lecz stuleci”.

Najsłynniejszym wytłumaczeniem tego zjawiska jest platonowska teoria pamięci. Z chrześcijańskiego punktu widzenia nie jest to opis, który by w pełni zadowalał, ale to dobry punkt wyjścia. Platon uważał, że ludzie już przed urodzeniem istnieją w niebie — w czymś, co nazwał światem Wiecznych Idei. Przebywają tam w bezpośrednim kontakcie z prawdziwą istotą rzeczy: nie z tą lub tamtą konkretną prawdą, lecz z samym źródłem prawdy; nie z tym lub tamtym konkretnym pięknem, lecz z samym Pięknem. Świat, na który przychodzimy jest jedynie niewyraźnym odbiciem świata niebiańskiego; mimo to jest odbiciem, co tłumaczy dziwną znajomość rzeczy, które widzimy po raz pierwszy. Im jednak starsi jesteśmy, tym owo odbicie jest coraz mniej wyraźne. W dziecku, które dopiero co przybyło z miejsca bytowania Wiecznych Idei, to, co ziemskie, wywołuje żywsze wspomnienia. Czuje ono bardziej natarczywy ból wspomnień, dotkliwsze ukłucie radości. Lecz w miarę jak dziecko rośnie i coraz bardziej się oddala od miejsca swego pochodzenia, *rzeczy* tracą swój blask i moc wywoływania wspomnień. Ich cudowna otoczka zanika „w świetle codzienności”.

Dorośli doświadczają niekiedy powrotu owego zachwyty. Gdy słońce odbija się w wodzie w taki, a nie inny sposób, albo jakaś dawna melodia dociera do naszych uszu, nagle czujemy obecność czegoś nadzwyczaj wielkiego; wydaje się, że zstępuje na nas jakieś potężne oświecenie. Albo gdy bierzemy do ust domowy chruścik, nagle znowu jesteśmy w babcinej kuchni, a świat ponownie wydaje się bardzo duży i pełen możliwości. Jednak cokolwiek to jest, znika, skoro tylko zostaje odnalezione. Mogą upłynąć lata, zanim pojawi się na nowo. Właśnie coś takiego każe nam tęsknić do magicznych czasów dzieciństwa. I nawet jeśli już tego nie czujemy w sobie, to wciąż ów zachwyty dostrzegamy w oczach dziecka lub słyszymy w jego głosie. Owej tęsknoty nie trzeba koniecznie tłumaczyć tak, jak to zrobił Platon. Jego zasługa polega na uznaniu jej istnienia i podjęciu próby jej wyjaśnienia. Z chrześcijańskiego

punktu widzenia można by powiedzieć, że dziecko widzi rzeczy takimi, jakimi są. Nie chodzi o to, że istnieliśmy przed urodzeniem, lecz że zawsze widać ten zachwyty. Dla tych, którzy mają oczy i uszy otwarte, trawa i drzewa zawsze będą nosiły ślad obecności ich Stwórcy; lasy zawsze będą świętymi lasami. Poczucie *deja vu* może nie jest wspomnieniem jakiegoś dawnego Edenu, lecz zapowiedzią Raju, przeczuciem istnienia miejsca, do którego naprawdę należymy. Św. Paweł pisał:

„Albowiem od stworzenia świata niewidzialne Jego przymioty — wiekuista Jego potęga oraz bóstwo — stają się widzialne dla umysłu przez Jego dzieła”.

Dlaczego jednak nie widzimy wyraźnie? Osobiście doświadczywszy tych szczęśliwych chwil, łatwiej nam zrozumieć, dlaczego są one czymś tak rzadkim dla nas, a tak powszednim dla dzieci. Są to bowiem chwile samozapomnienia. Towarzyszy im utrata zainteresowania własnym „ja” oraz całkowite pochłonięcie czymś lepszym. Następuje pewne ogołocenie, które nie jest naszym własnym dokonaniem. Użyłbym tu słowa opętanie, gdyby nie rodziło ono złych skojarzeń. Należało by je w tym wypadku rozumieć jako boskie opętanie. Przeżycie to oznacza, że znajdujemy się pod wpływem czegoś lub kogoś innego. Z tego powodu wszelkie próby panowania nad sobą lub zachowania zimnej krwi są tu nie na miejscu. Aby wkroczyć w ten świat, trzeba wszystko to zostawić za drzwiami.

DWIE NAUKI

Płyną z tego dwie nauki. Pierwsza dotyczy pomysłu psychologów, aby odtworzyć w sobie dziecko. Psychologowie, którzy promują tę ideę, powinni naprawdę bardziej uważać na stosowane przez siebie terminy. Stać się jak dziecko? Wspaniale. Z chrześcijańskiego punktu widzenia — koniecznie. Lecz uczynienie tego naprawdę oznacza rezygnację z większej części psychologicznego programu, zwłaszcza tej jego części, która koncentruje się na powiększeniu siebie samego. Jeśli ktoś utrzymuje, że jest dla świata darem Bożym, to raczej mało prawdopodobne, aby potrafił docenić i przyjąć dary Boże przeznaczone dla niego.

Druga nauka dotyczy problemu zażywania narkotyków. Wydaje mi się oczywiste, że zażywanie narkotyków to najczęściej mniej lub bardziej świadoma próba odzyskania czegoś, co odeszło wraz z dzieciństwem. Osoby biorące narkotyki mówią z przejęciem o żywości kolorów, o zdających się ożywać przedmiotach materialnych, o typowym dla dzieci poczuciu rozciągnięcia wszystkiego w czasie (pamiętacie jak lato zdawało się być całą wiecznością?). I prawdą jest, rzecz jasna, że można w sposób sztuczny wyłączyć własne *ego* i tym samym otworzyć się na niezwykle przeżycia. Z pewnością jednak powinno to nam coś mówić na

temat naszego stanu, skoro w taki sposób chcemy mu zaradzić. Nastolatki lub osobie dorosłej potrzebne są drogie środki chemiczne oraz rozmaite rekwizyty;

dziecku wystarczą robaczki świętojańskie, poranny szron lub pies z sąsiedztwa. W pierwszej metodzie nie ma nic z pokory; jest to zuchwała próba łapania przeżyć i sprawienia, by pojawiały się one na każde nasze zawołanie.

Mało tego, jest to zła metoda, ponieważ przeżycia te nie mają być celem samym w sobie, lecz tylko wskazówkami kierującymi nas ku czemuś poza nimi. Są to obrzeża chwały, nie sama chwała, i jeśli nie wyjdziemy poza te doznania, ku rzeczywistości, którą wskazują, obrzeża te wytrą się i wyblakną. Będziemy coraz bardziej rozpaczliwie próbowali odtworzyć coś, czego nie da się odtworzyć, lecz co należy dopiero odkryć. Z samej swej natury przeżycia te mówią nam: „Nie jestem tym, czego chcesz, jedynie posłańcem tego czegoś”. Powiedziawszy to, spełniły swój cel: cel, który my niweczmy, skupiając się na posłańcu, a ignorując samo przesłanie. Lewis, któremu lektura poezji i mitów zdawała się dostarczać przeżyć, jakie innym dostarczają narkotyki, doszedł do tego wniosku po swoim nawróceniu. Pisał on: „To było cenne tylko jako wskazówka, kierująca ku czemuś innemu i znajdującemu się na zewnątrz. Podczas gdy to coś innego było wątpliwe, wskazówka w naturalny sposób budziła mój niepokój. Kiedy zgubimy się w lesie, widok drogowskazu ma dla nas ogromne znaczenie”. Nie należy jednak marnować czasu na wpatrywanie się w drogowskazy, jeśli droga jest oczywista i kiedy, jak mówi Lewis, „Będziemy w Jeruzalem”.

BALDACHIM ŁADU

Radość dzieciństwa nie jest czymś, do czego dążymy w sposób bezpośredni, starając się odtworzyć przeżycia z czasów dzieciństwa niczym dorosły, który wkłada się do przedszkola po to, by pojeździć sobie na koniku na biegunach. Wydaje się, że zachowanie tej radości uzależnione jest raczej od tego, co na pierwszy rzut oka może się wydawać jej przeciwieństwem: od poczucia obowiązku, wstrzeźliwości, a poza tym od świadomego podtrzymywania różnicy pomiędzy dzieckiem a dorosłym. Dorosli mają światło objawienia, nie potrzebują już cudownego światła z wiersza Wordswortha. Im więcej uwagi będą poświęcać chrześcijańskim obowiązkom, tym bardziej zapomną się i, paradoksalnie, przekonają się, że stając się bardziej dorośli — stali się bardziej podobni do dzieci, a zatem zdolni do odczuwania dziecięcej radości. Dziecko z kolei potrzebuje na tyle silnych dorosłych, by potrafili oni wznieść nad jego głowę baldachim ładu i spokoju. Ma ono prawo do zachwytu, nie zaś niepokoj. Po czymś takim zadanie przeprowadzenia go od objawienia

naturalnego do objawienia boskiego będzie łatwiejsze.

Rzeczywiście powinniśmy stać się jak dzieci, lecz powinniśmy jasno powiedzieć, co przez to rozumiemy. Szczęście dzieci (i ich szczególna cnota) bierze się nie z ich wolności, czy samoświadomości lub poczucia własnej wartości (wszystko to są zmartwienia dorosłych oraz młodzieży), lecz z ich uczucia zadziwienia i z bezpieczeństwa, jakie zapewnia właściwie zorganizowane społeczeństwo dorosłych.

ROZDZIAŁ XV

Czego uczy nas romantyczna miłość?

W którym miejscu psychologia myli się co do miłości?

Seks i wyjątkowość

W poprzednich rozdziałach utrzymywałem, że chrześcijańskie spojrzenie na świat bliższe jest naszemu doświadczeniu niż jakiegokolwiek inne. Uważam, że to samo dotyczy chrześcijańskiego spojrzenia na miłość. Wbrew powszechnemu mniemaniu. Kościół nie jest ani zbyt sentymentalny, jeśli chodzi o śluby, ani zbyt ograniczony w sprawach seksu. I w jednym, i w drugim wypadku jego stosunek jest po prostu bardzo realistyczny.

DWA OBLICZA MIŁOŚCI

Nasze doświadczenie miłości ma dwa oblicza. Większość z nas była kiedyś zakochana i znalazła w tym stanie coś, co znacznie przerasta zwykłe życie. Powiedzieliśmy sobie: „Takie właśnie powinno być życie!” i postanowiliśmy je tak właśnie przeżyć. Jakiś czas potem większość z nas stwierdziła, że ten stan uczuciowy nie spełnia wiązanych z nim nadziei. Niektórzy od razu dali sobie spokój i stali się oziębli oraz wyrachowani w swoim zainteresowaniu płcią przeciwną. Inni brnęli dalej, pomimo miłosnych rozczarowań i rozstań, ku bardziej dojrzałej miłości. Lecz, jak się okazało, nawet ona była czymś znacznie trudniejszym, niż można było kiedykolwiek przypuścić.

Tak, o ile się nie mylę, wygląda zwykłe doświadczenie miłości. Aby należycie uchwycić jego istotę, potrzebne nam jest takie jego objaśnienie, które nie będzie odbierać sensu ani jednemu, ani drugiemu zespołowi faktów. Objaśnienie to można odnaleźć w tym, co chrześcijanie określają jako zaślubiny Chrystusa z Jego Kościołem. Małżeńska miłość wraz z wszystkimi krokami do niej wiodącymi jest symbolem miłości Chrystusa do swej oblubienicy. Kościoła. Więcej, jest ona uczestnictwem w tym świętym związku. Dlatego św. Paweł nazwał ją „wielką tajemnicą”. Z chrześcijańskiego punktu widzenia. Ewangelia opowiada historię miłosną o oblubieńcu (Chrystusie), który wybiera dla siebie raczej mało obiecującą kandydatkę na oblubienicę (nas) i zaczyna ją upiększać tak, aby była „bez plamy i skazy”. Część Apokalipsy poświęcona jest opisowi przyszłej uczy weselnej.

Z pewnością nie-chrześcijaninowi lub osobie religijnie obojętnej wszystko to wyda się dość tajemnicze, jeśli nie wręcz naciągane. Chrześcijańscy nauczyciele zawsze odpowiadali: „Owszem, rzeczywiście brzmi to tajemniczo, lecz jeśli do miłości i małżeństwa nie podchodzi się jak do tajemnic, to okazują się one po prostu nieudane”. Nie oznacza to, że niechrześcijańskie małżeństwa są nieudane. Ważny jest szacunek dla świętości i tajemnicy związku małżeńskiego. Na przestrzeni wieków większość społeczeństw tak właśnie go traktowała.

Odbiegam jednak od tematu. Tylko taka teoria, jak ta o zaślubinach Chrystusa z Kościołem, pozwoli nam poważnie traktować zarówno romantyczne wzloty z czasów młodości, jak i szachownicę blasków i cieni, z jakich składa się małżeństwo. Ronald Knox, w zabawnym acz pouczającym tekście, każe Kościołowi mówić do pary narzeczonych: „A więc chcecie się pobrać, nieprawdaż? Znaczy, że chcecie naśladować Jezusa Chrystusa w Jego Wcieleniu. Cóż, niech wam Bóg błogosławi; jeśli ma to się wam udać, będzie wam potrzebna wszelka łaska, jaką uda mi się dla was wysupłać, całe wiano łask”.

Naturalnie niewielu z nas myśli w ten sposób. Na ogół jednak stwierdzamy, że jeśli małżeństwo ma być udane, będzie wymagało od nas wielu poświęceń. Małżonkowie poświęcają dla siebie życie na nieskończenie wiele niespektakularnych (a czasami spektakularnych) sposobów: te plany porzucają, z tamtej rzeczy rezygnują; oddają sobie czas, który zamierzali przeznaczyć na jakąś inną przyjemność. Kiedy składamy przysięgę drugiej osobie, nasze „ja” faktycznie przestaje należeć do nas; albo będziemy musieli przestać dla niego istnieć, albo małżeństwo rozpadnie się na naszych oczach. Jezus przykazał swym uczniom: „abyście się wzajemnie miłowali, tak jak Ja was umiłowałem”. Wówczas tego nie wiedzieli, ale później okazało się, że „tak jak Ja was umiłowałem” znaczyło „aż do śmierci”. Czy nie jest tak, że w małżeństwie — zwłaszcza w małżeństwie — dany jest nam przywilej miłowania tak, jak to robił Chrystus?

WIĘKSZA PRZYGODA MIŁOSNA

Może się wydawać, że ogromna przestrzeń dzieli tak doniosłe sprawy od romantycznej miłości z pochopnymi przyrzeczeniami i żarliwymi zapewnieniami, a jednak jest ona w pewnym sensie kawałkiem tej samej tkaniny. Kościół nie umniejsza naszych porywów miłosnych, nazywając je młodzieńczymi lub głupimi. Spogląda na naszą lekkomyślną, nie baczącą na koszty zuchwałość i mówi: „Dobrze. Twój stosunek do miłości jest prawidłowy. Właśnie taki brak opamiętania i oddanie będą ci potrzebne. Gotów jesteś zmierzyć się z

wszelkimi przeciwnościami, ponieść każdą ofiarę? Dobrze. Tak właśnie Chrystus miłuje swój lud".

Kościół mówi także kilka innych rzeczy. Kiedy spotyka nas zawód miłosny albo obietnice stają się coraz słabsze, lub wszystko to po prostu nie jest tym, czym być miało. Kościół przypomina nam, że żadna z naszych ziemskich miłości nie jest w stanie zaspokoić naszej tęsknoty. Zostaliśmy stworzeni z myślą o większej przygodzie miłosnej. Słowem, zakochanie się, podobnie jak inne rzeczy, rozumiane jest właściwie wówczas, gdy widzi się w nim pewną wskazówkę lub kierunkowskaz. Ma ono nas nauczyć, że to, czego szukamy znajduje się gdzie indziej. Nie znaczy to, że Kościół nie podchodzi poważnie do naszych przyrzeczeń i zapewnień. Jeśli nie będziemy uważać, przekonamy się, że trzyma nas za słowo. Kościół, pisał Chesterton, żywi tak wielki szacunek dla człowieka, że „wypisze jego przysięgę na niebie", a następnie każe mu jej dotrzymać. Kościół nie narzuca nam tej przysięgi — zakochani, którzy wycinają w dębie swe inicjały lub odciskają je w cemencie, nie czynią tego za namową miejscowego księdza — on jedynie uprawomocnia nasze naturalne skłonności i stawia na nich świętą pieczęć.

POZA NATURALNĄ MIŁOŚCIĄ

Prędzej czy później, kiedy znajdujemy to, co Lewis w *The Four Loves* (Czterech miłościach) nazwał „nieomylnym dowodem na to, że naturalna miłość nie «wystarczy»". Kościół przypomina nam, że zawierając małżeństwo obraliśmy nadprzyrodzony kurs. Nasza miłość musi się ponownie urodzić wraz z naszym życiem. Naturalna miłość musi się przekształcić w chrześcijańską cnotę, ponieważ miłość, aby pozostać kochającą, potrzebuje czegoś więcej niż samej miłości.

Rzecz jasna, bardzo niewiele świeżo zakochanych osób da się o tym przekonać. Z umiejętności kochania można być zadowolonym, tak jak z wszystkiego innego. Często postawa młodego człowieka jest mniej więcej taka: „Nie potrzebuję żadnej pomocy; moja miłość jest wystarczająco silna sama w sobie". Mając zatem nawet największą ochotę złożyć własne śluby wierności, może on nie widzieć potrzeby robienia tego w obliczu Boga w kościele. Jego postawa przypomina raczej stosunek większości z nas do siebie samych, kiedy wszystko układa się po naszej myśli. Wydaje nam się, że sami możemy o sobie zadbać; odpowiada nam to, jacy jesteśmy, bez zwracania sobie głowy powtórny narodzeniem.

W ten sposób powracamy do psychologicznego punktu widzenia. Zanim jednak przystąpimy do jego omówienia, przypomnijmy sobie najważniejsze rzeczy omawiane na

kilku ostatnich stronach.

Chrześcijaństwo nie zaprzecza prawdzie naszego doświadczania miłości. Zakochawszy się, czujemy, że znaleźliśmy lub prawie znaleźliśmy *rzecz*, która jest najwspanialsza; przeżywając dojrzałą miłość, stwierdzamy, że musimy robić rzeczy, które są najtrudniejsze. Chrześcijaństwo przypisuje to dwojakie ujęcie temu, że jako oblubienica jesteśmy przygotowywani dla naszego oblubieńca. Oznacza to, że musimy być kształtowani tak długo, aż nie zaczniemy kochać tak, jak kocha Chrystus. A Chrystus kochał nas namiętnie — to znaczy zarówno z wielkim pożądaniem, jak i z wielkim cierpieniem.

Gdy zaś psychologowie wypowiadają się na temat miłości, nie mają na myśli niczego w tym rodzaju. Choć mogą mieć wiele do powiedzenia o miłości (często rzeczy, które są w pewnym sensie słuszne), niewielu z nich będzie narażać nasze szczęście w imię miłości, tak jak to robi chrześcijaństwo. Stojąc w obliczu tych samych faktów, co chrześcijanie, świat psychologii zwykle dochodzi do wniosku, że stawka jest zbyt wysoka. Psycholog widzi wyraźnie, że zakochanie kończy się zwykle klęską i że miłość małżeńska może się skończyć jeszcze większą katastrofą. Dysponując jedynie naturalnymi narzędziami, nie każe on nam postawić wszystkiego na miłość lub powierzyć swego losu przypadkowi (tak jak chrześcijanie powinni powierzyć swój los Duchowi Świętemu). Jednak przyjmując tak ostrożne stanowisko, jest on równocześnie zmuszony kazać nam odstawić na bok prawdę naszego doświadczenia.

CZEGO UCZY NAS ROMANTYCZNA MIŁOŚĆ?

Na przykład, jedną z prawd, których doświadczamy, będąc zakochani — zwłaszcza nieszczęśliwie — jest to, że sami w sobie jesteśmy niekompletni. Jak to ujął Lewis, jesteśmy „jedną wielką potrzebą”. Intuicja podpowiada nam wówczas, że dopóki się nie zakochaliśmy, żyliśmy tylko połowicznie. Zdajemy sobie wówczas sprawę, jak bardzo nasza pełnia uzależniona jest od kogoś innego. Bez miłości czujemy się prawie niczym. Jak wielka pustka w nas tkwi, kiedy jesteśmy zupełnie sami.

Otóż chrześcijaństwo głosi, że w tym odmiennym stanie możemy dostrzec prawdziwą naturę rzeczy — naszą pustkę bez Boga i to, że nasze spełnienie się jest całkowicie uzależnione od Niego. Natomiast psychologia może nam jedynie powiedzieć, że myliliśmy się, sądząc, iż jesteśmy niekompletni; ludzie mogą i powinni osiągać samospełnienie. Błędem było zdanie się na kogoś innego. To bardzo niezdrowe. Jeśli „sięgniemy głęboko do środka”, odnajdziemy pełnię, której potrzebujemy.

Jednak bycie samowystarczalnym nie oznacza braku miłości. Psychologia dodaje nam w tej sprawie otuchy. Łatwiej będziemy mogli dawać miłość i ją otrzymywać. Wszystko to przyjdzie w naturalny sposób, w wyniku naszego samodoskonalenia, tak, jak ładna pogoda następuje po wzroście ciśnienia atmosferycznego. Kiedy nie będziemy potrzebowali miłości, będziemy ją mieli.

MIŁOŚĆ-B I MIŁOŚĆ-D

Postawa taka tłumaczy, skąd w niektórych środowiskach psychologicznych bierze się tyle pogardy (objęła ona także środowiska feministyczne) dla miłości zrodzonej z potrzeby. Odkąd Abraham Maslow dokonał rozróżnienia pomiędzy „miłością-B” (płynącą z pełni naszego jestestwa i nie potrzebującą niczego w zamian) a „miłością-D” (potrzebą miłości wynikającą z pewnego wewnętrznego braku), psychologowie opowiedzieli się za miłością-B. Na przykład Fritz Perls sądził, że zakochani nie powinni od siebie niczego oczekiwać. Erich Fromm uważał, że dojrzałą miłość charakteryzuje bezinteresowne uznanie. Niczym Bóg szóstego dnia, odnotowujemy po prostu, że istnieją inni ludzie i mówimy, że jest to dobre. Innymi słowy, miłość oznacza utwierdzenie innych w ich istnieniu; podstawowym sposobem uczynienia tego jest pozwolić im być sobą. Również my sami możemy od czasu do czasu potrzebować takiego utwierdzenia, jednak nie oznacza to, że czegokolwiek nam brakuje. Nadal jesteśmy kompletni. Potrzebujemy tylko potwierdzenia tego faktu. Prawdopodobnie po jakimś czasie nie będzie nam potrzebne nawet i to.

Wiem, że brzmi to trochę po chrześcijańsku. Mało tego, niektórzy z psychologów, o których wspominałem, przedstawiają Chrystusa, wraz z Buddą i innymi, jako dobry przykład miłości-B. Jezus dobrze opanował sztukę odnajdywania w sobie pełni, umiał też wszystko docenić. W tej wersji Ewangelii Chrystus (proszę wybaczyć analogię) to ktoś w rodzaju Byczka Fernando, który sobie siedział i wachał kwiatki i, z jakiegoś niewyjaśnionego powodu, został zaciągnięty na arenę. Pominąwszy walkę byków, która była poważnym błędem, powinniśmy naśladować sposób, w jaki kochał Chrystus. Innymi słowy, powinniśmy nauczyć się po prostu być sobą i dawać innym wolność i przestrzeń, aby mogli być sobą. Żyj i pozwól żyć innym. To właśnie jest miłość.

MIŁOŚĆ CHRYSTUSOWA

Ten wygładzony obraz miłości jest bardzo pociągający — zwłaszcza dla tych, których

bardziej interesuje własna wolność niż miłość. Jego wadą jest jednak to, że ma on niewiele wspólnego z Chrystusem. Miłość Chrystusa nie była liberalna i niezaborcza. Ewangelia ukazuje nam raczej człowieka targanego potężnymi namiętnościami, który potrafił płakać przy wszystkich i fizycznie pomiatać ludźmi. Trudno czasem uniknąć skojarzenia z namiętnym kochankiem: człowiekiem gotowym działać pochopnie, byleby tylko zdobyć swą ukochaną, gotowym urządzać jej sceny na ulicy; gotowym posunąć się niemal tak daleko, by skrepiować ją i wlec po ziemi.

Jednocześnie jednak jest On niewątpliwie władcą. Wszystko musi się dziać zgodnie z Jego wolą. Nie ma dowodu na to, że zamierza On zaakceptować swą oblubienicę taką, jaką ona jest i taką ją pozostawić: „Musisz być doskonała”, mówi. Zamiast powiedzieć jej: „Nie jesteś na świecie, by spełniać moje oczekiwania”, daje do zrozumienia, że właśnie dlatego żyjemy na tym świecie. Zdaje się być przekonany, że wie lepiej od innych ludzi, co jest dla nich dobre. Z pewnością nigdy nie słyszał o partnerskiej metodzie wychowania. Opowiada przypowieść o człowieku, który wyprawił wielką ucztę. Kiedy zaproszeni goście nie przybywają, gospodarz wysyła swoją służbę na ulicę i każe im przyprowadzić przechodniów: „Zmuszajcie do wejścia” — rozkazuje.

Wyliczam to wszystko nie po to, by sugerować, że Bóg w Chrystusie cierpi na miłość wynikającą z potrzeby — zdaniem teologów wcale tak nie jest — lecz by pokazać, że miłość — jaką On nam zaleca, dając swój przykład — jest dokładnym przeciwieństwem tego do czego chcą nas namówić psychologowie. Jedyna rzecz, jaką nie może się charakteryzować miłość to obojętność. Miłość może być wymagająca, może nawet być pochlebiana, lecz nie może być zblazowana.

Z tego powodu, jak sądzę, musimy mieć się na baczności przed niektórymi rzeczami, które obecnie uchodzą za miłość. Miłość, jeśli oznacza ona stawanie się kimś, kto jest emocjonalnie ponad tym wszystkim, w rzeczywistości nie jest miłością, lecz schlebaniem sobie. I nie jest ona komplementem dla osoby, którą kochamy. Kto chce być kochany w sposób całkowicie bezinteresowny? Kto chce być przedmiotem miłości, która nie chce ani nie potrzebuje niczego, co moglibyśmy dać w zamian? Chcielibyśmy czuć, że jesteśmy potrzebni, a nie tylko korzystać z czyjś miłosierdzia.

Podobnie też nie wyświadcza nam żadnej przysługi człowiek, który zawsze jest tkliwy i uśmiechnięty, i szczerze obdarza wszystkich swoją miłością, lecz którego obchodzimy akurat tyle, co zeszłoroczny śnieg. Pragniemy, aby nas chciano, wyróżniano; wolimy sądzić, że kochająca nas osoba wybrała nas po uprzedniej selekcji. Oczywiście, w miłości z potrzeby można posunąć się do skrajnego egoizmu i nienasycenia, jednak w codziennym życiu jest ona

odbiciem naszej kondycji jako istot ludzkich. Faktem jest, że jesteśmy naprawdę w potrzebie, naprawdę potrzebujemy uzupełnienia. Jeśli n i e odczuwamy miłości z potrzeby, może to oznaczać, że jesteśmy całkowicie oderwani od rzeczywistości lub że coraz bardziej twardniejemy, stając się niekochającą i odpychającą istotą.

W KTÓRYM MIEJSCU PSYCHOLOGIA MYLI SIĘ CO DO MIŁOŚCI?

Chce nam się jeść i pić, lecz głodu i pragnienia nie zaspokoi nic, co jest wewnątrz nas. Komuś, kto przymiera głodem nigdy byśmy nie kazali żywić się swym wewnętrznym pokarmem. Czy tym, którzy odczuwają głód miłości mamy powiedzieć, by kochali samych siebie swą wewnętrzną miłością? Proszę mnie dobrze zrozumieć — nie mówię, że wszystkie porady psychologiczne na temat miłości są tego rodzaju. W kilku świetnych pracach poświęconych temu zagadnieniu — na przykład *Love and Will* (Miłość i wola) Rollo Maya — przyznaje się, że z natury potrzebujemy miłości. Ich autorzy z reguły nie mówią, że nasz przypadek jest aż tak poważny, jak twierdzą chrześcijanie, lecz jest w tych pracach chociaż to, co chrześcijanin nazwałby postawą realistyczną.

Autorów tych można dla wygody podzielić na dwie kategorie. Pierwsi (ci mniej wyrafinowani) przyznają, że potrzebujemy miłości — na razie wszystko w porządku — jednak później zaczynają traktować ową potrzebę jako jedyną rację naszego istnienia. Czytając tych autorów, odnosi się wrażenie, że w związku dwu osób najważniejsze jest zaspokojenie ich potrzeb — jeśli trzeba, należy domagać się ich zaspokojenia. Nie jest to, moim zdaniem, dużo lepsze od opinii, jakoby nikt nam nie był potrzebny. Sprowadza to innych ludzi do roli tych, którzy mają zaspokajać nasze potrzeby i zamienia nasze związki w wyrachowane przygody miłosne. Wprawdzie takie wykalkulowane podejście do miłości nie zawsze wynika z małoduszności, lecz w sumie jest to błędne nastawienie. „Czy moje potrzeby są zaspokajane?” „Czy więcej daję niż otrzymuję?” „Ile wysiłku powinienem zainwestować w związek?”

Postawa taka przywodzi mi na myśl młodego człowieka, który jakiś czas temu przyszedł rzucić okiem na mój piec centralnego ogrzewania. Ukończył właśnie kurs doskonalenia zawodowego w zakresie ogrzewania domów i z tego, co mówił, wynikało, że nie powinienem interesować się niczym innym, tylko tym, czy mój piec funkcjonuje maksymalnie wydajnie, jak energia wyjściowa ma się do energii wejściowej, czy strych jest szczelny; że koszty zakupu nowego bojlera zwrócą się po trzech latach, czy też że mógłbym skorzystać ze specjalnej ulgi podatkowej. Jego słowa krążyły mi wokół głowy niczym rój much.

Oczywiście, wszystko to były bardzo pożyteczne rady, jednak nie chciałbym podporządkowywać temu mojego życia domowego, czuwając całymi dniami z pistoletem uszczelniającym w jednej ręce i tabelą oprocentowania lokat i kredytów bankowych w drugiej.

Tak samo można się zetknąć z ludźmi, którzy jakby dopiero co wrócili z kursu, na którym wyliczono wszystkie energetyczne współczynniki miłości. Zdają się oni uważać, że związek dwojga osób powinien przypominać zestawienie bilansowe, tak jakby nowa żona musiała się spłacić w ciągu trzech lat. Podobny jest ich stosunek do posiadania dzieci.

Zdrowy rozsądek mówi nam, że w życiu nie da się niczego w ten sposób wyliczyć; chrześcijaństwo mówi nam, że nie należy tego robić. Każda miłość jest nierozzerwalnie związana z cierpieniem. Nie unikniemy go, cokolwiek będziemy robić. Lepiej przyjąć taki los, jaki zsyła nam Bóg, niż całkowicie utracić zdolność kochania — bo łatwo może do tego dojść, jeśli podchodzimy do miłości w ten sposób. Miłość wymaga ducha entuzjazmu, nie zaś ducha strategicznych manewrów.

Te ostatnie wszystkim nam są znane, wszyscy też uciekamy się do nich w rozmaitych sytuacjach. Z pewnością zazналиście uczucia frustracji, kiedy podjechawszy wózkiem do kas zatłoczonego supermarketu, stwierdziliście, że przy każdej z nich stoi długa kolejka. Ustawiacie się w jednej, lecz nie przestajecie uważnie obserwować przesuwania się pozostałych. Nie ma sensu stać w swojej kolejce, jeśli jakaś inna przesuwa się szybciej. Nie chcielibyście jednak, by taka niezobowiązująca postawa była czymś pożądanym w życiu małżeńskim, niezależnie od tego, ilu ludzi by ją zalecało. W tej sytuacji jest ona zabójcza i z pewnością wszystko obróci wniwecz.

Druga kategoria autorów (do której zaliczyłbym Rollo Maya) znacznie przewyższa pierwszą. Psychologowie ci piszą niezwykle przekonująco o potrzebie znalezienia bardziej dojrzałej miłości, opartej na zasadzie dawania i brania, spodziewając się znaleźć w niej zarówno to, co dobre, jak i to, co złe. Uznają oni istnienie w miłości pierwiastka tragicznego, i podkreślają znaczenie wzajemnego oddania. Rzeczą, której musimy się sprzeciwić jest nie to, co w ich dziele można znaleźć, lecz to, czego w nim znaleźć nie można. Mamy tam dogłębną analizę i rozsądne porady, głębsze zrozumienie, lepsze sposoby odnoszenia się do siebie. Brakuje jednak racjonalnej podstawy do trwania w związku, w razie gdy rzeczy te okażą się nieskuteczne. Pytanie dlaczego, pomimo wszelkich przeciwności, nadal chcemy być z sobą, w ogóle się nie pojawia. Po prostu zakłada się, że z jakiegoś powodu tak właśnie jest.

Jednak właśnie to, co się zakłada, powoduje całą różnicę. W gruncie rzeczy „racjonalna podstawa” to złe określenie. Myślę, że lepszym jest „wizja”; a jeszcze lepszym „wspólna

wizja". Na podstawie codziennej obserwacji wiadomo, że pomiędzy ludźmi, których jednoczy wspólny cel lub zadanie, wspólne zamiłowanie do czegoś poza nimi — jak na przykład chór albo klub turystyczny — istnieje trwalsza więź niż pomiędzy ludźmi, którzy jednoczą się tylko po to, by się jednoczyć — na przykład w grupie wspólnotowej.

Chesterton powiedział, że „silne organizmy mówią nie o swoich procesach wewnętrznych, lecz o swoich celach”. „O sprawności fizycznej człowieka — pisał w *Heretics* (Heretykach) — najlepiej świadczy to, że mówi on z entuzjazmem o podróży na koniec świata”. Gdy natomiast ktoś zaczyna mówić o swojej przemianie materii oraz tętnie, zaczynamy zastanawiać się nad stanem jego zdrowia. Członkowie grup wspólnotowych nie planują swych podróży tak, jak to robią członkowie klubów turystycznych; raczej rozmawiają o zachodzących w nich procesach: „Jakie uczucia we mnie wzbudzasz” lub „Jak reaguję, kiedy mówisz to o mnie”. Znakomicie. Lecz nie można tak rozmawiać w nieskończoność. Staje się to nieznośnie nudne. I nie jest dobrze dla małżeństwa, gdy dwoje ludzi mówi bez przerwy o tym, co każde z nich czuje. Można przecież robić coś innego. Wędrówka przez życie, jakkolwiek to się może wydawać wyświechtane, to nienajgorsza marszruta dla małżeństwa.

WSPÓLNE WSPOMNIENIA

Może coś, co powiedzieliśmy wcześniej na temat doniosłości opowieści pozwoli nam lepiej zrozumieć tę kwestię. Powiedzieliśmy wówczas, że życie powinno być opowieścią. Z tych samych powodów możemy tutaj powiedzieć, że małżeństwo powinno być wspólną opowieścią: czymś, czego nie można się doczekać, czymś, na co się spogląda wstecz. Ktoś powiedział, że miłość to w dziewięćdziesięciu procentach wspomnienia. Nie mam absolutnej pewności co do tej liczby, lecz nie ulega wątpliwości, że przyjemność, jaką daje opowieść podwaja się, jeśli mamy ją komu opowiedzieć, zwłaszcza jeśli osoba ta zna i lubi ją tak samo, jak my. Jedną z rzeczy, które nadają miłości siłę i trwałość są wspólne wspomnienia: możliwość zapytania: „Pamiętasz kiedy...” Pamiętasz tamten weekend w domku na wsi? Pamiętasz, jak się zgubiliśmy na Bronxie? Pamiętasz tamte wakacje w górach?

Z kolei przypuśćmy, że jesteśmy w średnim wieku lub jeszcze starsi, i nie mamy z kim się podzielić opowieścią. Był wspólny weekend z A w domku na wsi, lecz A zniknęła z naszego życia wiele lat temu. Było tych kilka dni z B w Nowym Jorku, lecz B jest już zamężna i mieszka gdzie indziej. Były wakacje z C w górach, lecz straciliśmy C z oczu. Pozostajemy zatem z całą serią przedmów i może początkami kilku rozdziałów. A mogliśmy mieć całą opowieść.

Właśnie na tę potrzebę wizji i wspólnej opowieści chrześcijaństwo potrafi odpowiedzieć tam, gdzie nie potrafi tego uczynić psychologia. Całkiem trafnie odpowiada ono opowieścią o zaślubinach — opowieścią o Chrystusie i Jego Oblubienicy. Jest to, jak mówi Kościół, opowieść, dla której się urodziliśmy. I choć możemy już mieć swoje lata, wciąż znajdujemy się w pierwszych rozdziałach tej książki. Spośród wszystkich głosów, ośmielających się uczyć nas życia, ten przemawia z bezgranicznym spokojem. Bowiem, jak słyszymy, dzięki rozważnemu podawaniu wina pan młody zachował najlepszy gatunek na koniec.

MIŁOŚĆ SEKSUALNA

O jeszcze jednej rzeczy trzeba powiedzieć. Dobrym punktem wyjścia będzie cytata z Goethego. „Każde stulecie — pisał Goethe -...próbuję uczynić to, co święte — pospolitym, to, co trudne - łatwym, to, co poważne — wesołym, wobec czego można by nie mieć żadnych zastrzeżeń, gdyby nie fakt, że niszczy się tym samym zarówno powagę, jak i wesołość”. Powiedziałem już wcześniej, że jeśli miłości i małżeństwa nie traktuje się jak świętych tajemnic, nie mogą one być udane. Nie trzeba chyba dodawać, że w ostatnich latach tak ich nie traktowano, wskutek czego w ogóle nie są tym, czym być powinny. Z pewnością nie możemy zrzucać całej winy za ten stan rzeczy na psychologię. Wydaje się jednak, że psychologia ów proces tylko przyspieszyła. Nauki społeczne z natury rzeczy dążą do zredukowania tajemnicy, celem ich jest rozjaśnianie ciemności jaskrawym światłem. Nie wszystko jednak da się w ten sposób wydobyć na światło dzienne. Jak dobrze wiemy, nie można tego zrobić z negatywem fotograficznym, potrzebna jest nam ciemnia. Również innym rzeczom szkodzi nadmiar światła. Jedną z nich jest seks.

Jeżeli ktoś dziś mówi, że seks jest czymś świętym, naraża na śmieszność. Lecz dzieje się tak tylko dlatego, że bardzo skutecznie przeprowadzono zabieg demistyfikacji. Gdyby ktoś zdołał uprowadzić księżniczkę, ubrał ją w łachmany i uderzył w głowę tak, aby jej mowa stała się niezrozumiała, a później powiedział swym kompanom, że jest ona księżniczką, z pewnością żaden z nich by mu nie uwierzył.

Jeśli chodzi o miłość seksualną, nasze społeczeństwo jest w podobnej sytuacji. Trudno nam zrozumieć, w jaki sposób coś, co znajduje się na dole, może się również znajdować na samej górze. Biorąc pod uwagę, jak nisko upadł seks, stając się czymś powszednim i łatwo dostępnym, nie należy się dziwić, że górę bierze interpretacja psychologiczno-medyczna, utrzymująca, że seks nie jest niczym świętym. Jest czymś naturalnym, jednym z wielu procesów biologicznych. Więc jedzmy, pijmy, śpijmy, uprawiajmy seks i bądźmy zdrowi.

Chrześcijaństwo nie może na coś takiego przystać. Podobnie jak nie mógł na to przystać świat pogański. Starożytni Grecy byli przekonani, że miłość jest bogiem, a seks boginią. Rzymianie uważali, że tylko dziewice mogą pilnować świętego ognia. Czasami również my sami nie godzimy się na zbyt lekkie traktowanie seksu. Widzimy, choć nie tak wyraźnie jak dawniej, że seks jest czymś wydzielonym, nie należącym do sfery publicznej, że to, co się dzieje za zamkniętymi drzwiami nie jest przeznaczone do wyświetlania w kinie.

Myślę, że możemy pójść jeszcze dalej i stwierdzić, że nawet nasze naturalne odruchy potwierdzają ten pogląd. Ową świętość oddaje między innymi milczenie oraz fakt, że o pewnych sprawach się nie mówi — albo mówi się z poczuciem ich wyjątkowości. To, że zwykle rumienimy się i jękamy, lub staramy się być na siłę rzeczowi, kiedy rozmawiamy o seksie, wcale nie oznacza, że jesteśmy relikdami purytanizmu. Oznacza tylko, że mamy świadomość, iż omawiana tematyka nie jest zjawiskiem czysto biologicznym. O ile mi wiadomo, jeszcze nikt się nie zarumienił, tłumacząc dzieciom jak należy jeść grejpfruta.

Jeśli nie zrozumiemy, że chrześcijaństwo uważa miłość seksualną za rzecz świętą, nigdy do końca nie zrozumiemy, dlaczego kładzie ono tak wielki nacisk na to, by seks był obwarowany rozmaitymi zastrzeżeniami i ograniczeniami. Tak jest w przypadku wszystkich *rzeczy* świętych. Chrześcijaństwo uważa seks nie za coś złego, lecz za coś bardzo ważnego. Jak inne ważne *rzeczy*, zasługuje on na to, by go chroniły obiektywne reguły i nie unosiły podmuchy zmiennych uczuć. Chrześcijańskie stanowisko w tej sprawie jest dość jasne. Miłość seksualna jest zbyt ważna, by zdawać się tu na spontaniczność. Poprawność naszego prowadzenia się w sferze seksu nie zależy od intensywności chwilowych uczuć, lecz od obiektywnych kryteriów, od tego, czy oraz komu złożyliśmy przysięgę. Jakże inaczej mogłoby być? Nie wolno nam się zasłaniać twierdzeniem, że „wszystko w porządku, jeśli się kochacie”. A tym bardziej argumentem, że „nie może to być nic złego, jeśli to takie wspaniałe uczucie”. Jak zwraca uwagę John White w swoim *Eros Defiled* (Eros zbezczeszczoney), nielegalnie złowiony pstrąg jest wprawdzie tak samo smaczny jak kupiony, lecz mimo wszystko jest to pstrąg kradziony.

Wreszcie, podobnie jak w przypadku wszystkich *rzeczy*, które są święte, zasady egalitaryzmu nie mają tu zastosowania. Seksualność żony jest dostępna tylko jej mężowi, a seksualność męża — tylko jego żonie. Naruszenie wyłączności w sferze seksu, jak na przykład gwałt, jest całkiem słusznie uważane za rodzaj świętokradztwa. Lecz nawet w przypadku mniej poważnych spraw powinniśmy być w stanie zrozumieć, że miłości seksualnej nie można dzielić pomiędzy różne osoby, nie pozbawiając jej przy tym jej wartości.

SEKS I WYJĄTKOWOŚĆ

W ten sposób dochodzimy do ostatniej kwestii — do tego, o czym pisał Goethe. Pewnych rzeczy z samej ich natury nie można uczynić pospolitymi, jeśli nie chce się zniszczyć tego, co jest w nich dobre i wartościowe. Usiłując uczynić niektóre pragnienia łatwiejszymi do spełnienia, sprawiamy w końcu, że przestają one być cokolwiek warte. W jednej ze swoich książek Thomas Howard zauważa, że wyjątkowość pewnych miejsc wynika z ich szczególnego położenia. Plaża, do której trzeba iść kilka mil lub górskie jezioro, położone daleko od drogi, mają w sobie osobliwy urok i charakter, których nie ma miejsce łatwo dostępne i często odwiedzane. Aby móc się w takich miejscach znaleźć, trzeba spełnić pewne warunki. Bardziej je cenimy, ponieważ, aby się do nich dostać, musieliśmy przejść niełatwą inicjację. Kiedy jednak z miejsc tych czyni się obiekty turystyczne z motelami i wielkimi reklamami, bufetami i walającymi się śmieciami, tracą one swój szczególny charakter.

Powinniśmy właściwie ocenić intencje specjalistów w dziedzinie nauk społecznych oraz psychologów w stosunku do seksu i małżeństwa. Na gruncie nauki trudno im chyba zaakceptować to, co musi im się jawić jako prymitywne zaklęcia — tajemnica seksu, Uczta Weselna Baranka. Może im się szczerze wydawać, że borykanie się z takimi przesądami jest dla nas szkodliwe. Może sądzą, że w naszym najlepszym interesie leży, abyśmy dali się prowadzić naprzód pod transparentami ze słowami „naturalny”, „normalny” i „dobrze przystosowany”. Niełatwo osądzać czyjeś intencje. Mamy jednak prawo osądzać rezultaty. A dotychczasowe rezultaty to ruina duchowa i wszechobecne śmietnisko ludzkie.

ROZDZIAŁ XVI
Szersza wizja
Zagubiona wiara
Wizja Pisma świętego
Podobni do Niego

Książka ta miała na celu porównanie psychologii i chrześcijaństwa. Nie była ona przeglądem wszystkich typów i odmian psychologii; chodziło w niej raczej o uchwycenie ducha psychologii oraz klimatu panujących postaw, za które psychologia ponosi w niemałym stopniu odpowiedzialność.

Teraz już widać, że zamieszczone tu krytyczne uwagi odnoszą się nie tylko do ducha psychologii, lecz także do nowoczesnego ducha laickiego; psychologia jest dla nas najdogodniejszym uosobieniem tej szerszej postawy. Ci, którzy wykonują autentycznie dobrą robotę na polu psychologii, muszą mi wybaczyć takie globalne potraktowanie zagadnienia. Zarysowanie subtelnych odcieni oraz różnic pomiędzy poszczególnymi szkołami i metodami mogłoby zająć kilka tomów.

Czytelnicy-chrześcijanie muszą wziąć pod uwagę jeszcze jedną rzecz. Popęniliby oni błąd, dochodząc do wniosku, że psychologię można teraz spokojnie lekceważyć. Jeśli uważnie przeczeszymy krzewy, zdobędziemy nagrodę w postaci słodkich jeżyn. Psychologia przypomina nam o różnych ważnych rzeczach, o których zwykle zapominamy — na przykład o tym, byśmy zwrócili uwagę na nasze dzieci wtedy, gdy są grzeczne, i nie czekali aż staną się niegrzeczne; lub o tym, że nasze zachowanie jest dla nich wzorem do naśladowania. Musimy też pamiętać, że w realizacji swego dzieła Bóg może się posłużyć każdym z nas: pastorem, psychologiem, pracownikiem opieki społecznej — nawet bezkompromisowym zwolennikiem laicyzmu, który nie wierzy w Jego istnienie lub Go nie uznaje. A jednak dla chrześcijan groźne jest nie to, że przegapią sposobność uzyskania najnowszych porad życiowych, lecz to, że swą wiarę mogą pomylić z panującym aktualnie duchem czy to psychologii, czy to laicyzmu.

Duch ten ma wielu wyznawców, głównie, jak myślę, z tego powodu, że zdaje się on obiecywać coś, czego wszyscy poszukujemy. Wskazuje on na istnienie większych możliwości życiowych niż te, które już wykorzystaliśmy, sugerując, iż świat jest lepszy, większy, piękniejszy — lub że taki mógłby być. W niniejszej książce dużo miejsca poświęcono temu,

by ukazać, że ów duch nie jest tym, czym próbuje być. Czasem słyszymy, że żyjemy w społeczeństwie pogańskim. Tak jednak nie jest. Pogaństwo było czymś lepszym niż laicyzm. Przyznawało, choć bardzo niejasno, że światem rządzi jakaś sfera *sacrum*. Jak powiedział Chesterton, pogaństwo było największą rzeczą na świecie, dopóki nie pojawiło się chrześcijaństwo, które było jeszcze większe. Wszystko potem było już tylko mniejsze.

ZAGUBIONA MIARA

Naszą współczesną kulturę nazwano „społeczeństwem psychologicznym”. Psychologia jawi się nam jako wielka rzecz, ale tylko dlatego, że zapodziliśmy gdzieś miarkę. Wyrośnięty chłopiec jest w oczach kolegów wysoki dopóty, dopóki nie nałoży płaszcz swego ojca. Wygląda wówczas tylko śmiesznie. Jeśli psychologiczne interpretacje życia i śmierci, radości i cierpienia wydają się nam imponujące, to jest tak, ponieważ zapomnieliśmy — lub nigdy nie wiedzieliśmy — jak bardzo przewyższa je interpretacja chrześcijańska. Mówimy dziś bez najmniejszego zająknięcia o tym, jak ważny jest człowiek, wydaje się jednak, że tylko chrześcijaństwo gotowe jest narysować go w rzeczywistych rozmiarach, nie zapominając nawet o najmniejszej brodawce na jego ciele. Chrześcijaństwo góruje nad psychologią w takim sensie, w jakim biografia góruje nad formularzem osobowym, a powieść pozwala pełniej uchwycić charakter człowieka niż teoretyczna analiza przypadku. W przeciwieństwie do psychologii, jest ono pełne bogactwa i szczegółów życia.

Chrześcijaństwo przewyższa psychologię również dlatego, że ma szerszą wizję. O ludziach mówimy, że są wielcy duchem w dwojakim sensie. Po pierwsze, ponieważ są pełni miłosierdzia; po drugie, ponieważ mają szerszą wizję życia. Nie oznacza to, że widzą wszystko w różowych kolorach, lecz że więcej rzeczy biorą pod uwagę. Dostrzegają oni możliwości tam, gdzie inni dostrzec ich nie potrafią. Wydaje się, że posiadają wiedzę nie fragmentaryczną, lecz pełną, zatem dla wszystkich rzeczy potrafią znaleźć właściwe miejsce, ani ich nie przeceniając, ani nie lekceważąc.

Większość ludzi przyzna, że w przypadku chrześcijaństwa mamy do czynienia z miłosierdziem, ale co z wizją? Przeciętnemu człowiekowi, który nie jest chrześcijaninem wiara jawi się jako coś szarego, ponurego. W psychologii popularnej, wręcz przeciwnie, widzi on psychicznego wybawcę — upajającego, ozdobionego winną latoroślą Bachusa. Uważam, że jest to błąd, błąd popełniany przez ludzi, którzy w rzeczywistości niewiele wiedzą o psychologii, a jeszcze mniej o chrześcijaństwie. Jeśli chce się odkrywać nowe światy, najlepiej ich szukać poza psychologią. Daje ona złudzenie głębi, lecz przecież takie

samo złudzenie wywołują umieszczone naprzeciw siebie lustra, i obawiam się, że psychologia jest jak jedna z tych sal lustrzanych, które spotyka się w lunaparkach. Widać tam nasze odbicia z różnych stron, lecz jest to wszystko, co widzimy. W rzeczywistości sala lustrzana jest tylko niewielkim pokojem, z którego prędzej czy później będziemy chcieli wyjść. Będziemy chcieli znaleźć drzwi.

W tym miejscu muszę przypomnieć, że Chrystus przemawiał dokładnie takimi słowami: „Ja jestem bramą. Jeżeli ktoś wejdzie przeze Mnie, będzie zbawiony — wejdzie i wyjdzie, i znajdzie paszę”. Z całą pewnością przesłania takiego nie doszukamy się w psychologii. Nie musimy w nie wierzyć, lecz niezależnie od tego, czy wierzymy czy nie, nic nie usprawiedliwia nazywania chrześcijaństwa głupią siostrą. Jeśli chce się odkrywać nowe światy, trzeba znaleźć drzwi prowadzące do nich. Chrześcijaństwo zawsze twierdziło, że posiada te drzwi, i wszystkie dowody wskazują na to, że otwierają się one na znacznie szerszą wizję niż to sobie wyobrażała reszta świata.

WIZJA NASZYCH PISARZY

Nie wiem Jak to udowodnić w sensie naukowym, istnieją jednak na to dowody literackie. Jako przykład niechaj posłuży dziwna zbieżność, łącząca dzieło George'a MacDonalda, C. S. Lewisa, G. K. Chestertona i Dorothy Sayers. MacDonald i Lewis pisywali fantastykę baśniową i bajki —jedne z najlepszych, jakie napisano w języku angielskim. Chesterton i Sayers pisywali powieści detektywistyczne i kryminalne — również jedne z najlepszych. Każdy kto zna ich utwory wie, że czyta się je z zapartym tchem lub z przyspieszonym biciem serca. Jak zapewne wiecie, zbieżność łącząca tych mistrzów przygody i tajemnicy polega na tym, że wszyscy oni są również klarownie i racjonalnie myślącymi apologetami wiary chrześcijańskiej. Z taką samą namiętnością podchodzili do teologii jak do złodziei lub najdrobniejszych pyłków ostu.

Można by dodać jeszcze jedno nazwisko. Tolkien, Mistrz Śródziemia, nigdy nie stał się jawnym apologetą chrześcijaństwa, choć nie był od tego daleki, gdy w swoim klasycznym eseju „O baśniach” sugerował, że chrześcijanin może dzięki wyobraźni faktycznie przyczynić się do odkrywania i wzbogacania świata. Spuścizna literacka pozostawiona przez tę piątkę wskazuje na to, że przedwczesne jest przypuszczenie, jakoby chrześcijaństwo było nie do pogodzenia z niczym nieskrępowaną wyobraźnią. Czyż nie jest o wiele bardziej prawdopodobne przypuszczenie, że pisarze ci potrafili otwierać przed nami różne światy właśnie dzięki temu światu, który został otwarty przed nimi?

Proszę zwrócić uwagę, że nie ma to odpowiednika w wyobraźni psychologicznej. O ile mi wiadomo, żaden znany psycholog nigdy nie napisał romansu, baśni, książki fantastycznej czy przygodowej. Owszem, psychologowie badają te rzeczy i je komentują, lecz na tym się wszystko kończy. Oczywiście można by odpowiedzieć, że Lewis i pozostali byli urodzonymi pisarzami. Rzecz jednak w tym, że życie twórcze oraz życie chrześcijańskie mogą iść razem w parze. Niewiele wskazuje na to, że podobnie jest w przypadku świata psychologii. B. F. Skinner, jedyny znany psycholog, który napisał powieść, porzucił beletrystykę praktycznie zanim na dobre zabrał się do pisania.

WIZJA PISMA ŚWIĘTEGO

Oczywiście, sama Biblia jest wspaniałą literaturą. To świat pełen tyranów, zdrajców, przyjaciół, kochanków, wieczerzy, burz i morskich katastrof. Każdy rozdział Starego i Nowego Testamentu to historia tłących się zazdrości, płonących nienawiści i rodzących się miłości. Ktoś zostaje sprzedany w niewolę przez swych braci; ktoś inny, w ataku furii ciska na ziemię święte tablice; jeszcze ktoś inny oddaje swe życie za przyjaciół. Oto świat, w jakim zamieszkuje chrześcijańska wyobraźnia. Nie zawsze musi on nam odpowiadać, jednak nie jest on nudny. W porównaniu do niego, jakże mały wydaje się świat *id*, *ego* i *super-ego*, stłoczony wewnątrz naszej czaszki.

Jest to temat, na który można by grać wiele wariacji, ja jednak wybiorę jeszcze tylko jedną. Kłopot z psychologią polega nie na tym, że pobudza ona naszą wyobraźnię i namiętności, lecz na tym, że doprowadza do ich stłumienia. Weźmy na przykład dwa wiersze mówiące o doświadczaniu miłości, jeden reprezentatywny dla psychologicznego punktu widzenia, drugi wzięty z Księgi Psalmów. Warto zauważyć, że obydwie uważane są za modlitwy.

Pierwszy to *Modlitwa postaci* Fritza Perlsa, wiersz, który — sądząc po jego niegdysiejszej popularności — musi być kwintesencją poglądów psychologii humanistycznej na temat miłości:

Ja robię swoje

A ty robisz swoje.

Nic jestem na świecie

by spełniać twoje oczekiwania,

A ty nie jesteś na świecie

by spełniać moje.

Ty jesteś ty, a ja jestem ja,
I jeśli przypadkiem trafiamy na siebie,
jest wspaniale.
Jeśli nie, nic na to nic poradzimy.

Druga modlitwa pochodzi z Psalmu 42:

Jak łania pragnie
wody ze strumieni,
tak dusza moja pragnie
Ciebie, Boże!
Dusza moja pragnie Boga,
Boga żywego:
kiedyż więc przyjdę i ujrzę
oblicze Boże?

Pierwsza zdaje się dostarczać praktycznych wskazówek mówiących, jak żyć w związku, nie krępując sobie zbytnio rąk, jednak nie ma ona nic wspólnego z tradycyjnie pojmowaną miłością lub modlitwą. Jest to pean na cześć interesowności. O „ja” i „ty” występujących w tym wierszu, chcąc nie chcąc, myślimy nie jako o osobach zakochanych czy nawet przyjaciółach, lecz jako o stronach kontraktu. Druga modlitwa, psalm, jest przynajmniej rozpoznawalny dla tych, którzy byli kiedykolwiek zakochani, jako pieśń miłosna. Nie trzeba być osobą religijną, by zrozumieć całkowite oddanie, obecne w tej miłości.

Albo przyjrzyjmy się następującym fragmentom *Pieśni nad Pieśniami*:

Oto nadchodzi!
Biegnie przez góry.
skacze po pagórkach.
Umiłowany mój podobny do gazeli.
do młodego jelenia.
Oto stoi za naszym murem,
patrzy przez okno,
zagląda przez kraty.
Miły mój odzywa się

i mówi do mnie:

„Powstań, przyjaciółko ma,
piękna ma, i pójdz!”

(...)

Położ mię jak pieczęć na twoim sercu,
jak pieczęć na twoim ramieniu,
bo jak śmierć potężna jest miłość,
a zazdrość jej nieprzejednana jak Szeol,
żar jej to żar ognia,
płomień Pański.

Wody wielkie nie zdołają ugasić miłości,
nie zatopią jej rzeki.

Jeśliby kto oddał za miłość całe bogactwo swego domu,
pogardzą nim tylko.

Może najlepszym komentarzem, jakim można opatrzyć tak żarliwą poezję będzie powtórzenie za Chestertonem, że „zbyt łatwo zapominamy, że w teizmie jest coś atrakcyjnego”.

A jakie atrakcje, musimy spytać z całą powagą, ma w sobie „ja-izm”? Nic nam od razu nie przychodzi do głowy. Autorzy poradników powiedzieli co najwyżej to, że miłość jest ważną umiejętnością budowania stosunków międzyludzkich? Analitycy transakcyjni powiedzieli co najwyżej to, że odpowiedzią na zadany cios powinien być cios z drugiej strony. Teorie psychologiczne zasugerowały dotychczas co najwyżej to, że miłość ma być odwzajemnianą troską o rozwój własny drugiej osoby.

Lecz to, że miłość powinna być niezłomną lojalnością i trawiącym ogniem, bijącym szybciej sercem i tęsknym poszukiwaniem— coś takiego całkowicie wykracza poza obszar nauk społecznych. To dziedzina poetów i proroków. Kiedy faryzeusz pyta Chrystusa o najważniejsze przykazanie, ten odpowiada: „Będiesz miłował Pana, Boga swego, całym swoim sercem, całą swoją duszą, całym swoim umysłem i całą swoją mocą”. Może to zadziwiające żądanie, na pewno jednak nie można go interpretować jako sprzeciwu wobec ulegania namiętnościom. Właśnie namiętności ono od nas wymaga.

To zupełnie inny świat od świata *Modlitwy postaci* i ekspertów w dziedzinie stosunków międzyludzkich. Komuś wychowanemu w tradycji psychologicznej ta chrześcijańska rada musi się wydawać gorsząca. „Całym swoim sercem”? „Całą swoją mocą”? Psychologia źle

znosi tego typu mowę, dlatego w przestrachu chce całą rzecz rozwodnić i uczynić ją bardziej strawną. Niektórzy chrześcijanie gotowi są pójść w ślad za psychologią i postąpić tak samo. Na szczęście nie dotyczy to większości. W końcu chrześcijanie są romantykami i o wiele bardziej wolą wziąć sobie na oblubieńca Chrystusa niż świat.

WIZJA NASZEGO „JA”

Wreszcie co z naszym „ja” — czymś, czemu psychologia radzi poświęcać tyle uwagi, a z czym chrześcijaństwo każe dać sobie spokój?

Jak wiemy, chrześcijaństwo wymaga pokory. To trudny do utrzymania kurs, zwłaszcza gdy cały świat (w tym wielu chrześcijańskich kaznodziejów) każe nam zmierzać w przeciwnym kierunku. Lecz jakiegokolwiek byśmy przedstawili argumenty przeciwko pokorze, jedno musimy przyznać: człowiekowi pokornemu znacznie łatwiej cieszyć się życiem. A to dlatego, że wciąż można go czymś zaskoczyć. Może on czerpać z życia nieoczekiwaną przyjemność, ponieważ cokolwiek otrzyma, przekracza to jego oczekiwania. „Z przyczyn praktycznych — pisał Chesterton w *The Defendant* (Oskarżonym) — argumenty przemawiające za pokorą są przytłaczające”. Potrzebujemy jej, by móc docenić zadziwiającą naturę gwiazd i wspaniałą naturę drzew. Potrzebujemy jej, by móc się zakochać. Pełne zachwyty przekonanie zakochanego człowieka: „To zbyt dobre, aby było prawdziwe” — to po prostu inny sposób powiedzenia: „To zbyt dobre, aby mogło mi się przytrafić”.

Z kolei człowiek dumny nigdy nie jest w pełni zadowolony, ponieważ zawsze otrzymuje mniej niż mu się, jego zdaniem, należy. Nie oznacza to, że nie spotykają go żadne dobre rzeczy. Chodzi tylko o to, że nie potrafi podtrzymać swego zainteresowania nimi. Skupienie się na własnej osobie nie pozwala mu docenić tego, co nie jest nim samym.

WYBÓR BASSANIA

Pamiętacie, jak w *Kupcu weneckim* Bassanio, aby zdobyć rękę Porcji, musi wybierać pomiędzy trzema szkatułkami? Jedna szkatułka jest złota, druga srebrna, trzecia zaś ołowiana. Jedna mieści portret Porcji i jest to, ma się rozumieć, szkatułka ołowiana z napisem: „Mnie biorąc, wszystko na szwank musisz stawić”. Dokładnie tak samo jest z naszą wiarą. Każe nam się ryzykować wszystkim, nawet samym sobą, aby wygrać lepszą nagrodę.

W złotej szkatułce znajduje się czaszka i ostrzeżenie: „Nie wszystko ma wagę złota, / Co jak złoto czyste świeci” — przestroga, która zdaje się być właściwa dla społeczeństwa

zafascynowanego połączanymi obietnicami psychologii.

Srebrna szkatułka nosi napis: „Mnie biorąc, weźmiesz, ile zasługujesz” i zawiera portret idioty. Nie muszę chyba przypominać, że jest to wybór, do jakiego zachęca nas współczesny świat. A i nagroda wydaje się bardzo podobna.

Nasz wybór dotyczy jednak poważniejszych spraw niż wybór Bassania. Jest to w gruncie rzeczy ten sam wybór, przed którym stali Adam i Ewa: albo ufamy Bogu, albo wierzymy wężowi, że możemy stać się bogami. Kuszenie w ogrodzie, które jest najstarszym przypadkiem uwiedzenia, nigdy nie wychodzi z mody.

Nasze własne „ja”, nasz z trudem zdobyty wizerunek własny, nasze wyjątkowe plany i nadzieje, nasza przyjemność — wszystko to jest dla nas bardzo cenne. Boimy się, że jeśli to stracimy, stracimy wszystko. Nie chcemy się z tym rozstawać, podobnie jak nie chcemy się rozstawać z własnymi dziećmi. Rozstanie jednak nie zawsze jest katastrofą. Sądzę, że przekonamy się, podobnie jak rodzice, wysyłający na letni obóz swoje rozpieszczane dziecko, iż nasze obawy były zupełnie nieuzasadnione. Jeśli posłuchamy rady kierownika obozu i pozwolimy mu się o wszystko martwić, to pod koniec lata dziecko wróci do nas o kilka centymetrów wyższe, opalone i zdrowe, z szerokim uśmiechem na twarzy, i milej usposobione niż moglibyśmy się spodziewać.

Jest to jednak tylko bardzo skromna zapowiedź tego, jak będzie naprawdę. Słyszymy na ten temat wiele zapewnień: że ten, kto utraci życie, odzyska je, że wszystko nam się stokrotnie zwróci, że będziemy podobni do Niego.

Będziemy podobni do Niego? Lecz cóż to oznacza?

PODOBNI DO NIEGO

Na początku Ewangelii św. Mateusza, a także św. Marka, pojawia się dziwny problem. Z pewnością się na niego natknęliście. Nasz Pan powiada „Pójdźcie za Mną”, a apostołowie po prostu zostawiają sieci i idą za Nim. Ciekawi jesteśmy, co jeszcze im powiedział lub jakich argumentów użył. Wydaje się nam, że czegoś w tej historii brakuje.

Brakuje, rzecz jasna, ogromnej siły osobowości naszego Pana. Ronald Knox dociera do

sedna sprawy, pytając: „Jakaż to magia głosu lub spojrzenia odciągnęła ich od zajęć w tamtych dniach, kiedy żaden cud się jeszcze nie zdarzył, kiedy nauczanie jeszcze się nie rozpoczęło? (...) Potężny wpływ, jaki siła Jego charakteru wywierała na ludzi — pamiętacie jak w Ewangelii św. Jana, strażnicy, którzy mieli Go pojmać w ogrodzie, cofnęli się i upadli na ziemię, gdy im powiedział «Ja jestem»? — wszystko to trudno odnaleźć u synoptyków”.

Siła tej osobowości jest nadal taka sama. Całe wieki później, niezliczone rzesze kobiet i mężczyzn porzucają wszystko, by za Nim pójść. Annały historyczne nie zawierają niczego takiego, co mogłoby dorównać tej właśnie osobowości. W zestawieniu z nią, psychologiczne ideały zdrowia i pełni to czysty frazes.

„Prawdziwa osobowość jest przed nami”, zauważył Lewis, lecz jest to tylko wskazanie kierunku. Św. Jan pisał: „Jeszcze się nie ujawniło, czym będziemy. Wiemy, że gdy się objawi, będziemy do Niego podobni”.

Podobni do Niego. Oto, co nam jest przeznaczone. To, jacy jesteśmy teraz, jest tylko mizerną zapowiedzią prawdziwej osobowości. Dlatego właśnie Grecy i Rzymianie całkiem słusznie uważali, że dusza jest płci żeńskiej. Nasze dusze otrzymują osobowość od Boga. Mają one zostać wypełnione przez Niego. Niebezpieczeństwo pojawia się wtedy, gdy zapełniamy je własnymi śmiesznymi ambicjami oraz krótkowzrocznymi myślami o spełnieniu, i nie zostawiamy wolnego miejsca na pracę, która musi zostać w nas wykonana.

Najbardziej będziemy sobą, gdy staniemy się tacy, jakimi chce nas widzieć Bóg. Dopiero wówczas będzie to osobowość godna podziwu.